

tytuł: "Saba"

autor: Jack Higgins

Przełożył Tomasz Wyżyński

Wydawnictwo PRIMA

Warszawa 1995

**W dwudziestym czwartym roku p.n.e.
rzymski generał Eliusz Gallus usiłował
podbić południową Arabię i stracił
większość swojej armii wśród
złowrogich
piasków Pustyni Śmierci, Rab al-Chali.
Jednym z nielicznych ocalałych był
grecki awanturnik imieniem Aleksjasz,
centurion Legionu Dziesiątego;
przebył on pieszo pustynię, poznawszy
jedną z największych tajemnic**

starożytności, równie zdumiewającą jak sekret kopalni króla Salomona. Pozostawała ona zapomniana przez dwa tysiąclecia, aż wreszcie...

Marzec 1939

Berlin

1

Wieczorem ostatniego dnia marca, gdy Berlin tonął w strugach deszczu, w stronę nowej siedziby Kancelarii Rzeszy, otwartej zaledwie w styczniu, podążał Wilhelmstrasse czarny elegancki mercedes. Hitler polecił wznieść

gigantyczny budynek w ciągu roku, a jego rozkaz wykonano dwa tygodnie przed terminem. Admirał Wilhelm Canaris, szef Abwehry, czyli niemieckiego wywiadu wojskowego, pochylił się do przodu i opuścił okno, by lepiej widzieć.

- Niewiarygodne - rzekł, kręcąc głową. - Sam bok przylegający do Voss-Strasse ma czterysta metrów długości, wie pan o tym, Hans?

Obok Canarisa siedział jego adiutant Hans Ritter, młody kapitan Luftwaffe, kawaler Krzyża Żelaznego Drugiej Klasy i Krzyża Żelaznego Pierwszej Klasy. Ritter wyglądał dość przystojnie, dopóki nie obrócił głowy; na prawym policzku widać było straszliwą bliznę po oparzeniu:

pamiętkę po wojnie domowej w Hiszpanii, gdy służył w niemieckim Legionie "Condor" i został zestrzelony przez amerykańskiego pilota ochotnika. Na podłodze limuzyny leżała jego laska.

- Te marmury i kolumny kojarzą się raczej z cudami starożytnego świata, panie admirale.

- A nie z symbolem Nowego Ładu? - Canaris wzruszył ramionami i zamknął okno. - Wszystko przemija, Hans, i ten sam los czeka nawet Trzecią Rzeszę, choć nasz ukochany Fuhrer daje jej tysiąc lat. - Wyjął papierosa, a Ritter podał mu ogień, jak zwykle nieco zaniepokojony ironicznym tonem starszego mężczyzny.

- Tak jest, panie admirale.

- Paradoksalna myśl, prawda? Pewnego dnia wśród szczątków Kancelarii będą spacerować turyści, podobnie jak w ruinach egipskiej świątyni w Luksorze, zastanawiając się na głos: "Ciekawe, jacy ludzie stworzyli tę budowlę".

Mercedes wjechał przez złoconą bramę na ogromny dziedziniec i podążył ku schodom wiodącym do wejścia.

- Czy pan admirał wie, dlaczego nas wezwano? - spytał Ritter, czując się coraz bardziej nieswojo.

- Nie mam zielonego pojęcia, a zresztą Hitler chce się widzieć ze mną, a nie z panem, Hans. Wolę po prostu mieć pana pod ręką na wypadek, gdyby zdarzyło się coś niespodziewanego.

- Mam zaczekać w samochodzie? - spytał oficer Luftwaffe, gdy zatrzymali się u podnóża schodów.

- Nie, lepiej w recepcji. Będzie panu wygodniej, a poza tym może pan podziwiać monumentalną sztukę Trzeciej Rzeszy. Nieco ordynarna, ale imponująca.

Podoficer Kriegsmarine pełniący rolę szofera wysiadł z samochodu i obiegł go, by otworzyć drzwiczki. Canaris stanął koło auta i czekał kurtuazyjnie na Rittera, który poruszał się ze znacznie większym trudem. Zamiast lewej nogi miał protezę sięgającą od kolana w dół, ale kiedy już zdołał się wyprostować, chodził w miarę sprawnie, podpierając się laską. Weszli razem po schodach.

Dwaj strażnicy stojący przy drzwiach, esesmani z dywizji Leibstandarte "Adolf Hitler" w czarnych galowych mundurach z białymi skórzanymi pasami, wyprostowali słuźbiście ramiona w nazistowskim pozdrowieniu, gdy Canaris i Ritter wchodzili do gmachu. Przedstonek robił imponujące wrażenie: marmurowa posadzka, gigantyczne drzwi wysokości pięciu metrów, ogromne orły ze swastykami w szponach. Przy złocistym biurku siedział młody Hauptsturmführer w galowym mundurze, a za jego plecami stało dwóch strażników. Hauptsturmführer zerwał się na równe nogi i trzasnął obcasami.

- Führer pytał o pana dwukrotnie, panie admirale!

- Otrzymałem wezwanie zaledwie pół godziny temu, mój drogi Hoffer - odparł Canaris. - Zresztą nie jest to żadne wytłumaczenie. To mój adiutant, kapitan Ritter. Proszę się nim zaopiekować.

- Naturalnie, panie admirale. - Hoffer skinął głową w stronę jednego ze strażników. - Proszę zaprowadzić pana admirała do sali recepcyjnej Fuhrera.

Strażnik pomaszerował szybkim krokiem, a Canaris podążył za nim. Hoffer obszedł biurko i zwrócił się do Rittera:

- Hiszpania?

- Tak. - Ritter poklepał ręką protezę. - Mógłbym ciągle latać, ale nie chcę mi pozwolić.

- Szkoda - odezwał się Hoffer i zaprowadził kapitana do kanapy. - Straci pan wielki spektakl.

- Myśli pan, że się zacznie? - spytał Ritter, po czym usiadł i wyjął papierośnicę.

- A pan tak nie myśli? Ale, ale, nie wolno u nas palić. Fuhrer osobiście tego zabronił.

- Do licha! - zaklął Ritter, łagodzący nikotyną ciągły ból w nodze.

- Przykro mi - rzekł ze współczuciem Hoffer. - Mamy za to kawę, i to znakomitą.

Odwrócił się, podszedł do biurka i podniósł słuchawkę telefonu.

Kiedy strażnik otworzył gigantyczne drzwi do gabinetu Hitlera, Canaris zdziwił się na widok dużej grupy zgromadzonych tam ludzi. Zauważył trzech dowódców poszczególnych rodzajów sił zbrojnych: Goringa, Brauchitscha i Raedera, reprezentujących Luftwaffe, armię lądową oraz Kriegsmarine. W sali znajdowali się również Himmler, von Ribbentrop, a ponadto generałowie Jodl, Keitel i Halder. Wśród obecnych panowało ciężkie milczenie i wszystkie głowy zwróciły się w stronę wchodzącego Canarisa.

- Teraz, gdy pan admirał raczył do nas dołączyć, możemy przejść do rzeczy
- odezwał się Hitler. - Będę się streszczał.
Jak panowie wiecie,

Brytyjczycy udzielili dziś Polsce bezwarunkowych gwarancji na wypadek wojny.

- Czy Francuzi pójdą za ich przykładem, mein Fuhrer? - spytał Goring.

- Niewątpliwie - odparł Hitler. - Ale zachowają bierność, gdy przyjdzie do starcia.

- Do starcia z Polską? - zapytał Halder, szef sztabu Oberkommando der Wehrmacht. - A Rosjanie?

- Nie będą się wtrącać. Mogę powiedzieć tylko, że toczą się w tej sprawie poufne rokowania. Panowie, muszę wam zakomunikować swoją nieodwołalną decyzję. Przystępujemy do przygotowań operacji "Fall Weiss", ataku na Polskę w dniu pierwszego września.

Po sali przeszedł szmer zdumienia.

**- Ależ, mein Fuhrer, przecież to daje nam zaledwie pół roku! -
zaprotestował generał pułkownik von
Brauchitsch.**

**- Mamy mnóstwo czasu - odparł Hitler. -
Jeśli ktoś jest przeciwny, niech
to powie teraz. - W sali panowała głucha
cisza. - Dobrze. W takim razie
bierzcie się do roboty, panowie. Jesteście
wolni, z wyjątkiem admirała.**

**Zebrani opuścili salę, a Canaris stał bez
ruchu, gdy tymczasem Hitler
patrzył przez okno na strugi deszczu.
Wreszcie odwrócił się w stronę
admirała.**

**- Brytyjczycy i Francuzi wypowiedzą
nam wojnę, ale nie uderzą. Zgadza się
pan?**

- Całkowicie - stwierdził Canaris.

- Zmiażdżymy Polskę i zakończymy kampanię w ciągu kilku tygodni.

Anglicy

i Francuzi dojdą szybko do wniosku, że nie ma sensu prowadzić dalej wojny.

Będą nas błagać na kolanach o pokój.

- A jeśli nie?

Hitler wzruszył ramionami.

- Wówczas rozkażę rozpocząć operację "Fall Gelb". Opanujemy Belgię, Holandię i Francję, po czym zepchniemy Anglików do morza. Odzyskają wtedy rozsądek. Nie są w końcu naszymi naturalnymi wrogami.

- Zgadza się - rzekł Canaris.

- W związku z tym uważam, że powinienem jak najszybciej uzmysłwić naszym angielskim przyjaciółom, iż nie cofnę się przed niczym.

Canaris odchrząknął.

- Co właściwie ma pan na myśli, mein Fuhrer?

Hitler skinął w stronę ogromnej mapy świata wiszącej na ścianie.

- Proszę tu podejść, admirale. Pokażę panu.

Kiedy Canaris wrócił po godzinie do przedsiionka Kancelarii, Hoffer siedział za biurkiem pomiędzy dwoma strażnikami. Rittera nie było. Kapitan

SS wstał na widok Canarisa i ruszył w jego stronę.

- Panie admirale.

- Gdzie się podział mój adiutant?

**- Hauptmann Ritter musiał zapalić.
Wrócił do limuzyny pana admirała.**

- Dziękuję - odrzekł Canaris. - Pójdę do auta sam.

Wyszedł przez ogromne drzwi i stanął na szczycie schodów, zapinając płaszcz i patrząc na strugi deszczu. Zszedł po stopniach, otworzył tylne drzwiczki mercedesa i usiadł koło Rittera, nim szofer zdążył się zorientować, co się dzieje.

- Do sztabu! - zawołał do kierowcy, po czym zamknął szklaną szybkę.

Samochód ruszył. Ritter zaczął gasić papierosa, a Canaris usiadł wygodnie na siedzeniu.

- Proszę się nie krępować. I niech pan mnie też poczęstuje. Mam ochotę zapalić.

Ritter wyjął papierośnicę i pstryknął zapalniczką.

- Wszystko w porządku, panie admirale? Widziałem, jak wszyscy wyszli, i zacząłem się martwić.

- Fuhrer wydał rozkaz ataku na Polskę w dniu pierwszego września, Hans.

- Mój Boże! = zawołał Ritter. - "Fall Weiss".

- Zgadza się. Fuhrer prowadzi negocjacje z Rosjanami, a ci poszli na układ. Nie będą się wtrącać w zamian za wschodnią część Polski.

- A Brytyjczycy?

- Och, wypowiedzą nam wojnę, a Francuzi zrobią na pewno to samo.

Jednakże

Fuhrer jest przekonany, że nie rozpoczną działań ofensywnych na froncie

zachodnim i przynajmniej raz się z nim zgadzam. Będą siedzieć beczynn timer, gdy tymczasem my opanujemy Polskę;

Fuhrer uważa, że później możemy zasiać

wszyscy przy stole rokowań i przywrócić

status quo. Stwierdził, że Wielka

Brytania nie jest naszym naturalnym wrogiem.

- Zgadza się pan z tym, panie admirale?

- Ma sporo racji, ale Brytyjczycy są piekielnie uparci, a Chamberlain stracił popularność. Po Monachium zaczęto nim gardzić we własnym kraju. - Canaris zgasił papierosa. - Kto wie, co może się zdarzyć, gdyby doszło do jakichś zmian na szczytach władzy i premierem został na przykład Churchill?

- Wzruszył ramionami.

- Co wtedy zrobimy?

- Rozpoczniemy operację "Fall Gelb". Opanujemy Holandię i Francję, a później zepchniemy brytyjski korpus ekspedycyjny do morza.

- Czy to możliwe? - spytał Ritter po chwili milczenia.

- Chyba tak, Hans, dopóki Amerykanie nie będą się wtrącać. Pod błyskotliwym przywództwem Fuhrera zajęliśmy Nadrenię, dokonaliśmy aneksji Austrii i Czechosłowacji i zagarnęliśmy kilka mniejszych terytoriów. Nie mam wątpliwości, że pokonamy Polskę.

- Ale co później, panie admirale? Co z Francuzami i Brytyjczykami?

- Ach, w ten sposób dochodzimy do pytania, dlaczego Fuhrer zatrzymał mnie po wyjściu reszty uczestników narady.

- Operacja specjalna, panie admirale?

- Można tak powiedzieć. Pierwszego września, w dniu ataku na Polskę, mamy zbombardować Kanał Sueski.

**- Wielki Boże! - zawołał Ritter,
otwierający akurat papierośnicę.**

**Canaris wyjął mu papierośnicę z rąk i
znów zapalił.**

**- To pomysł pułkownika Rommla, który
dowodził batalionem ochrony
osobistej Fuhrera podczas okupacji
Sudetów. Fuhrer słusznie ma wysokie
mniemanie o pułkowniku Rommlu, a w
samym pomysle tkwi pewna zwariowana
logika. Kanał Sueski to przecież główna
arteria komunikacyjna łącząca
Anglię z koloniami. Gdyby ją przeciąć,
statki płynące do Indii, na Daleki
Wschód i do Australii musiałyby
okrążyć Afrykę wokół Przylądka Dobrej
Nadziei. Konsekwencje militarne takiego
stanu rzeczy byłyby oczywiste.**

**- Ale jak, u licha, przerzucić w tamten
rejon ludzi i wyposażenie?**

Canaris pokręcił głową.

- Nie, Hans, nie o to chodzi. Nie mówimy o bezpośredniej akcji zbrojnej, tylko o sabotażu. Fuhrer chce, aby Abwehra zbombardowała Kanał Sueski w dniu ataku na Polskę. Mamy uczynić go niezdatnym do użytku, zablokować tak skutecznie, by naprawa potrwała co najmniej rok.

- Co za triumf? Cały świat byłby wstrząśnięty! - odezwał się Ritter.

- A co najważniejsze, wstrząśnięci byliby Anglicy: zrozumieliby, że nie cofniemy się przed niczym. Tak przynajmniej widzi to nasz umiłowany Fuhrer.

- Canaris westchnął. - To, jak tego dokonamy, to naturalnie zupełnie inna

kwestia, ale musimy coś wymyślić, przynajmniej na papierze, i właśnie na tym polega pańska rola, Hans.

- Rozumiem, panie admirale.

Limuzyna zatrzymała się przy krawężniku przed centralą Abwehry przy Tirpitz Ufer numer 74-76. Szofer obiegnął samochód, by otworzyć drzwiczki Canarisowi, a Ritter wygramolił się za admiralem. Młody oficer Luftwaffe miał zmarszczone brwi.

- Dobrze się pan czuje? - spytał Canaris.

- Znakomicie, panie admirale. Po prostu przypomniałem sobie coś, co mogłoby nam się przydać.

- Doprawdy? - Canaris uśmiechnął się, wszedł po stopniach i zatrzymał się

przy drzwiach. - Cóż, to dobra wiadomość. Proszę to sobie uprzytomnić, i to im wcześniej, tym lepiej - stwierdził, po czym wszedł do budynku.

W jakąś godzinę później, gdy Canaris siedział za biurkiem, studiując stosy dokumentów, rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu wszedł Ritter z teczką akt w ręku i zwiniętą mapą pod pachą. W rogu pokoju spały w koszyku dwa ulubione jamniki Canarisa. Młody oficer pokuśtykał do przodu, podpierając się laską.

- Czy mógłbym zamienić z panem kilka słów na temat sprawy Kanału Sueskiego, panie admirale?

Canaris wyprostował się.

- Tak wcześniej, Hans?

- Jak powiedziałem, zaczęło coś mi świtać, i gdy wróciłem do swego gabinetu, wreszcie przypomniałem sobie, o co chodzi. O raport, który otrzymałem miesiąc temu od profesora archeologii Uniwersytetu Berlińskiego, Otto Mullera. Wrócił niedawno z południowej Arabii i zamierza tam wkrótce znowu pojechać. Potrzebuje dodatkowych subwencji.

- I co to ma wspólnego z nami? - spytał Canaris.

- Jak pan admirał doskonale wie, wszyscy obywatele niemieccy pracujący za

granicą muszą meldować w sztabie Abwehry o niezwykłych zdarzeniach i faktach, z jakimi się zetknęli.

- A zatem?

- Proszę spojrzeć, panie admirale. - Ritter podszedł do stojaka, rozwinął mapę trzymaną pod pachą i zawiesił ją. Przedstawiała Egipt, Kanał Sueski, południową część Arabii, Morze Czerwone i Zatokę Adeńską. - Jak pan widzi, panie admirale, Brytyjczycy są obecnie w Adenie, Jemenie, różnych państewkach arabskich nad Zatoką Adeńską i Oceanem Indyjskim, w Dżofarze i Omanie.

- Co dalej? - spytał Canaris, patrząc na mapę.

- Chciałbym zwrócić uwagę na Dahrajn, miasto portowe na wybrzeżu Zatoki Adeńskiej. Właśnie tam znajdowała się baza Mullera. Dahrajn należy do Hiszpanii, podobnie jak Goa w Indiach. Hiszpanie okupują go od czterystu lat.

- Wyobrażam sobie wygląd tego portu - stwierdził Canaris.

- Na północy, na terenie Arabii Saudyjskiej, leży Rab al-Chali, Pustynia Śmierci, jedna z najstraszliwszych pustyń świata.

- I właśnie tam podróżował Muller?

- Tak jest, panie admirale.

- A co, u licha, tam robił?

- Na tym obszarze można odnaleźć zabytki wielu starożytnych kultur, inskrypcje wyryte w skałach. Muller to znawca języków starożytnych.

Wykonuje lateksowe odlewy owych inskrypcji, po czym przywozi je do Berlina.

- I co to ma wspólnego z Kanalem Sueskim, Hans?

- Za chwilę do tego dojdę, panie admirale. Jest tam miejscowość o nazwie Szabua, kojarzona z królową Sabą.

- Mój Boże, dochodzimy zatem do Biblii?! - rzekł Canaris, wrócił do biurka i wyjął papierosa ze srebrnej kasetki. - Zawsze sądziłem, że nie istnieją żadne konkretne dowody, iż Saba to postać historyczna.

- Ależ istnieją, zapewniam pana, panie admirale! - stwierdził Ritter. -

Wedle legendy królowa Saba była kapłanką babilońskiej boginii Isztar, odpowiednika Wenus, i wzniosła jej świątynię na Pustyni Śmierci.

- Wedle legendy - zauważył sceptycznie Canaris.

- Muller odnalazł ruiny tej świątyni, panie admirale. Naturalnie utrzymał swe odkrycie w tajemnicy. Ma ono równie wielkie znaczenie jak odnalezienie grobowca Tutenchamona w Dolinie Królów. Natychmiast zjechałby się tam archeologowie z całego świata. Jak już wspomniałem, Muller wrócił do Berlina, by starać się o fundusze na dalsze prace i zameldował o swoim odkryciu Abwehrze.

Canaris zmarszczył brwi.

- Ale co nas to wszystko obchodzi?

- Ruiny znajdują się w głębi pustyni i nikt o nich nie wie, panie admirale. Mogą służyć jako baza zaopatrzeniowa i lądowisko, pozwalające zaatakować kanał.

Canaris wstał i podszedł do mapy. Przyjrzał się jej i popatrzył na Rittera.

- Ruiny znajdują się co najmniej tysiąc sześćset kilometrów od Kanału Sueskiego.

- Raczej dwa tysiące, ale na pewno znajdę jakiś sposób, by pokonać tę trudność, panie admirale.

**- Zwykle się to panu udaje; Hans -
uśmiechnął się Canaris. - W porządku,
proszę przyprowadzić do mnie Mullera.**

- Kiedy, panie admirale?

**- Naturalnie, że jeszcze dziś. I tak
zamierzam spać w sztabie.**

**Zajął się z powrotem dokumentami, a
Ritter wyszedł.**

**Profesor Otto Muller okazał się niskim,
łysiejącym mężczyzną z
pomarszczoną twarzą spaloną przez
pustynne słońce. Kiedy Ritter
wprowadził
go do gabinetu Canarisa, Muller
uśmiechnął się nerwowo, obnażając
garnitur
złotych zębów.**

- Dziękuję, Hans - odezwał się Canaris. Ritter wyszedł, a admirał zapalił papierosa. - Proszę mi opowiedzieć o swoim niezwykłym odkryciu, profesorze.

Podenerwowany Muller stał pośrodku gabinetu jak student zdający egzamin.

- Miałem dużo szczęścia, panie admirale. Pracowałem od jakiegoś czasu w rejonie Szabui, gdy pewnego wieczoru do mojego obozu dowlókl się stary Beduin umierający z pragnienia. Uratowałem mu życie.

- Rozumiem.

- Beduini to dziwni ludzie. Nie mogą znieść myśli, że coś komuś zawdzięczają, więc ten, którego uratowałem, wyrównał ze mną rachunek,

zdradzając mi położenie ruin świątyni Saby.

- Niezwykły sposób wyrównywania rachunków. Proszę mówić dalej, profesorze.

- Na początku zauważyłem tylko samotną czerwoną skałę sterczącą wśród piaskowych wydm ciągnących się aż po horyzont. Niektóre z wydm na Pustyni Śmierci mają po sto metrów wysokości, panie admirale.

- Zadziwiające.

- Zbliżywszy się weszliśmy do stromego wąwozu. Towarzyszyło mi dwóch Beduinów: przybyliśmy na wielbłądach. W wąwozie ujrzeliśmy kolumnadę.

- A świątynia? Proszę mi o niej opowiedzieć.

Muller spełnił polecenie i mówił przez przeszło pół godziny. Canaris słuchał z zainteresowaniem, wreszcie skinął głową.

- Fascynujące. Kapitan Ritter twierdzi, że sporządził pan dla nas szczegółowy raport na ten temat.

- Spełniłem swój obowiązek, panie admirale. Jestem członkiem partii.

- Istotnie - zauważył sucho Canaris. - Wobec tego niewątpliwie wróci pan chętnie do Arabii z odpowiednimi funduszami i wykona nasze polecenia. Przygotowujemy operację, którą interesuje się osobiście sam Fuhrer.

Muller stanął na baczność.

- Jestem na pańskie rozkazy, panie admirale!

- Świetnie. - Canaris nacisnął guzik na biurku. - Będziemy z panem w kontakcie.

Do gabinetu wszedł Ritter.

- Panie admirale?

- Proszę zaczekać na zewnątrz, profesorze - rzekł Canaris, po czym zwrócił się do Rittera: - Wydaje się dość nieszkodliwy, lecz mam ciągle pewne wątpliwości, Hans. Jeśli wykorzystamy to miejsce jako bazę, bombowiec będzie musiał przelecieć aż dwa tysiące kilometrów, a zresztą... czy jeden bombowiec może wyrządzić poważne szkody Kanałowi Sueskiemu? Poza tym czy w

ogóle dysponujemy samolotem o takim zasięgu?

- Mam pewien pomysł, ale przed przedstawieniem go panu admirałowi wolałbym jeszcze nad tym popracować.

Canaris zmarszczył brwi.

-- Czy to coś sensownego, Hans?

- Mam nadzieję, panie admirale.

- Dobrze. - Canaris skinął głową. - Proszę wydobyć od Mullera wszystkie szczegóły na temat Dahrajnu i jego hiszpańskiej administracji. Hiszpanie są naszymi sojusznikami, co może się okazać użyteczne.

- Zajmę się tym, panie admirale.

- Niech pan się pośpieszy, Hans. Pełny raport z oceną szans powodzenia operacji ma się znaleźć na moim biurku za trzy dni.

Ritter odwrócił się i wykuśtykał z pokoju, a Canaris pograżył się z powrotem w lekturze.

2

W środę rano Canaris, który znów spędził noc na łóżku polowym w rogu gabinetu, golił się w łazience, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść! - zawołał.

**- To ja, panie admirale - odparł Ritter. -
A także śniadanie.**

Canaris wytarł twarz i poszedł do gabinetu, pełnego aromatu dobrej kawy. Ordynans zdejmował naczynia z tacy, a Ritter stał koło okna.

- Możecie odejść - zwrócił się Canaris do ordynansa, a po jego wyjściu wziął do ręki filiżankę. - Zje pan ze mną śniadanie, Hans?

- Już je jadłem, panie admirale.

- Musiał pan wcześniej wstać. Jest pan bardzo obowiązkowy.

- Nieszczególnie, panie admirale. Po prostu mam kłopoty ze snem.

- Jakież to głupie z mojej strony, że o tym nie pomyślałem, Hans! - odparł ze współczuciem Canaris. - Często zapominam o pańskich kłopotach
Z

nogą.

**- Zmienne koleje wojny, panie admirale
- rzekł Ritter i położył na biurku
teczkę z aktami.**

**- Co to takiego? - spytał Canaris,
przerywając smarowanie masłem
kromki
chleba i unosząc wzrok.**

- Operacja "Saba", panie admirale.

- Znalazł pan jakieś rozwiązanie?

- Chyba tak.

- Uważa pan to za wykonalne?

**- Nie tylko wykonalne, wręcz konieczne,
panie admirale.**

- Skoro tak, proszę zapalić papierosa i napić się kawy, gdy tymczasem ja przestudiuję pańskie materiały - odrzekł Canaris i nappełnił pustą filiżankę.

Ritter spełnił polecenie i pokuśtykał do okna. Trzeci kwietnia. Zbliżała się Wielkanoc, a mimo to lało jak w listopadzie. Straszliwie bolała go noga, ale postanowił za wszelką cenę nie uciekać się do pomocy morfiny. Wypił kawę i zapalił papierosa. Nagle usłyszał za plecami odgłos podnoszonej słuchawki telefonu.

- Proszę mnie połączyć z Kancelarią Rzeszy, z sekretariatem Fuhrera. Dzień dobry, tu Canaris. Muszę się spotkać z Fuhrerem. Tak, to bardzo pilne. - Zapadło dłuższe milczenie. - Świetnie. O jedenastej.

Ritter odwrócił się.

- Panie admirale?

- Pański plan jest doprawdy znakomity, Hans. Pojedzie pan ze mną i zreferuje go Fuhrerowi osobiście.

Ritter znał jak dotąd tylko prezydentów Kancelarii i podziwiał jej monumentalną architekturę. Szczególne wrażenie zrobiły na nim masywne pięciometrowe drzwi odlane z brązu i stu pięćdziesięciometrowa Marmurowa Galeria, dwukrotnie dłuższa od Sali Zwierciadlanej w Wersalu, z czego Fuhrer był wyjątkowo dumny.

Kiedy Canaris i Ritter weszli do gigantycznego gabinetu wodza, Hitler,

siedzący za biurkiem, obrzucił ich chłodnym spojrzeniem.

- Ufam, że to coś ważnego?

- Tak mi się zdaje, mein Fuhrer - odparł Canaris. - To mój adiutant, kapitan Ritter.

Hitler zauważył szramy na twarzy lotnika, laskę i rząd orderów; wstał, obszedł biurko i uścisnął Ritterowi rękę.

- Jako żołnierz składam hołd pańskiej odwadze.

Wrócił na fotel, a wzruszony Ritter wyjąkał:

- To dla mnie wielki zaszczyt, mein Fuhrer.

- Chodzi o sprawę Kanału Sueskiego - wtrącił Canaris. - Kapitan Ritter opracował niezwykle plan. Niezwykły, a przy tym wyjątkowo prosty. - Położył na biurku Hitlera teczkę z aktami. - Nosi on kryptonim "Operacja Saba".

Hitler odchylił się do tyłu i w charakterystyczny sposób splótł ramiona na piersiach.

- Przeczytam akta później. Proszę zreferować swój plan, kapitanie.

Ritter obliznął zaschnięte wargi.

- A zatem, mein Fuhrer, plan opiera się na niezwykłym odkryciu, jakiego dokonał w południowej Arabii niejaki Otto Muller, profesor archeologii Uniwersytetu Berlińskiego.

- Fascynujące - stwierdził z błyszczącymi oczyma Hitler, namiętny miłośnik architektury. - Wiele bym dał, by zobaczyć tę świątynię. - Usiadł wygodnie w fotelu. - Proszę kontynuować, kapitanie. Zamierza pan wykorzystać ruiny jako bazę, ale co to da?

- Istotą planu jest jego absurdalna prostota. Nonsensem byłaby próba zbombardowania kanału przez jeden bombowiec, gdyż nie dawałoby to żadnej gwarancji celności.

- A więc? - spytał Hitler.

- Amerykański dwusilnikowy wodnosamolot typu "Catalina" może lądować

zarówno na ziemi, jak i na wodzie. Ma zasięg przeszło trzech tysięcy kilometrów i jest w stanie zabrać ładunek bomb o wadze około siedmiuset kilogramów.

- Ciekawe - stwierdził Hitler. - A jak chciałby pan wykorzystać taki samolot?

- Jak już powiedziałem, mój plan jest absurdalnie prosty. Catalina wylądowałaby w naszej bazie na pustyni i wzięła na pokład nie bomby, tylko miny morskie. Później poleciałaby do Egiptu i usiadła na powierzchni Kanału Sueskiego, a załoga zrzuciłaby miny do morza, by popłynęły z prądem. Moim zdaniem, najwłaściwszym miejscem lądowania byłby rejon Kantary. Następnie załoga zatopiłaby samolot wraz z ładunkiem materiału wybuchowego typu

"Helikon", którego eksplozja poważnie uszkodziłaby kanał, miny zaś zniszczyłyby co najmniej kilka statków płynących na północ od strony jeziora Timsah. Ich wraki, a także skutki wybuchu samolotu, doprowadziłyby do długotrwałej blokady toru wodnego i Kanał Sueski stałby się bezużyteczny.

Zapadło milczenie. Hitler siedział przy biurku, spoglądając nie widzącym wzrokiem w przestrzeń, po czym uderzył pięścią w otwartą dłoń.

- Znakomite i rzeczywiście absurdalnie proste. - Zmarszczył brwi. - Ale czy dysponujemy samolotem typu "Catalina"?

- W tej chwili jedną z takich maszyn wystawiono na sprzedaż w Lizbonie.

Możemy ją zakupić i założyć w Dahraźnie hiszpańską linię lotniczą specjalizującą się w przewozie towarów w rejonie Zatoki Adeńskiej.

Hitler wstał, obszedł biurko i poklepał Rittera po plecach.

- Doskonale. Podoba mi się pański adiutant, admirale. Proszę natychmiast rozpocząć przygotowania do operacji. Ma pan moje pełne poparcie.

Canaris podszedł do drzwi, odwrócił się i przełamując niechęć uniósł rękę w nazistowskim pozdrowieniu.

- Chodźmy - szepnął do Rittera, po czym obaj opuścili gabinet i ruszyli Marmurową Galerią. - Świetnie panu poszło, Hans. Naturalnie zadysponuję przygotowanie odpowiednich funduszy na zakup cataliny, choć obawiam się, że

możemy mieć problemy ze skompletowaniem odpowiedniej załogi.

Z drugiej

strony nie ma chyba żadnych przeszkód, by w hiszpańskiej linii lotniczej pracowali niemieccy piloci.

- Hiszpanie byliby znacznie lepsi - odparł Ritter.

- Tylko skąd ich wziąć?

- W SS służy wielu hiszpańskich ochotników, panie admirale.

- Naturalnie - odparł Canaris. - Doskonale rozwiązanie.

- Znalazłem już odpowiedniego pilota. Zdobył duże doświadczenie bojowe podczas wojny domowej w Hiszpanii. Obecnie służy w SS i pilotuje samoloty

kurierskie. Umówiłem się z nim za godzinę na lotnisku Gatow.

- Dobrze. Pojadę z panem i obejrzę go sobie osobiście - stwierdził Canaris i ruszył w dół marmurowymi schodami.

Dwudziestosiedmioletni Carlos Romero, syn zamożnego handlarza win z Madrytu, był przystojnym, krewkim młodym człowiekiem. Nauczył się pilotować samolot w wieku szesnastu lat, po czym wstąpił do szkoły lotniczej i został pilotem myśliwca. Po wybuchu wojny domowej stanął po stronie generała Franco, choć nie uczynił tego jako zdeklarowany faszysta: po prostu tak zrobiła większość ludzi z jego sfery. Zestrzelił jedenaście samolotów i

świetnie się bawił. Po jakimś czasie wstąpił jako pilot do niemieckiego Legionu "Condor".

Nagle wojna się skończyła i Romero stracił zajęcie, lecz dowiedział się, że SS prowadzi werbunek ochotników narodowości hiszpańskiej. Pilota tej klasy przyjęto rzecz prosta z otwartymi ramionami i Romero otrzymał przydział do służby kurierskiej, gdzie zajmował się głównie transportem niemieckiej generalicji.

Siedział w tej chwili w kabinie niewielkiego samolotu rozpoznawczego typu "Stork" lecącego trzysta metrów nad Berlinem i wiozącego Brigadeführera SS.

Połączył się z wieżą kontrolną w Gatow, poprosił o pozwolenie na lądowanie

i skręcił w stronę lotniska, śmiertelnie znużony.

**- Matko Boża! - szepnął po hiszpańsku. -
Spraw, bym zaczął wreszcie robić
coś bardziej interesującego!**

**Matka Boża wysłuchiwała jego próśb, a
Romero dowiedział się o tym w
kasynie. Zdjął kombinezon lotniczy i
pozostał w dobrze skrojonym mundurze
SS. O jego narodowości świadczyła
niewielka naszywka na lewym rękawie;
nosił hiszpański Order Zasługi i
niemiecki Krzyż Żelazny Pierwszej
Klasy,
otrzymany za wyczyny bojowe w
Legionie "Condor".**

**Najpierw zauważył Canarisa, noszącego
mundur admiralski, a po chwili**

poznał Rittera i ruszył z uśmiechem w jego stronę.

- Na Boga! Toż to przecież Hans Ritter!

Ritter wstał, by go powitać. Wsparł się na lasce i uścisnął Hiszpanowi rękę.

- Dobrze wyglądasz, Carlos. Jak za dawnych czasów w Hiszpanii.

- Słyszałem o twojej nodze. Bardzo mi przykro.

- Admirał Canaris, szef Abwehry - przedstawił Ritter.

Romero trzasnął obcasami i zasalutował.

- To dla mnie prawdziwy zaszczyt, panie admirale!

- Zapraszamy do naszego stolika. Herr Hauptsturmführer - odezwał się Canaris i skinął dłonią na stewarda. - Butelka szampana marki "Bollinger" i trzy kieliszki. - Zwrócił się do Romera: - Pracuje pan w służbie kurierskiej, prawda? Lubi pan to?

- Szczerze mówiąc, nudzę się jak mops, panie admirale. Wolałbym robić coś ciekawszego.

- Cóż, może uda nam się zaspokoić pańskie pragnienie - stwierdził Canaris, gdy steward przyniósł szampana. - Niech pan mu powie, Hans.

Romero skończył czytać i zamknął teczkę. Na jego pobladłej twarzy malowało się podniecenie.

- **Interesuje to pana? - spytał Canaris.**
- **Interesuje?! - Romero przyjął drżącą dłońią papierosa podanego przez Rittera. - Jestem gotów błagać na kolanach, by pozwolono mi uczestniczyć w tej operacji!**
- **Nie ma potrzeby - roześmiał się Canaris.**
- **Nie będziesz miał kłopotów z cataliną?**
- **spytał Ritter.**
- **Wielki Boże, nie! To znakomity samolot!**
- **A załoga?**

Romero zastanawiał się przez chwilę.

- Potrzebuję drugiego pilota i mechanika.

- Gdzie moglibyśmy ich znaleźć? - spytał Canaris.

- W Legionie Hiszpańskim SS. Wśród moich kolegów, panie admirale. Mam już zresztą dwóch kandydatów: pilota Javiera Novala i mechanika Juana Condego. Obaj są znakomitymi fachowcami.

Ritter zanotował nazwiska Hiszpanów.

- Świetnie. Każę ich odkomenderować do Abwehry wraz z tobą.

- A co z materiałem wybuchowym i minami? - spytał Romero.

- Przetransportujemy je do Dahrajnu frachtowcem - wyjaśnił Ritter. - Nie powinno być większych kłopotów z celnikami. Naturalnie zanim nadejdzie wrzesień, musisz sobie wyrobić w Dahrajnie dobrą opinię jako właściciel linii lotniczej. Przewozy towarowe, czarter i tak dalej.

Romero skinął powoli głową.

- Mam pewną propozycję. Moglibyśmy wylądować miny ze statku na pełnym morzu. Wyląduję koło frachtowca, a później polecę bezpośrednio do bazy, co znacznie uprości transport.

- Świetny pomysł. - Canaris wstał. - Myślę, że powinien pan poznać naszego przyjaciela profesora Mullera. Pojedziemy razem do miasta, ja wysiądę przy Tirpitz Ufer, a panowie udacie się razem na uniwersytet. Za

całość przygotowań organizacyjnych do operacji odpowiada kapitan Ritter.

- Wedle rozkazu, panie admirale!

- Bardzo dobrze - odezwał się Canaris, odwrócił się i wyszedł z kasyna.

Wydział Archeologii Uniwersytetu Berlińskiego mieścił się w ogromnym gmachu pełnym najróżniejszych zabytków. Było tam wszystko: egipskie mumie, posągi z Grecji i Rzymu, amfory wydobyte z ładowni starożytnych wraków spoczywających na dnie Morza Śródziemnego. Ritter i Romero przyglądali się zebranym eksponatom, gdy tymczasem Muller siedział przy biurku w swoim

przeszklonym gabinecie i czytał teczkę z nadrukiem Operacja "Saba".

Wreszcie wstał i podszedł do dwóch oficerów.

- I co pan o tym sądzi, profesorze? - spytał Ritter.

Muller, głęboko wytrącony z równowagi, bez powodzenia usiłował się zdobyć na uśmiech.

- Znakomity pomysł, panie kapitanie, ale zastanawiam się, czy mam niezbędne kwalifikacje. Nie jestem przecież szpiegiem, tylko archeologiem.

- Rozkaz przeprowadzenia operacji wydał osobiście sam Fuhrer.

Kwestionuje pan jego polecenia?

Muller zbladł jak kreda.

- Wielkie nieba, nie!

Romero poklepał go po plecach.

**- Niech pan się nie martwi, profesorze.
Zaopiekuję się panem.**

**- Wobec tego wszystko uzgodnione -
stwierdził Ritter. - Po zakupie
cataliny poleci pan z
Hauptsturmführerem Romerem z
Lizbony do Dahrajnu,
więc proszę poczynić stosowne
przygotowania. Będę z panem w
kontakcie.**

**Ritter pokuśtykał korytarzem, stukając
laską w marmurową posadzkę. Kiedy
zmierzali w stronę głównego wyjścia,
Hiszpan odezwał się:**

- Nerwowy mały szczurek.

- Podporządkuje się, a to najważniejsze.
- Wyszli z gmachu i stanęli na
szczybie schodów. - Jeszcze dziś załatwię
tobie, Novalowi i Condemu
przeniesienie do Abwehry. Jutro
polecicie do Lizbony rejsowym
samolotem
Lufthansy, naturalnie po cywilnemu.
Jeśli idzie o zakup cataliny, waszym
bankierem będzie rezydent A przy
poselstwie niemieckim. Sprawdźcie
samolot
od strony technicznej i złóżcie mi
meldunek, korzystając z szyfrowanego
telefonu ambasady. Oczekuję na
wiadomość najpóźniej do czwartku.

- Co za tempo! Zawsze byłeś szybki,
prawda, Hans?

- Taką już mam naturę - odparł Ritter i
ruszył schodami w stronę

mercedesa.

Sercem Lizbony i źródłem jej potęgi jest rzeka Tag, której rozlewiska stanowią naturalny port morski, świetnie zabezpieczony przed sztormami. To właśnie stąd wypływały niegdyś do Ameryki po złoto potężne galeony i to właśnie tutaj Carlos Romero odnalazł catalinę, zacumowaną do dwóch boi około półtora kabla od brzegu. Przybył do portu na dziesięć minut przed umówioną porą spotkania z portugalskim agentem, niejakim da Gama; towarzyszyli mu Javier Noval i Juan Conde. Wszyscy trzej stanęli na nabrzeżu i spoglądali na wodnosamolot.

- Wygląda nieźle - stwierdził Noval, krępy młody człowiek w wieku Romera, ubrany w wytartą skórzaną kurtkę lotniczą.

Conde, tęgi trzydziestopięcioletni mężczyzna, również noszący kurtkę lotniczą, spojrział na samolot, zasłaniając oczy przed jaskrawym słońcem.

- Poradzisz z nim sobie, Juan?

- Spokojna głowa.

Do nabrzeża przybiła motorówka, na której rufie stał mężczyzna w brązowym garniturze i panamie.

- Senor Romero? - zawołał po hiszpańsku, machając ręką. - Nazywam się da Gama. Zapraszam na pokład.

Trzej lotnicy zeszli po schodkach i wskoczyli do motorówki. Da Gama skinął głową do sternika, który popłynął w stronę samolotu.

- Wygląda nieźle, prawda? - spytał Portugalczyk.

- Wygląda fantastycznie - odparł Romero. - Skąd się właściwie tu wziął?

- Miejscowa linia żeglugowa postanowiła stworzyć regularne połączenie lotnicze z Maderą. W zeszłym roku jej właściciele zakupili catalinę w Stanach Zjednoczonych. Sprawowała się świetnie, lecz przewożono nią głównie pasażerów, a liczba miejsc jest zbyt ograniczona, by dawało się na tym zarobić. Wolno spytać, jakie mają panowie plany?

- Chcemy założyć przedsiębiorstwo transportowe działające w rejonie Morza Czerwonego i Zatoki Adeńskiej. Przewozy towarowe, może nawet do Goi.

**- Znam ten obszar - stwierdził da Gama.
- Catalina byłaby idealna.**

Motorówka przybiła do samolotu. Sternik zgasił silnik, a Noval i Conde uwiązali cumę do jednej z boi. Da Gama otworzył drzwi i czterej mężczyźni weszli na pokład cataliny. Romero rozejrzał się z błyskiem w oczach po kabinie pilota, a następnie usiadł w fotelu i ujął manetkę. Noval zajął miejsce w drugim fotelu i zaczął się przyglądać tablicy przyrządów.

- Piękna robota.

Da Gama, stojący obok Condego, otworzył skoroszyt zawierający dokumentację samolotu.

- Podam panom podstawowe dane techniczne. Długość dziewiętnaście metrów dwadzieścia centymetrów; wysokość cztery metry dziesięć centymetrów; rozpiętość skrzydeł trzydzieści jeden metrów siedemdziesiąt centymetrów. Dwa silniki "Pratt-Whitney", każdy o mocy tysiąc dwustu koni mechanicznych.

Prędkość podróżna dwieście dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Niezwykle duży zasięg. Bez ładunku może przelecieć sześć tysięcy kilometrów. Nie znam drugiego samolotu o podobnych parametrach.

- Ja także - odparł Romero i wstał z fotela. - Może pan nas odwiedzić na

brzeg.

Kiedy wygramolili się z powrotem do motorówki, da Gama uznał, że pora omówić kwestie finansowe.

- Naturalnie mamy wielu zainteresowanych... - zaczął.

Motorówka ruszyła.

- Nie targujmy się, przyjacielu, proszę po prostu przygotować umowę. Podam panu nazwisko swojego adwokata, a jutro podpiszemy dokumenty i otrzyma pan czek na żądaną sumę. Satysfakcjonuje to pana?

Da Gama zrobił zdumioną minę.

- Ależ oczywiście, senor!

Romero wyjął papierosa i przyjął ogień podany przez Novala. Obejrzał się na catalinę i wydmuchnął kłęb dymu.

Szef niemieckiego poselstwa w Lizbonie, baron Oswald von Hoyningen-Heune, zawodowy dyplomata starej szkoły, nie był nazistą i podobnie jak większość personelu misji cieszył się, że przebywa jak najdalej od Berlina. Z początku nie ufał dziwnemu Hiszpanowi przysłanemu z Niemiec i będącemu jednocześnie Hauptsturmführerem SS, jednak z czasem przyjemnie się rozczarował i polubił Romera.

Hiszpan wszedł do gabinetu, a von Hoyningen-Heune wstał zza biurka.

- Wszystko poszło gładko, mój drogi Romero?

- Jak po maśle. Da Gama skontaktuje się z adwokatem, a jutro podpiszemy umowę. Płatność czekiem z konta założonego przez pana barona.

Nawiasem

mówiąc, powinienem się natychmiast skontaktować z kapitanem Ritterem ze sztabu Abwehry.

- Naturalnie. - Baron podniósł słuchawkę czerwonego szyfrowanego telefonu

stojącego na biurku i zamówił rozmowę.

- To na pewno nie potrwa długo. Może koniaku?

- Chętnie.

Romero zapalił papierosa i usiadł na kanapie. Baron zajął miejsce naprzeciwko i podał mu kieliszek.

- Bardzo intrygująca sprawa - rzekł.

- A także ściśle tajna.

- Ma się rozumieć. Nie jestem wścibski. W istocie rzeczy wolę nawet nie wiedzieć, o co chodzi. - Uniósł kieliszek. - Ale i tak chciałem wypić za pański sukces.

W tym momencie zadzwonił czerwony telefon.

- Mogę odebrać? - spytał Romero.

- Ależ oczywiście. Pozostawiam to panu.

Baron wyszedł, a Romero podniósł słuchawkę telefonu.

- To ty, Hans?

- A kogo się spodziewałeś? - spytał Ritter. - Jak poszło?

- Znakomicie - odparł Romero. - Doskonała maszyna. Jestem bardzo zadowolony. Przekaż admirałowi, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Ritter zapukał do drzwi i wszedł do gabinetu. Canaris pił herbatę, trzymając na kolanach jamnika. Popatrzył na oficera Luftwaffe.

- Co takiego, Hans?

- Przed chwilą dzwonił z Lizbony Romero, panie admirale. Catalina jest w doskonałym stanie technicznym. Jutro ją kupi.

**- Świetnie. - Canaris skinął głową. -
Proszę sporządzić dodatkowy raport
na temat postępów operacji, a ja umówię
nas z Fuhrerem.**

**- Raport będzie gotów za pół godziny,
panie admirale.**

**Ritter pokuśtykał do drzwi, a Canaris
zawołał za nim:**

- Ach, jeszcze jedno, Hans!

- Tak, panie admirale?

- Weźmiemy ze sobą Mullera.

**Wezwanie nadeszło szybciej, niż Canaris
się spodziewał: Hitler wyznaczył
im audiencję o dziesiątej wieczór. Po
drodze zatrzymali się koło**

uniwersytetu i zabrali do samochodu Mullera, który oniemiał na wieść, że udają się na audiencję u samego Wodza.

Kiedy dotarli do gabinetu Hitlera, powitał ich dyżurny adiutant, który wstawszy zza biurka zapytał:

- Jak rozumiem, pan admirał ma raport dla Fuhrera?

- Zgadza się - odparł Canaris.

- Fuhrer życzy sobie go przeczytać przed rozmową z panami.

- Naturalnie.

Canaris wręczył adiutantowi teczkę z aktami, a oficer otworzył drzwi i wszedł do gabinetu. Canaris, Ritter i Muller zajęli miejsca w poczekalni.

Archeolog dygotał lekko i Canaris spytał:

- Dobrze się pan czuje, profesorze?

- Na litość boską, czyż to takie dziwne, że jestem trochę zdenerwowany?

Przecież mamy się spotkać z samym Führerem! Co mam mówić?!

- Proszę mówić jak najmniej - odparł Canaris i dodał ze szczyptą ironii:

- Niech pan po prostu pamięta, że stoi pan w obliczu wielkiego człowieka.

Otworzyły się drzwi i ukazał się adiutant.

- Führer oczekuje panów - oznajmił.

W gabinecie panował półmrok. Hitler siedział za ogromnym biurkiem i czytał raport przy świetle mosiężnej lampy. Wreszcie zamknął teczkę i spojrzał na przybyłych.

- Pierwszorzędna robota, admirale. To niewątpliwie jedna z naszych błyskotliwszych operacji.

- Wszystkie pochwały należą się w istocie kapitanowi Ritterowi, mein Fuhrer.

- Nie, admirale; majorowi Ritterowi. Z pewnością zasługuje na awans Muszę zresztą pana ostrzec: poważnie się zastanawiam, czy go panu nie ukraść i nie przenieść do swojego sztabu.

Hitler wstał, a speszony Ritter wybąkał:

- To dla mnie zbyt wielki zaszczyt, mein Fuhrer.

Hitler obszedł biurko i zbliżył się do Mullera.

- Profesor Muller, prawda? Pragnie pan poświęcić swoje zdumiewające odkrycia dla Rzeszy?

Muller, dygocący na całym ciele, zdołał jednak znaleźć właściwe słowa:

- Dla Fuhrera!

Hitler poklepał go po ramieniu.

- Zbliża się wielki dzień, panowie, największy dzień w historii Niemiec.

- Odszedł powoli od biurka i na mapie świata, zajmującej dużą część ściany, wyrósł jego ogromny cień. Stał przed mapą ze splecionymi ramionami. -

Możecie odejść, panowie.

Canaris skinął głową w stronę Rittera i Mullera, trzasnął obcasami i opuścił gabinet.

Później, wysadziwszy Mullera przy uniwersytecie, Canaris polecił kierowcy wrócić na Tirpitz Ufer. Kiedy limuzyna skręciła w boczną uliczkę, dostrzegł na rogu kawiarnię z oświetlonymi oknami i pochylił się ku szoferowi.

- Proszę się zatrzymać - rozkazał, po czym zwrócił się do Rittera: - Napijemy się kawy i koniaku. Trzeba oblać pański awans, majorze.

- Z przyjemnością, panie admirale.

Kawiarnia była prawie pusta. Zaszczycony właściciel podbiegł w lansadach

do Canarisa, zaprowadził obu oficerów do stolika pod oknem i czym prędzej przyjął zamówienie. Canaris wyjął papierośnicę i poczęstował Rittera, który podał przełożonemu ogień.

- Fuhrer był zadowolony - stwierdził Canaris, wydmuchując dym. - Jednakże Muller sprawił mi zawód. Nie jest dostatecznie silny.

- Zgadza się - odparł Ritter. - Potrzebujemy zawodowca, który mógłby go wesprzeć.

Właściciel przyniósł na tacy kawę i butelkę koniaku, a Canaris podziękował mu skinieniem dłoni.

- Musi pan znaleźć kogoś godnego zaufania, starego pracownika Abwehry.

- To nie będzie trudne, panie admirale.

**- Wie pan? Pański plan jest tak prosty,
że może się nawet udać -
stwierdził Canaris i napełnił kieliszki.**

- Ja też tak sądzę.

Canaris skinął głową.

- Jest tylko jeden problem.

- Co takiego, panie admirale?

**- I tak nie wygramy tej wojny,
przyjacielu. To po prostu niemożliwe.
Zmierzamy do piekła, Hans, ale na razie
wypijmy za pański awans.**

**Uniósł kieliszek i opróżnił go jednym
łykiem.**

Sierpień 1939

Dahrajn

3

**Kane stał na pokładzie kutra i
nasłuchiwał, czując na twarzy
podmuchy
wiatru wiejącego od strony Afryki i
wciąż niosącego ciepło upalnego dnia.**

**Noc była bezksiężycowa, lecz niebo nad
Zatoką Adeńską lśniło od milionów
gwiazd. Kane odetchnął głęboko,
wypełniając płuca świeżym powietrzem,
po**

czym spojrział na ławicę latających ryb, które wyskakiwały ponad powierzchnię morza, otoczone bryzgami fosforyzującej wody.

Otworzyły się drzwi do salonu i pokład zalało na moment światło. Po chwili na szczycie zejściówki pojawił się Piroo, marynarz hinduski, niosąc kubek parującej kawy.

- Właśnie tego mi było trzeba! - rzekł Kane, wypiwszy kilka łyków.

- "Kantara" się spóźnia, sahib - zauważył Piroo.

Kane skinął głową i zerknął na zegarek.

- Druga w nocy. Ciekawe, co też tym razem wymyślił ten stary diabeł O'Hara?

- Może to znowu whisky?

- Bardzo prawdopodobne - odrzekł z uśmiechem Kane.

Kiedy dopił kawę, Piroo dotknął go lekko w ramię.

- Chyba nadpływa, sahib.

Kane wyteżył słuch. Z początku słyszał tylko plusk fal o burtę kutra i szum wiatru, aż wreszcie zdołał uchwycić przytłumiony, cichy warkot silnika, a w dali rozbłysło zielone światło nawigacyjne na sterburcie "Kantary".

- W samą porę - mruknął.

Wszedł do sterówki, zapalił światła nawigacyjne, po czym nacisnął

starter, uruchamiając motor. Odczekał, aż parowiec się zbliży, a następnie otworzył łagodnie przepustnicę i ruszył w jego stronę zbieżnym kursem, by oba statki stanęły burta w burte.

Stary frachtowiec płynął z szybkością zaledwie dwóch lub trzech węzłów, a gdy kuter znalazł się blisko niego, Piroo wyłożył za burte odbijacze. Przy relingu "Kantary" ukazał się hinduski marynarz i rzucił cumę, którą Piroo szybko okręcił wokół pacholków. Po chwili o kadłub frachtowca zagrzechotała drabinka sznurowa, a Kane zgasił motor i wyszedł na pokład.

Burta "Kantary", pokryta rdzawymi zaciekami, wznosiła się ponad kutrem, a pojedynczy komin rysował się czarnym cieniem na tle nocnego nieba. Kane

zastanawiał się, i to nie po raz pierwszy, w jaki właściwie sposób ta kupa złomu wciąż unosi się na wodzie.

- Gdzie kapitan? - spytał w języku hindi, przeszedłszy przez reling i stanąwszy na pokładzie.

Hinduski marynarz wzruszył ramionami.

- W swojej kajucie.

Kane wdrapał się szybko po drabinie na górny pokład i zastukał do drzwi kajuty kapitańskiej. Nikt nie odpowiedział. Po chwili otworzył je i wszedł do środka. W kajucie, pogrążonej w ciemności, panował straszliwy smród. Kane odszukał kontakt i włączył światło.

O'Hara, ubrany tylko w podkoszulek i gacie, leżał z rozdziawionymi ustami na koi, szczerząc zepsute żółte zęby. Po podłodze turlały się w rytm kołysania statku puste butelki po whisky. Kane zmarszczył z niesmakiem nos i wyszedł na pokład.

Czekał tam nań inny marynarz hinduski.

- Bosman prosi pana na mostek - powiedział.

Kane wdrapał się prędko po żelaznej drabince na mostek. Przy kole stał bosman Guptas w białym turbanie, z twarzą podświetloną widmowo przez busolę.

Kane oparł się o framugę drzwi i zapalił papierosa.

- Od jak dawna to trwa?

Guptas uśmiechnął się szeroko.

- Odkąd wypłynęliśmy z Adenu. Odeśpi to wszystko za dwie doby.

- Ale kapitan! - westchnął Kane. - Co się tym razem stało? Dlaczego podczas rejsu z Bombaju nie zawinęliśmy jak zwykle do Dahrajnu?

- Płynęliśmy z ładunkiem do Mombasy, a później do Adenu - wyjaśnił Guptas.

- Skiros nie był zbyt zadowolony. Mam nadzieję, że towar jest w porządku?

Guptas kiwnął głową.

- Na pewno już go wynoszą. Ale, ale, mamy pasażerkę.

- Pasażerkę?! - spytał z niedowierzaniem Kane. - Na tej starej balii?!

- Amerykanke. Chciała czym prędzej opuścić Aden. Byliśmy jedynym statkiem mającym wyjść w morze, a catalina odlatywała dopiero za tydzień.

Kane cisnął papierosa w mrok, gdzie zakreślił on ognistą parabolę.

- Wobec tego nie będę się tu kręcił. Nie ma sensu jej budzić. Mogłaby zacząć coś podejrzewać.

Guptas skinął głową.

- Tak chyba byłoby mądrzej. Wczoraj tuż przed świtem zdarzyło się coś

dziwnego.

- Co takiego?

- Jakieś trzydzieści mil od brzegu zauważyliśmy na horyzoncie catalinę Romera. Wylądowała koło portugalskiego frachtowca. Przeładowano na nią kilkadziesiąt skrzynek.

- W końcu my zajmujemy się tym samym, prawda? - wzruszył ramionami Kane.

- Cóż z tego, że Romero też zajmuje się szmuglem? Trzeba jakoś żyć. Zobaczymy się w przyszłym miesiącu - dodał i zszedł zejściówką na pokład.

Wychylił się przez reling i obserwował dwóch marynarzy hinduskich,

spuszczających metalową bańkę na pokład kutra, na którym stał Piroo.

Nagle

z tyłu rozległ się cichy głos:

- Ma pan ogień?

Obrócił się prędko. Stała przed nim wysoka kobieta o krągłej gładkiej twarzy, która mogłaby sugerować słabość charakteru, gdyby nie uparty

zarys

warg. Nosila lekki płaszcz i chustkę na głowie.

Kane podał jej zapaloną zapalną, osłaniając ją złożonymi dłońmi.

- Trochę późno jak na spacer po pokładzie.

Wydmuchnęła dym i oparła się o reling.

- Nie mogłam zasnąć. Pasażerowie nie mają na tym statku zanadto komfortowych warunków.

- Łatwo mi w to uwierzyć.

- Ja też jestem Amerykanką. Dziwne miejsce jak na spotkanie z rodakiem.

Kane uśmiechnął się szeroko.

- W dzisiejszych czasach Amerykanie pojawiają się w najdziwniejszych miejscach.

Oparła się o reling i patrzyła na kuter.

- To pańska łódź, prawda?

Kane skinął głową.

- Jestem rybakiem z Dahrajnu. Złapał mnie sztorm i skończyło mi się

paliwo. Miałem szczęście, że spotkałem "Kantarę".

- Chyba tak.

Kane czuł niepokojącą woń perfum Amerykanki i z jakiegoś powodu nie przyszło mu do głowy nic; co mógłby powiedzieć. Nagle zawołał go z kutra Piroo.

- Muszę płynąć - rzekł z uśmiechem.

- Taki jest los żeglarza - odparła nieznajoma.

Kane zszedł szybko po drabince sznurowej, a Piroo rzucił cumę. Frachtowiec natychmiast ruszył w drogę. Kane widział Amerykankę w żółtawej poświacie świateł pokładowych; opierała się o reling i patrzyła na kuter,

dopóki "Kantara" nie zniknęła w ciemności.

Niebawem przestał o niej myśleć, bo miał w tej chwili ważniejsze rzeczy na głowie. Na pokładzie stał ciągle dwugalonowy pojemnik po nafcie. Kane obejrzał go szybko, po czym zszedł do salonu.

Piroo przygotował już akwalung. Kane rozebrał się, zostając tylko w szortach, Hindus zaś pomógł mu włożyć butlę na plecy. Wyszli na pokład. Piroo zniknął w sterówce i przyniósł potężny reflektor podwodny połączony długim przewodem z generatorem kutra.

Do bocznych ścianek bańki po nafcie przyspawano metalowe kółka, a Piroo przeciągnął przez nie grubą konopną linę. Tymczasem Kane włożył maskę do

nurkowania i ścisnął mocno między zębami ustnik rury oddechowej.

Następnie

chwycił reflektor i skoczył za burtę.

Znalazłszy się w wodzie, wyregulował dopływ tlenu i popłynął w dół, aż znalazł się pod kadłubem kutra.

Przebywał samotnie w podwodnym świecie i miał niezwykle poczucie nieważkości, podkreślone przez fosforyczne lśnienie wody, w której jarzyły się nieziemsko przejrzyste ryby, przywabione światłem reflektora.

Po chwili w wodzie pojawił się metalowy pojemnik, wyrzucony za burtę przez Piroo. Kane chwycił konopną linę i przewlókł ją prędko przez dwa żelazne kółka przymocowane do kila kutra.

**Zacisnąwszy węzeł, odwrócił się i zawisł
nieruchomo w wodzie,
zafascynowany pięknem otoczenia.
Wokół pływały ławice lśniących ryb,
które
przywodziły na myśl świece płonące w
mroku. W pobliżu przemknęły jak
srebrzyste błyskawice dwie barakudy, a
po chwili w świetle reflektora
pojawił się dwuipółmetrowy rekin, który
zastygł w bezruchu, obserwując
Kane'a.**

**Kiedy jął się zbliżać, Amerykanin wyjął
z ust rurę oddechową i wyrzucił z
płuc strumień srebrzystych bąbelków.
Rekin poruszył błyskawicznie ogonem,
zmieniając kurs, i zniknął w ciemności.**

**Kane wypłynął szybko na powierzchnię,
a Piroo przeciągnął go przez niski
reling.**

- Wszystko w porządku, sahib?

Kane skinął głową i zdjął akwalung.

- Żadnych problemów. Tylko jeden rekin, który chciał się ze mną pobawić.

Hindus uśmiechnął się szeroko, błyskając białymi zębami. Podał Kane'owi ręcznik i Amerykanin zszedł pod pokład. Woda była zadziwiająco zimna; wytarł się energicznie i włożył ubranie.

Wróciwszy na pokład, zauważył, że wiatr przybiera na sile. Piroo przyniósł mu kubek kawy; pijąc ją, Kane spostrzegł na widnokręgu światła nawigacyjne "Kantary" i przypomniał sobie nieznaną Amerykankę.

Wydawała się dość atrakcyjna i zastanawiał się, co robiła na tej starej przerdzewiałej balii. Pytanie to musiało naturalnie pozostać bez odpowiedzi.

Miał przez chwilę wrażenie, że w nocnym powietrzu czuć lekki zapach jej perfum. Uśmiechnął się krzywo, po czym wszedł do sterówki, uruchomił silniki i skierował kuter w mrok.

4

Przyłynęli do Dahrajnu wczesnym popołudniem. Kiedy kuter okrążył zakrzywiony cypel zabudowany białymi domami, z portu wypłynęła dwumasztowa łódź arabska z wydętymi łacińskimi żaglami, wyruszając w długi rejs przez

Morze Arabskie do Indii.

Przy falochronie rozładowywano "Kantarę", na piaszczystej plaży siedzieli

rybacy, cierpliwie naprawiając sieci, a w morzu baraszkowało kilkoro nagich dzieciaków.

Kane wyłączył silnik i dał znak Piroo, który stał na rufie z kotwicą w ręku; zniknęła z pluskiem w zielonych wodach zatoki. Kuter płynął naprzód jeszcze przez chwilę, po czym zatrzymał się z łagodnym szarpnięciem w odległości około pięćdziesięciu metrów od zrujnowanego kamiennego falochronu zamykającego port od wschodu.

Piroo zniknął pod pokładem, a Kane wyszedł ze sterówki. Zapalił

papierosa, podążył powoli na rufę i stanął z nogą opartą na mosiężnym relingu, nasunawszy głęboko na oczy przetartą, odbarwioną przez sól czapkę chroniącą przed niemiłosiernym słońcem.

Był wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną ubranym w spłowiałe dzinsy i bluzę od dresu. Miał przydługie kasztanowe włosy i trzydniowy zarost na policzkach. Ogorzała skóra twarzy ciasno opinała sterczące kości jarzmowe, a głęboko osadzone oczy, spokojne i pozbawione wyrazu, spoglądały zawsze w dal, jakby wypatrywały czegoś na horyzoncie.

Kiedy Kane rozglądał się po porcie, między dwoma zacumowanymi

**dwumasztowymi łodziami arabskimi
pojawiła się niewielka szalupa. Chudych
arabskich wioślarzy poganiał gruby
brodaty urzędnik w pogniecionym
mundurze**

**khaki i białym zawoju na głowie. Z tyłu
rozległo się ciche kasznięcie i**

**Kane wyciągnął rękę, nie spuszczając
oczu z szalupy. Piroo podał mu dużą
szklaneczkę dzinu z brzęczącymi
kostkami lodu i spytał cicho:**

**- Kapitan Gonzalez może przeszukać
kuter, prawda, sahib?**

Kane wzruszył ramionami.

- W końcu za to mu płacą.

**Popijał powoli dzin, rozkoszując się jego
chłodem, i spoglądał na
nadpływającą szalupę. Kiedy stuknęła o
burtę kutra, Gonzalez uśmiechnął się**

do Kane'a. Jego twarz lśniła od potu i bez powodzenia usiłował oganiać się od much japońskim wachlarzem trzymanym w prawej ręce.

Kane uśmiechnął się do Hiszpana.

- Wygląda na to, że tym razem upał naprawdę ci dopiekl, Juan.

Gonzalez wzruszył ramionami i odpowiedział nienaganną angielszczyzną:

- Tylko poczucie obowiązku skłoniło mnie dziś, bym pojawił się w porcie, gdy przybył statek pocztowy z Adenu. - Otarł twarz rogiem zawoju. - Skąd przyływasz tym razem?

Kane dopił dzin i oddał szklaneczkę Piroo, który stał ciągle obok niego.

**- Z Mukalli - odpowiedział. -
Przewoziłem listy na zlecenie Marie
Perret.**

**- Ach, rozkoszna mademoiselle Perret! -
cmoknął Gonzalez. - Szczęściarze
z nas, szczęściarze! Oto właśnie
przebłysk rajy na ziemi! Wiesz jakiś
ładunek?**

Kane pokręcił głową.

**- W drodze powrotnej miałem na linie
rekina, ale się zerwał.**

**Gonzalez uniósł rękę i zaczął
przewracać oczami.**

**- Ach, ci Amerykanie! Zawsze staracie
się coś sobie udowodnić!**

**- Chcesz wejść na pokład, by
skontrolować ładownię? - spytał Kane.**

Hiszpan pokręcił głową.

- Czyż mógłbym obrazić przyjaciela? - skinął na wioślarzy, by skierowali szalupę w stronę brzegu. - Popłynę do domu, gdzie czeka na mnie butelka dzinu i chłodna dłoń mojej żony.

Kane obserwował odpływającą szalupę, która zniknęła między niezliczonymi łodziami rybackimi kotwiczącymi tuż przy brzegu. Po chwili cisnął niedopałek do wody i odwrócił się tyłem do relingu.

- Chyba pójdę popływać - odezwał się. - Umyj pokład, Piroo, a później możesz zejść na brzeg i odwiedzić swoją dziewczynę.

Podążył do kabiny i szybko się przebrał. Kiedy wrócił na pokład, nosił

starą parę szortów khaki, a przy pasie dyndała mu skórzana pochwa z nożem o korkowej rękojeści. Piroo stał koło relingu, ciągnąc energicznie za linę, i po chwili z wody wynurzył się duży brezentowy worek. Hindus wylał jego zawartość na pokład i wrzucił go z powrotem do wody.

Kane nie włożył tym razem maski do nurkowania. Przebiegł koło Hindusa i skoczył nad relingiem do wody. W tym miejscu morze miało siedem metrów głębokości i Kane nurkował w czystej zielonej wodzie, rozkoszując się jej chłodem. Wisiał przez moment nad dnem, po czym odbił się od białego piasku i popłynął ku górze.

Zbliżywszy się prawie do powierzchni wody, zmienił kierunek, aż znalazł

się pod kadłubem. Dwugalonowy pojemnik ciągle wisiał pod kilem, gdzie go przymocował.

Obejrzał go i szybko wypłynął na powierzchnię. Koło relingu stał Piroo z brezentowym workiem w rękach. Kane kiwnął głową, zaczerpnął głęboko tchu i znów dał nurka pod wodę.

Dotarłszy do metalowego pojemnika, wyjął nóż i przeciął mocującą go linę. W tej samej chwili uderzył go w plecy brezentowy worek; przyciągnął go wolną ręką do siebie i wepchnął pojemnik do środka. Szarpnął dwukrotnie linę, a Piroo gładko wyciągnął bańkę na powierzchnię.

Nie było potrzeby się śpieszyć. Kane zanurkował do dna zatoki, pokrytego

białym piaskiem, po czym wypłynął powoli, otoczony kaskadą srebrzystych bąbelków. Kiedy się wynurzył i przeszedł przez reling, pokład był pusty. Czekał już nań starannie złożony ręcznik. Kane osuszył się szybko i zszedł pod pokład, energicznie wycierając wilgotne włosy.

Na podłodze kajuty przykucnął Piroo; umieścił pojemnik między kolanami i zręcznie podważył dłutem wieko. Włożył do środka rękę i wyjął spory brezentowy pakunek.

- Otworzyć, sahib? - spytał, patrząc na Kane'a.

Amerikanin pokręcił przecząco głową.

- Zostawimy tę przyjemność Skirosowi. W końcu to on płaci. Ale lepiej pozbadźmy się tej bańki.

Hindus wziął pojemnik i wyszedł na pokład. Kane ważył przez chwilę pakunek w dłoniach, marszcząc lekko brwi, po czym rzucił go na stół i położył się na koi.

Nagle ogarnęła go fala śmiertelnego znużenia i przypomniał sobie, że nie spał od dwudziestu czterech godzin. Zamknął oczy i odprężył się, gdy wtem rozległo się głośnie stuknięcie o burzę kutra i w drzwiach pojawił się Piroo.

- To Selim, sahib.

Kane siedział przez chwilę na koi z grymasem irytacji na twarzy, po czym sięgnął pod poduszkę i wyjął colta kalibru jedenaście i czterdzieści trzy setne milimetra. Wsunął rewolwer za pasek od spodni, minął Piroo i wyszedł

na pokład.

Przez reling przechodził właśnie wysoki Arab, odziany w nieskazitelnie białą galabiję i zawój z czarnymi jedwabnymi sznurami. Miał śniadą twarz, chłodne lśniąco oczy i wąskie wargi zniekształcone przez starą szramę, która niknęła w brodzie.

- Czego tu szukasz? - spytał ostro Kane.

Za pasem Selima tkwiła dzambija; Arab musnął palcami jej wykładaną srebrem rękojeść.

- Przysłał mnie Skiros - odparł. - Mam odebrać paczkę.

- Wobec tego wracaj do Skirosa i powtórz mu, żeby przyszedł do mnie

**osobiście. Nie wpuszczam na swój kuter
byle kogo.**

**- Pewnego dnia posuniesz się za daleko i
będę musiał cię zabić - rzekł
cicho Selim.**

- Już sikam ze strachu.

**Arab z trudem panował nad
wściekłością.**

- Paczka.

**Kane wyjął zza paska rewolwer i
odciągnął kurek.**

- Wynoś się z mojego jachtu.

**Nagle zapadła śmiertelna cisza i słyhać
było tylko głuche dudnienie
pustej beczki toczonej przez dokera po
kamiennym nabrzeżu. Dłoń Selima**

zaczęła się na rękojeści dzambii, a Kane zrobił szybko krok do przodu, uniósł nogę i kopnięciem strącił Araba do wody.

Dwóch wioślarzy arabskich siedzących w ciężkiej szalupie czym prędzej wciągnęło swojego pana przez rufę. Selim leżał przez moment na dnie łodzi, kaszląc spazmatycznie, z przemoczoną galabiją przylegającą do ciała.

Kane oparł stopę na relingu, trzymając niedbale colta w prawej ręce. Selim spoglądał nań przez chwilę morderczym wzrokiem, po czym pstryknął palcami i dwaj wioślarze napaarli z kamiennymi twarzami na wiosła.

Obok przerdzewiałego frachtowca do falochronu przycumowano dużą

trójmasztową arabską łódź żaglową, w której Kane rozpoznał "Farah", własność Selima. Szalupa płynęła powoli w stronę łodzi, a Kane obserwował ją przez chwilę, po czym odszedł od relingu.

Piroo pokręcił głową z zatroskaną miną.

- Źle, sahib. Selim nigdy tego nie zapomni.

- To moje zmartwienie - odparł Kane, wzruszając ramionami. Ziewnął leniwie, czując przyływ znużenia. - Chyba się trochę prześpię. Jak pojawi się Skiros, daj mi znać.

Piroo skinął posłusznie głową i przykucnął na pokładzie oparty plecami o reling, Kane zaś zszedł do kabiny.

Schował colta z powrotem pod poduszkę i przygotował sobie drinka, po czym zapalił papierosa i położył się na koi. Oparł głowę na poduszce i wpatrywał się w sufit, obserwując niebieski dym wprawiany w ruch wirowy przez prądy powietrza z klimatyzatora. Myślał o Selimie.

Był on dobrze znany w każdym porcie arabskim od Morza Czerwonego do Zatoki Perskiej. Handlował wszystkim, co przynosiło zysk - złotem, bronią, nawet ludźmi, a z tym ostatnim trudno było się Kane'owi pogodzić. W większości krajów arabskich istniało ciągle duże zapotrzebowanie na niewolników, zwłaszcza płci żeńskiej, a Selim starał się je zaspokoić. Specjalizował się w młodych dziewczętach.

Kane zastanawiał się, jak zareagowałby Selim, gdyby pewnej ciemnej nocy "Farah" nagle zatoneła. Można by to dość łatwo zaaranżować. Wystarczyłby niewielki ładunek wodoodpornego plastiku; taki, jaki Kane zastosował podczas penetracji wraku w Mukalli. Była to przyjemna myśl.

Zamknął oczy i otoczyła go ciemność.

Spał zaledwie godzinę, gdy obudziło go lekkie dotknięcie w ramię. Koło koi stał Piroo.

- Co się dzieje? Skiros? - spytał Kane, wsparłszy się na łokciu.

Hindus skinął poważnie głową.

- Czeka na falochronie, sahib.

Kane opuścił nogi na podłogę, wstał i przeciągnął się.

- W porządku. Popłynij po niego szalupą.

Wyszedł na pokład razem z Hindusem. Na skraju falochronu istotnie stał Skiros, ubrany w szerokoskrzydłą panamę i przybrudzony biały płócienny garnitur. Marynarkę podwiewał mu wiatr, tak że wydawał się jeszcze grubszy niż w rzeczywistości; robił dość groteskowe wrażenie.

Piroo zszedł do szalupy i powiosłował szybko w stronę Greka, który uniósł laskę i zawołał dobrodusznie:

- Mam nadzieję, że łódź się nie wywróci! Już się dzisiaj kąpałem!

Kane pomachał mu ręką.

- Przygotuję ci drinka!

Skiros zszedł po żelaznej drabince przymocowanej do falochronu i wgramolił się do szalupy. Kane obserwował go przez chwilę, po czym wrócił

pod pokład. Przygotował dwa dziny, gdy wtem szalupa stuknęła o kadłub kutra. Po chwili zaskrzypiały schody i do kabiny wszedł Skiros.

- Dlaczego, u licha, kotwiczysz na środku portu?! - spytał opadając z jękiem na fotel. - Nie możesz przycumować do falochronu jak wszyscy inni?

Na marynarce Skirosa widać było wielkie ciemne plamy potu, który ściekał

również po otyłej twarzy. Grek wyjął czerwoną jedwabną chusteczkę i otarł czoło, po czym zaczął się wachlować panamą. Miał lśniące, wybrylantynowane włosy i małe przebiegłe oczka.

Kane wręczył mu szklaneczkę dzinu.

- Myślałem, że już mnie znasz. Nie wierzę nikomu w tym przeklętym mieście; wolę być otoczony fosą.

Skiros pokręcił głową.

- Zwariowani Amerykanie. Nigdy was nie zrozumieć. - Wypił łyk dzinu, po czym ostrożnie postawił szklanekę na stole. - Miałeś, zdaje się, jakieś kłopoty z Selimem?

Kane zapalił papierosa.

- Nie nazwałbym tego kłopotami. Po prostu wyrzuciłem go ze swojego kutra i wpadł do morza. Od jak dawna dla ciebie pracuje?

Grek wzruszył tęgimi ramionami i nieśpiesznie zapalił lśniąca czarne cygaro.

- Wykorzystuję go od czasu do czasu. W razie potrzeby jeździ do Indii, żeby coś dla mnie załatwić. Przysłałem go do ciebie dziś po południu tylko dlatego, że sam byłem zajęty.

Kane zmarszczył brwi.

- Nie przysyłaj go więcej. Nie podoba mi się ta gnida. Kiedyś wziąłem na pokład czterech niewolników, których wyrzucił do morza trzy mile od brzegu, gdy ścigała go brytyjska kanonierka.

Skiros wzruszył ramionami i uniósł dłoń na znak kapitulacji.

- W porządku, może ci się nie podobać sposób, w jaki zarabia pieniądze, ale dam ci pewną radę. Dzisiejszego popołudnia wystawię Selima na pośmiewisko. Odtąd na twoim miejscu byłbym bardzo, ale to bardzo ostrożny.

Kane położył na stole paczkę w brezentowym opakowaniu.

- Przejdźmy do interesów.

Skiros wyjął scyzoryk i jął ostrożnie przecinać brezent.

- Miałeś jakieś kłopoty?

Amerykanin pokręcił głową.

- Przybyłem na miejsce spotkania tuż po północy. Statek się spóźnił, a O'Hara był jak zwykle pijany. Dowództwo sprawował Guptas. Powiedział mi coś interesującego.

- Co takiego?

- Widział catalinę około trzydziestu mil od brzegu. Przeładowywano na nią towary z portugalskiego frachtowca.

Skiros roześmiał się.

- Więc Romero też zajmuje się przemytem? Bardzo ciekawe. Nie miałeś kłopotów z celnikami?

Kane wzruszył ramionami.

- Żadnych. Gonzalez nawet nie wszedł na pokład. Straciłem tylko czas,

mocując pod kilem tę metalową bańkę po benzynie.

- W tym fachu nigdy nie traci się czasu - zaprzeczył Grek. - Któregoś dnia, gdy będziesz się tego najmniej spodziewał, postanowi spełnić sumiennie swój obowiązek. - Zdjął brezentowe opakowanie i zaczął liczyć paczki indyjskich banknotów.

- Nigdy nie zrozumie tego interesu - stwierdził Kane, kręcąc głową. - Przemycasz złoto do Indii i wywozisz rupie.

- To tylko kwestia kursu wymiany - uśmiechnął się Skiros. - W dzisiejszych czasach tak łatwo zarabiać pieniądze. Wcale nie trzeba kraść. - Jego twarz ociekała potem. - Ach, przyjacielu, gdybyś wiedział, jak

**działa na mnie forsa! - westchnął,
trzymając dłonie nad stosem
banknotów. -**

**Kiedy przeniosłem się tu z Goi pół roku
temu, nie miałem pojęcia, że to
miasto jest prawdziwą żyłą złota.**

Kane dolał sobie dzinu.

**- Dlaczego od czasu do czasu nie
spróbujesz trochę tego wydać?**

Skiros wzruszył ramionami.

**- Wychowałem się na górskiej farmie w
północnej Grecji. Na polach było
więcej kamieni niż ziemi. Mając
dwadzieścia pięć lat, moja matka była
starą
kobietą, a pewnego roku, gdy susza
zniszczyła zbiory, moje dwie siostry**

umarły z głodu. Nie mogę tego zapomnieć. Właśnie dlatego tak lubię zarabiać pieniądze. Czuję dreszcz rozkoszy na widok wyciągów ze swojego konta bankowego i żal mi każdego wydanego grosza.

Kane uśmiechnął się szeroko.

- Skoro już mówimy o płaceniu, chętnie odebrałbym w tej chwili swój udział. Jak zwykle w dolarach, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Skiros roześmiał się, aż zatrzęśły mu się fałdy tłuszczu na brzuchu.

- Ależ pamiętam o tobie, drogi przyjacielu! Jesteś w końcu jednym z głównych elementów mojej organizacji, moim najważniejszym łącznikiem.

- Daj spokój pochlebstwom i wykładaj gotówkę.

Skiros wyciągnął z kieszeni pękaty portfel i zaczął odliczać studolarówki. Międlil je spoconymi palcami i kładł z ociąganiem na stole. Odliczywszy dwa tysiące dolarów zatrzymał się, po czym dodał jeszcze pięćset.

**- Oto twoja należność, drogi przyjacielu
- rzekł. - Umówiliśmy się na dwa tysiące, ale wypłacam ci jeszcze pięćset jako premię. Niechaj nikt nie mówi, że Skiros nie wynagradza dobrej pracy.**

Kane wrzucił pieniądze do szuflady.

- Ty stary pająku, dobrze wiesz, że większość i tak do ciebie wróci: albo

poprzez bar w twoim hotelu, albo przy stołach gry.

Skiros znów się roześmiał, a jego twarz zmarszczyła się tak bardzo, że oczy prawie zniknęły. Wreszcie wstał z wysiłkiem.

- Muszę iść. - Podszedł do drzwi i zatrzymał się. - Ach, zapomniałem o czymś ważnym. - Odwrócił się powoli. - Dziś po południu przyплыnęła statkiem z Adenu pewna kobieta, Amerykanka nazwiskiem Cunningham, Ruth Cunningham. Wyjątkowo ładna. Pytała o ciebie.

Kane zeszywniał i zmarszczył ze zdumieniem brwi.

- Nie znam nikogo o nazwisku Cunningham.

Skiros wzruszył ramionami.

- Ale ona cię zna, a przynajmniej o tobie słyszała. Mieszka w moim hotelu. Powiedziałem, że będę się z tobą widział, i kazała przekazać ci wiadomość. Chciałaby, żebyś przyszedł do hotelu. To podobno bardzo ważna sprawa.

Kane wciąż siedział przy stole, opierając łokieć na blacie.

- Przyjdiesz? - spytał po chwili Skiros.

Kane wyprostował się i kiwnął głową.

- Pewnie, że przyjdę. Dziś wieczorem.

Skiros kiwnął głową.

- Dobrze. Powtórzę jej to. - Uśmiechnął się. - Nie rób takiej zmartwionej miny. Może to tylko turystka? Może chce, żebyś zabrał ją jachtem na wycieczkę wzdłuż rafy, gdzie mogłaby trochę ponurkować z kuszą?

Kane skinął powoli głową.

- Tak, chyba masz rację.

Mimo to nie wierzył, że Amerykanka jest jedynie turystką, i gdy Skiros odszedł, położył się z powrotem na koi i patrzył w sufit, usiłując sobie przypomnieć Ruth Cunningham. Nie udało mu się to. Jej nazwisko nic dla niego nie znaczyło.

Zerknął na zegarek. Było tuż po trzeciej. Leżał na koi jeszcze przez chwilę, po czym westchnął, opuścił nogi na podłogę i zaczął się ubierać.

Włożył spłowiałe drelichowe spodnie i sweter i wyszedł na pokład. Piroo przykucnął koło relingu z głową zwieszoną na piersi, tak że widać było tylko górną część jego białego turbana. Kane trącił go lekko stopą, a Hindus natychmiast się ocknął i wstał.

- Schodzę na brzeg - rzekł Kane. - Chcesz zrobić to samo?

Piroo wzruszył ramionami.

- Chyba nie, sahib, może później. Powiosłuję do falochronu i wrócę na kuter. Tak będzie rozsądniej. Selim może wrócić.

Kane skinął głową.

- Pewnie masz rację. Jeśli pojawi się Selim, mój colt jest pod poduszką.

Nie wahaj się go użyć. Mam w Dahrajnie znacznie więcej przyjaciół niż on.

Zszedł po drabince do szalupy, a Piroo obsadził wiosła w dulkach i popłynął w stronę rozlatującego się kamiennego falochronu. Kane wszedł szybko po metalowej drabince, a gdy wystawił głowę ponad jego powierzchnię, dostrzegł w odległości kilku metrów kobietę, która siedziała na dużym głazie i bacznie mu się przyglądała.

Ruszył naprzód, a kobieta wstała i zrobiła parę kroków w jego stronę. Nosila białą płócienną spódnicę, błękitną jedwabną chustkę zakrywającą włosy i ciemne okulary przeciwsłoneczne.

Kiedy je zdjęła, natychmiast rozpoznał w niej Amerykankę spotkaną

**poprzedniej nocy na pokładzie
"Kantary".**

Uśmiechnął się niepewnie.

**- To znowu pan? - spytała ze
zdziwieniem. - Szukam kapitana Kane'a,
Gavina Kane'a.**

**- Właśnie tak się nazywam. Czym mogę
pani służyć, pani Cunningham?**

Zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

**- Poleciał mi pana pan Andrews, konsul
amerykański w Adenie. Podobno jest
pan archeologiem i znawcą południowej
Arabii.**

Kane uśmiechnął się lekko.

**- Chce pani powiedzieć, że na to nie
wyglądam? Andrews miał rację. Jestem**

**rzeczywiście archeologiem i wiem co
nieco o południowej Arabii. Czy mogę
pani jakoś pomóc?**

**Popatrzyła na zatokę, marszcząc lekko
czoło, po czym odwróciła się i
spojrzała nań siwymi, chłodnymi
oczyma.**

**- Chcę, żeby pan odnalazł mojego męża,
i jestem skłonna dobrze zapłacić
za pańskie usługi.**

**Kane sięgnął po papierosa i zapalił go
powoli.**

- Jak dobrze?

**Wzruszyła ramionami i odrzekła
spokojnie:**

**- Pięć tysięcy dolarów natychmiast i
drugie pięć, jeśli go pan odnajdzie.**

Przez dłuższą chwilę spoglądali na siebie w milczeniu. Wreszcie Kane westchnął.

- Porozmawiajmy o tym, pijąc coś zimnego. Znam odpowiednie miejsce.

Ujął ją za ramię i poprowadził falochronem w stronę nabrzeża.

drodze do hotelu prawie nie rozmawiali. Ruth Cunningham włożyła z powrotem okulary i rozglądała się z wyraźnym zainteresowaniem po porcie, a tymczasem Kane obserwował ją kątem oka.

Kiedy dotarli do początku falochronu i ruszyli wzdłuż nabrzeża, doszedł do wniosku, że Skiros się pomylił. Nie była ładna - była piękna. Prosta płócienna sukienka sugestywnie podkreślała jej wspaniałą figurę i długie, wysmukłe nogi. Kane już dawno nie miał do czynienia z kobietą tej klasy.

Hotel mieścił się w wysokim budynku ze zniszczoną fasadą i wąskim wejściem. W foyer, gdzie panowało nieznośne gorąco, powoli obracał się staroświecki wiatrak. Kane zaprowadził Ruth do baru.

Panowały w nim pustki i słychać było tylko poskrzypujące na wietrze drzwi balkonowe wychodzące na taras. Ruth Cunningham zdjęła okulary przeciwsłoneczne i zmarszczyła brwi.

- Gdzie się podzieli kelnerzy?

Kane wzruszył ramionami.

- Po południu prawie nikt tu nie przychodzi, bo wszyscy oddają się sjeście. Jest za gorąco, by cokolwiek robić.

- Co kraj, to obyczaj - uśmiechnęła się Ruth. - Muszę przyznać, że podróże rzeczywiście rozszerzają horyzonty.

Kane obszedł szynkwas.

- Mogłaby pani usiąść na tarasie, a tymczasem ja przygotuję drinka. Co pani na to? Wieje wiatr od morza i na zewnątrz jest na pewno troszkę zimniej.

Ruth skinęła głową, wyszła przez dwuskrzydłowe drzwi i usiadła w dużym

wiklinowym fotelu stojącym pod parasolem pomalowanym na krzykliwe kolory.

Kane otworzył staroświecką lodówkę stojącą pod szynkwasem i wyjął dwie duże oszronione butelki piwa. Otworzył je, podważając kapsle pod metalową krawędzią lady, po czym przelał zawartość do dwóch wysokich szklanek i wyszedł na taras.

Ruth uśmiechnęła się z wdzięcznością, gdy wręczył jej szklankę, i szybko wypła trochę piwa.

- Prawie zapomniałam, że istnieją zimne napoje - westchnęła. - Co za piekielny upał! Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, by ktoś mógł się tu osiedlić z własnej woli.

Kane poczęstował ją papierosem.

- Dahrajn ma sporo zalet.

**- Obawiam się, że jak na razie nie
umiem jeszcze ich docenić. -**

**Uśmiechnęła się, po czym usiadła
wygodniej na spłowiałych poduszkach
leżących na fotelu. - Konsul Andrews
twierdzi, że pochodzi pan z Nowego
Jorku i że był pan wykładowcą
archeologii na Uniwersytecie Columbia.**

Kane skinął głową.

- Owszem, przed wielu laty.

**- Jest pan żonaty? - spytała niedbałym
tonem.**

**- Rozwiedziony - odparł, wzruszając
ramionami. - Żona i ja nie
potrafiliśmy się dogadać.**

Ruth Cunningham zarumieniła się.

- Przepraszam za to pytanie. Mam nadzieję, że nie rozdrapałam starych ran?

- Wręcz przeciwnie. Wszyscy popełniamy błędy. Moja żona mylnie sądziła, że profesorowie uniwersytetu dobrze zarabiają.

- Pan też popełnił jakiś błąd?

- Wyobrażałem sobie, że spokojne, uporządkowane życie akademickie może mnie zadowolić. Zresztą zatrudniłem się na uniwersytecie tylko ze względu na Lillian. Po jej odejściu odzyskałem wolność.

- I pojechał pan na Wschód?

- Nie od razu. Najpierw wstąpiłem do lotnictwa wojskowego i po rocznym kursie zostałem zawodowym pilotem. Służyłem w Siłach Powietrznych przez pięć lat i dopiero później wyruszyłem na Wschód. Sześć lat temu pojechałem z amerykańską ekspedycją do Jordanii, później pracowałem dla władz egipskich, ale nie trwało to długo. Przybyłem do Dahrajnu z niemieckim geologiem, który potrzebował tłumacza znającego arabski. Zostałem po jego odjeździe.

- Nie ma pan ochoty wrócić do Stanów?

- Po co? Żeby zostać profesorem wykładającym historię starożytną studentom, których to w ogóle nie interesuje?

- Dahrajn wydaje się panu ciekawszy?

Kane skinął głową.

- Ma w sobie coś szczególnego, co wchodzi człowiekowi w krew. Ten rejon nazywano niegdyś Arabia Felix, Arabia Szczęśliwa, i biegł tędy szlak handlowy z Indii do basenu Morza Śródziemnego, co doprowadziło do rozkwitu tego obszaru. Obecnie to tylko jałowa pustynia, ale w górach i na północy, na granicy z Jemenem, znajdują się miejsca będące rajem dla archeologa. Ruiny ogromnych miast, widoczne do dzisiaj jak Marib, gdzie mogła mieszkać królowa Saba, lub zasypane od stuleci przez piasek.

- Więc pańską wielką miłością jest ciągle archeologia?

- Owszem, ale nie przyszliśmy tutaj, żeby rozmawiać o mnie. Nie

powinniśmy wreszcie pomówić o pani mężu?

Ruth wyjęła z torebki cienką złotą papierośnicę, wybrała papierosa i w zamyśleniu stuknęła nim kilkakrotnie w paznokiec.

- Nie wiem, od czego zacząć. - Zaśmiała się smutno. - Zawsze mnie bardzo rozpieszczano.

- Brzmi to prawdopodobnie - odparł Kane, kiwając głową. - Ale co z pani mężem?

Ruth zmarszczyła brwi.

- Poznałam Johna Cunninghama na jakimś przyjęciu w Stanach. Był Anglikiem

i przyjechał na rok do Harvardu ze Szkoły Języków Orientalnych w Londynie.

Pobraliśmy się.

- Tak po prostu? - zdziwił się Kane.

Skinęła potakująco głową.

- Był wysoki, dystyngowany i bardzo angielski. Nigdy przedtem nie spotkałam kogoś takiego.

- I kiedy zaczęły się kłopoty?

Uśmiechnęła się lekko.

- Przenikliwy z pana człowiek, kapitanie.

- Wpatrywała się przez chwilę w szklanę. - Szczerze mówiąc, prawie natychmiast. Szybko się zorientowałam, że poślubiłam człowieka o niezłomnych zasadach, wierzącego we własną

niezależność.

- Brzmi to dość rozsądnie.

Ruth pokręciła głową i westchnęła.

- Mój ojciec był innego zdania. Życzył sobie, żeby mój mąż zaczął pracować w firmie, ale John nie chciał nawet o tym słyszeć.

- Niezbyt to ładnie z jego strony - odparł z uśmiechem Kane. - I co się później stało?

- Mieszkaliśmy w Londynie, a John pracował na uniwersytecie. - Wyprostowała się w fotelu. - Naturalnie nie zarabiał zbyt wiele, ale ojciec wyznaczył mi wysoką pensję.

- Aby mogła pani żyć na stopie, do której była pani przyzwyczajona? -

spytał Kane, a w jego głosie zabrzmiało coś podejrzanie podobnego do rozbawienia.

Ruth zarumieniła się lekko.

- O to mniej więcej chodziło.

- A pani mąż miał coś przeciwko temu?

Wstała, podeszła do balustrady tarasu i popatrzyła na port.

- Nie podobało mu się to - rzekła monotonnym, bezbarwnym głosem, a kiedy się odwróciła, Kane zdał sobie sprawę, że jest bliska płaczu. - Nie podobało mu się to, lecz nie protestował, bo mnie kochał.

Wróciła do stolika i znów usiadła na fotelu, a Kane delikatnie pogładził

ją po dłoni.

- Napiałaby się pani jeszcze piwa?

Pokręciła przecząco głową, a Kane cofnął rękę i odchylił się do tyłu.

Szybkim, pełnym gracji gestem odrzuciła z czoła kosmyk włosów i ciągnęła:

- Widzi pan, ojciec sam doszedł w życiu do wszystkiego. Harował przy tym jak wół i powiedział Johnowi bez owijania w bawełnę, że ma o nim bardzo niskie mniemanie.

- A co na to pani mąż?

Wzruszyła ramionami.

- Koniecznie chciałam prowadzić luksusowe życie, korzystając z pieniędzy

ojca, a John, jakby czując, że nie stoi na wysokości zadania, stopniowo zamykał się w sobie. Spędzał coraz więcej czasu na uniwersytecie, prowadząc badania naukowe. Chyba żywił jakąś zwariowaną nadzieję, że uda mu się zdobyć sławę.

Kane westchnął.

- Nie byłoby to wcale takie najgorsze. A później panią rzucił?

- Pewnego wieczoru nie wrócił do domu z uniwersytetu. Zostawił mi list. Napisał, żebym się nie martwiła. Musiał wyjechać na kilka tygodni w bardzo ważnej sprawie.

- Ale to ciągle nie tłumaczy, dlaczego szuka go pani w Dahrajnie.

- Już do tego przechodzę. Przed czterema dniami otrzymałam paczuszkę od konsula brytyjskiego w Adenie. Zawierała ona pewne dokumenty i przesyłkę od Johna. Pisał, że wypływa parowcem do Dahrajnu, a stamtąd zamierza się udać w głąb kraju, w rejon Szabui. Zostawił ową przesyłkę konsulowi wraz z instrukcjami, by mi ją przekazano, jeśli nie zgłosi się w ciągu dwóch miesięcy.

Kane wpatrywał się w nią ze zdumieniem.

- Szabua to wyjątkowo niebezpieczne miejsce - rzekł. - Leży na samym skraju Rab al-Chali, największej pustyni na świecie. Co, u licha, zamierzał tam robić?

Ruth zawahała się na moment, wreszcie spytała powoli:

- Słyszał pan kiedyś o Isztar?

Kane zmarszczył lekko brwi.

- To starożytna bogini babilońska, odpowiednik Wenus. Czczono ją w epoce królowej Saby.

- Zgadza się. - Ruth skinęła głową. - Saba była także arcykapłanką kultu Isztar. - Zamilkła na chwilę, po czym ciągnęła spokojnym głosem: - Mój mąż miał podstawy do przypuszczeń, że na Pustyni Śmierci znajdują się ruiny wielkiej świątyni bogini Isztar wzniesionej przez królową Sabę.

Zdumiony Kane spoglądał na nią przez chwilę w milczeniu, wreszcie

pokręcił głową.

- To niemożliwe. Jeśli właśnie tego szukał, nic dziwnego, że nie daje znaku życia. Pustynia Śmierci to straszliwe miejsce, gdzie można znaleźć tylko piasek, skwar i pragnienie.

- John był innego zdania. Kilka miesięcy temu dokonał zdumiewającego odkrycia. Do jego obowiązków należało tłumaczenie starych arabskich pergaminów, pochodzących częściowo z monasteru Świętej Katarzyny na górze Synaj. Jeden z nich okazał się palimpsestem: pergamin oczyszczono, wycierając pierwotny manuskrypt, i zapisano na nowo. Wykorzystując specjalistyczne przyrządy znajdujące się na uniwersytecie, John zdołał odcyfrować oryginalny tekst.

- Również arabski? - spytał Kane, w którym zaczęło się budzić zainteresowanie.

Ruth pokręciła przecząco głową.

- Nie, grecki. Była to relacja greckiego awanturnika imieniem Aleksjusz, centuriona Legionu Dziesiątego. - Usiadła wygodniej w fotelu. - Słyszał pan kiedyś o rzymskim generale Eliuszu Gallusie?

Kane skinął prędko głową.

- W dwudziestym czwartym roku przed Chrystusem usiłował podbić południową Arabię. Dotarł aż do Jemenu i splądrował Marib. W trakcie odwrotu zgubił drogę na pustyni i stracił większość swojej armii.

- Wedle Aleksjasza dotarł jeszcze dalej na południe, do Timny, a później pomaszerował w stronę Szabui, gdzie doszły doń wiadomości o świątyni Saby. Leżała ona jakoby nie opodal odwiecznego szlaku handlowego pomiędzy Szabuą a Marib, przecinającego narożną część pustyni. Krążyły fantastyczne legendy o zgromadzonych tam bogactwach i Eliusz wysłał Aleksjasza na rekonesans wraz z niewielkim oddziałem kawalerii. Mieli dotrzeć do świątyni, złupić ją, po czym połączyć się z armią w Marib.

Ruth umilkła.

**- Niech pani mówi dalej - poprosił Kane.
- Czy udało mu się odnaleźć świątynię?**

**- Och, naturalnie, bez większego trudu -
odrzekła z uśmiechem. - Wzdłuż
szlaku biegnącego przez pustynię stało
siedem kamiennych kolumn, a
świątynia znajdowała się około stu
pięćdziesięciu kilometrów od Szabui.
Leżała w głębokim wąwozie, nad którym
wznosiła się samotna skała; wedle
Aleksjasza pojawiła się ona nagle wśród
piaszczystych wydm. Kiedy
kawalerzyści dotarli do świątyni, zastali
w niej tylko starą kapłankę
podtrzymującą ogień na głównym
ołtarzu. Zwiadowcy, którzy przybyli tam
pierwsi, byli tak zawiedzeni brakiem
skarbów, że poddali starą kobietę
torturom, by zdradziła miejsce ich
ukrycia. Aleksjasz nadjechał później i
nie zdążył już temu przeszkodzić.
Kapłanka zmarła, miotając klątwy na
Rzymian.**

Zapadło milczenie, a Kane poczuł nagły, irracjonalny dreszcz lęku.

- Udało im się znaleźć skarbiec świątynny?

Ruth pokręciła głową.

- Był zbyt dobrze ukryty. Szukali go bez powodzenia przez dwa dni, po czym ruszyli z powrotem do Szabui. Pierwszej nocy rozpętała się straszliwa burza piaskowa, która trwała przeszło dobę. Stracili część zwierząt i musieli jechać dalej po dwóch na jednym koniu. Kiedy dotarli do pierwszej studni, okazała się zatruta. - Ruth wzruszyła lekko ramionami. - Cóż, możemy sobie oszczędzić te nieprzyjemne szczegóły. Koniec końców, tylko

**Aleksjuszowi udało się ujść z życiem:
przeszedł pustynię na piechotę.**

**- Musiał być dzielnym człowiekiem -
stwierdził Kane.**

Ruth skinęła głową.

**- Dam panu do przeczytania przekład
jego manuskryptu, żeby mógł pan sobie
wrobić własne zdanie. Aleksjusz nie
tłumaczy, jak odnalazł armię, ale
najwyraźniej jakoś mu się to udało.
Później został dowódcą rzymskiego fortu
w Beer-Szeba w Palestynie i spisał swoje
przygody.**

**Kane wstał, podszedł do balustrady
tarasu i spojrział ponad portem na
odległą Zatokę Adeńską, jak zawsze
nieco niewyraźną wskutek drgań
powietrza
wywołanych upałem.**

Nad miastem przeleciała catalina i wylądowała z pluskiem na redzie portowej. W dali widać było frachtowiec odpływający powoli ku Oceanowi Indyjskiemu oraz trzy dwumasztowe łodzie arabskie zamierzające zawinąć do Dahrajnu. Ich żagle przywodziły na myśl wielkie białe ptaki.

Jednakże Kane ich nie widział. Przed jego oczami rozciągała się Pustynia Śmierci, kryjąca w sobie zagadkę świątyni Saby.

Kiedy zapalił papierosa, drżały mu ręce i ogarnęło go dziwne podniecenie.

W całym swoim życiu doświadczył podobnego uczucia jedynie dwukrotnie.

W obu

przypadkach uczestniczył w ekspedycji archeologicznej, która znalazła się o krok od ważnego odkrycia.

**Ale tym razem stawka była
niepomiaralnie wyższa. Chodziło o coś
epokowego,
o przejście do historii archeologii.
Odnalezienie świątyni Saby dałoby się
porównać z odkryciem ruin Knossos
albo grobowca Tutenchamona w Dolinie
Królów.**

Kane odwrócił się i popatrzył na Ruth.

**- Zdaje sobie pani sprawę z ważności
tego, co mi pani powiedziała? -
spytał i sam się zdziwił, że mówi tak
spokojnym głosem.**

Zmarszczyła lekko brwi.

- Chodzi panu o skarby?

**- Do licha ze skarbami! - Wrócił do
stolika i usiadł z powrotem na**

fotelu. - Cała nasza wiedza o królowej Sabie pochodzi z Biblii. Nie odnaleziono ani jednej inskrypcji z jej imieniem, i to nawet w Marib, uważanym przez większość badaczy za jej stolicę. Takie odkrycie zyskałoby rozgłos nie tylko w kręgach akademickich: byłaby to światowa sensacja!

- Rozumiem - rzekła powoli Ruth. - To wyjaśnia, dlaczego mój mąż zachował wszystko w tajemnicy.

- Przeklęty dureń! - prychnął Kane. - Takie badania może prowadzić tylko dobrze wyposażona ekspedycja!

- Nie rozumie pan, że chciał mi coś udowodnić? To musiało być jego własne odkrycie, musiał dokonać go sam, bez niczyjej pomocy. Gdyby zdobył sławę,

osiągnąłby ją wyłącznie dzięki sobie i nikomu niczego by nie zawdzięczał.

Kane zaśmiał się ochryple.

- Jeśli zapuścił się samotnie na Pustynię Śmierci, był naprawdę głupcem. Umarł z pragnienia albo leży gdzieś na piasku z poderżniętym gardłem.

W oczach Ruth pojawił się głęboki ból; zaczęła nerwowo splatać i rozplatać dłonie.

- Powiedział pan, że Szabua to rejon bardzo niebezpieczny. Co to właściwie znaczy?

Kane wzruszył ramionami.

- Arabia Saudyjska toczy z Adenem i Omanem spór o tereny leżące na

granicy. Od lat trwają tam nieustanne walki między plemionami arabskimi. Za utrzymanie spokoju w tym rejonie odpowiada armia brytyjska i niech mi pani wierzy, ma pełne ręce roboty. Ponieważ Brytyjczycy nie mogą być jednocześnie wszędzie, oficjalnie uznali pewne obszary za niebezpieczne. innymi słowy, nie biorą żadnej odpowiedzialności za to, co się stanie z ludźmi na tyle głupimi, by tam podróżować.

- A Szabua to właśnie taki obszar? - spytała Ruth z zatroskaną twarzą.

Kane kiwnął głową.

- Niestety tak. Rzecz prosta, Europejczycy czasami jednak się tam zapuszczają. W tej chwili w Szabui przebywa niejaki Jordan, amerykański

**geolog poszukujący ropy naftowej.
Zdołał jakoś przeżyć, bo rozrzuca wokół
siebie jak konfetti srebrne talary Marii
Teresy i otoczył się bezwzględny
bandziorami, którzy we własnym
interesie dbają, by nie skończył z
podciętym
gardłem.**

- Był pan tam kiedyś?

**- Kilkakrotnie, ale miejscowe plemiona
dobrze mnie znają. Musabajnowie są
dość gościnni, jeśli zyska się ich
zaufanie. Problem polega na tym, że na
obrzeżach Pustyni Śmierci roi się od
bandytów wyjętych spod prawa,
Arabów
wygnanych na pustkowie przez własne
plemiona, bo popełnili jakieś
przestępstwo. Bez wahania obedrą oni
człowieka ze skóry i posypią rany
solą. Mili ludzie.**

- Myśli pan, że coś takiego mogło spotkać mojego męża? - spytała z trwogą Ruth.

Kane wzruszył ramionami.

- Są na to spore szanse. - Ruth zadygotała gwałtownie i ukryła twarz w dłoniach, a Amerykanin wstał, podszedł do niej i położył jej dłoń na ramieniu. - Niech mi pani wierzy, chcę być po prostu z panią szczery. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, co go mogło spotkać.

Ruth również wstała, po czym chwyciła go za ramię i spojrzała mu prosto w oczy.

- Ale jest szansa, że żyje? To możliwe, prawda?

Przez chwilę zamierzał stwierdzić, że to niezmiernie mało prawdopodobne, lecz zamiast tego uśmiechnął się i poklepał ją uspokajająco po dłoni.

- Naturalnie, że możliwe.

Rozplakała się. Kane objął ją i zaprowadził łagodnie do baru.

- Myślę, że powinna pani teraz pójść do swojego pokoju i odpocząć, a ja zasięgnę języka. Może uda mi się czegoś dowiedzieć. Jeśli pani mąż przyjechał przed dwoma miesiącami do Dahrajnu, ktoś musiał go widzieć.

Ruth skinęła lekko głową, po czym przeszli do foyer i wspięli się po schodach na pierwsze piętro. Kiedy dotarli do drzwi jej pokoju, wyjęła z torebki klucz i trzęsącymi rękami usiłowała trafić nim do dziurki. Kane

odebrał jej go łagodnie, otworzył drzwi i wszedł za nią do środka.

W rogu spartańsko umeblowanego pokoju piętrzył się stos walizek, a Ruth zbliżyła się i otworzyła tę leżącą najwyżej. Po krótkim poszukiwaniu podeszła z powrotem do Kane'a z grubą kopertą w dłoni.

- Oto przekład manuskryptu - powiedziała. - Powinno to pana zainteresować.

Wsunął kopertę do kieszeni i uśmiechnął się.

- Około siódmej wieczorem wpadnę zabrać panią na drinka. Może uda mi się czegoś dowiedzieć.

- Będę czekać - odparła. - A tymczasem spróbuję się trochę przespać.

Uśmiechali się do siebie przez chwilę, po czym Kane zamknął cicho drzwi.

6

Ruszył korytarzem, a gdy doszedł do szczytu schodów, rozległ się za nim zgrzyt otwieranych drzwi.

- Więc spotkałeś się z panią Cunningham wcześniej, niż zamierzałeś?

-

spytał czyjś głos.

W drzwiach stał Skiros, trzymając w zębach cygaro i uśmiechając się lekko.

Kane skinął powoli głową.

- Doszedłem do wniosku, że powinienem się dowiedzieć, o co jej właściwie chodzi.

Greki wyjął z ust cygaro i jęknął.

- Matko Boska, co za upał! Masz ochotę na drinka?

Kane już zamierzał odmówić, lecz zmienił zdanie. Skiros dużo wiedział. Skinął głową i ruszył w stronę Greka.

- Szczerze mówiąc, rzeczywiście chętnie napiłbym się czegoś zimnego.

Hotelarz wszedł do pokoju, ocierając twarz chusteczką, po czym usiadł w dużym wiklinowym fotelu koło okna i wskazał Kane'owi butelki i dzbanek wody z lodem stojące na stole.

**- Przygotuj drinki, przyjacielu - rzekł. -
Ja nie mam siły nawet unieść
butelki.**

**Amerikanin zamknął drzwi i podszedł
do stołu. Zmieszał szybko dwa duże
dżiny i podał Grekowi jeden z nich.
Skiros wypił duszkiem pół szklanki i
chrząknął z zadowoleniem.**

**- Boże, tego mi właśnie było trzeba! Na
początku każdego roku powtarzam
sobie, że to ostatnie miesiące spędzone w
tej przeklętej dziurze.**

**Przysięgam na grób swojej matki, że
wrócę do Grecji, ale... - Westchnął
głęboko i wzruszył ramionami.**

- Dlaczego nie wracasz? - spytał Kane.

**- Bo jestem chciwy - Grek uśmiechnął
się, obnażając zepsute zęby. - Bo**

**tak łatwo mogę tu zarobić mnóstwo
pieniędzy. - Wypił łyk dżinu i ciągnął: -
O to samo mógłbym zresztą spytać
ciebie. Po co ktoś taki jak ty tkwi w tej
podłej dziurze? - Uśmiechnął się z
błyszczącymi oczyma. - A może
przyczyną
jest piękna mademoiselle Perret?**

Kane wzruszył spokojnie ramionami.

**- Kobiety nic dla mnie nie znaczą,
Skiros. Zarabiam tu bez trudu
pieniądze i nie płacę podatków. W
obecnym czasie nie zostało już wiele
takich miejsc.**

Skiros zaśmiał się cicho.

- A do tego w Europie wybuchnie wojna.

- Tak uważasz? - spytał Kane.

- Naturalnie. Hitler zdobywa wszystko, co chce. Myślisz, że z Polską będzie inaczej?

- To nie moja sprawa.

- Ani moja. - Skiros dopił dżin. - A co z piękną panią Cunningham? Równie czarujący goście rzadko przybywają do Dahrajnu.

Kane otworzył kasetkę z kości słoniowej stojącą na stole i wyjął z niej papierosa.

- Nie mówiła ci, po co tu przyjechała?

Grek pokręcił głową.

- Po zejściu ze statku udała się natychmiast do hotelu, a później zaraz spytała o ciebie, niczego nie wyjaśniając. Z początku podejrzewałem, że

jesteście starymi przyjaciółmi. Szczerze mówiąc, sądziłem, że to jakaś twoja dawna flama.

Amerikanin podszedł do okna i popatrzył na port.

- Szuka swojego męża - rzekł nie odwracając się. - Chyba od niej uciekł i podobno wybrał się do Dahrajnu.

Skiros chrząknął ze zdziwieniem.

- Ale po co miałby tu przyjeżdżać?

Kane odwrócił się w jego stronę i wzruszył ramionami.

- To wykładowca archeologii na jednym z uniwersytetów angielskich. Zdaje się, że chciał zobaczyć ruiny w Szabui.

- W Szabui? Przecież nikt oprócz tego zwariowanego Amerykanina Jordana nie potrafi tam wytrwać.

- Owszem, to prawda, ale co z profesorem Mullerem? Już od miesiący szuka

w tym rejonie inskrypcji na skałach i jakoś udało mu się przeżyć.

- Ach, ta niemiecka świnia! - prychnął Skiros, splunął na podłogę i roztarł plwocinę czubkiem buta. - Chroni go diabeł, ale pewnego dnia ten bezczelny Prusak posunie się za daleko i znajdą go z kulą w głowie.

Kane wzruszył ramionami.

- Jest w tej chwili w mieście.

- Tak, przyjechał zeszłej nocy. - Skiros pokiwał głową. - Widziałem jego

samochód około jedenastej, gdy wyrzuciłem z hotelu jednego z gości.

- Więc nic nie wiesz o tym Cunninghamie? - zapytał Kane podchodząc do stołu, by przygotować sobie następnego drinka.

Skiros potrząsnął potężnymi barkami.

- Niestety nie. Kiedy rzekomo się tu pojawił? - Kane podał mu przybliżoną datę, a Grek zmarszczył na chwilę brwi i powiedział: - Nie, nie przypominam go sobie.

Amerykanin wypił łyk dzinu i podszedł do drzwi.

- Chyba pójdę się zobaczyć z Mullerem. Mógł się na niego natknąć.

Otworzył drzwi, a Skiros spytał:

- Właściwie dlaczego zadajesz sobie tyle trudu, przyjacielu? Przyznam się, że trochę mnie to dziwi.

Kane odwrócił się z szerokim uśmiechem na twarzy i poruszył palcami, wykonując uniwersalny gest liczenia pieniędzy, zrozumiały w każdej części świata.

- Dla forsy - odpowiedział. - Czyż może być jakiś inny powód?

Kiedy wyszedł z hotelu na ulicę, wciąż cichą i pustą, poczuł natychmiast straszliwy skwar lejący się z nieba i oblał się potem, który zaczął tworzyć ciemne plamy na koszuli i spodniach. Szedł powoli w stronę willi Mullera,

trzymając się ocienionej strony ulicy, i zastanawiał się nad tym, co powiedział Skiros.

Jeśli Cunningham przyплыnął do Dahrajnu, dziwne, że Skiros nic o tym nie słyszał. Miasto nie było zbyt wielkie, a Grek wiedział prawie o wszystkim, co się w nim działo. Wobec tego może Cunningham nigdy tu nie dotarł? Może zmienił zdanie? W końcu o jego zamiarze przybycia do Dahrajnu świadczył tylko list do żony. Jednakże wydawało się to dość mało prawdopodobne. Wyplynął z Adenu statkiem pocztowym: potwierdził to konsul brytyjski. Cunningham na pewno wylądował w Dahrajnie. Mógł zawczasu przygotować podróż w głąb kraju i nie zawracał sobie głowy zatrzymywaniem się w hotelu. Ze

słów jego żony wynikało, że nie dysponował dużą sumą pieniędzy.

Dom Mullera stał przy wąskim zaułku na północnym brzegu zatoki. Wejście stanowiła drewniana furta w wysokim murze i Kane pociągnął kilkakrotnie za sznur staroświeckiego dzwonka. Czekał na odpowiedź i myślał o Niemcu.

Muller przybył do Dahrajnu mniej więcej rok wcześniej. Był sztywnym Prusakiem o nienagannych manierach i interesował się starożytnymi inskrypcjami naskalnymi znajdowanymi w górach. Stale wyruszał na długie wyprawy ciężarówką, docierając do najdzikszych rejonów pogranicza. Najczęściej zabierał ze sobą zaledwie dwóch czy trzech Arabów i nie nosił broni. Musabajnowie uważali go za szaleńca, co prawdopodobnie tłumaczyło,

**dlatego ciągle żył. Żaden prawowierny
muzułmanin nie skazałby się na
wieczyste męki piekielne, zabijając
człowieka opętanego przez Allacha.**

**Furta otworzyła się i ukazał się w niej
Arab w nieskazitelnie białej
galabii. Odstąpił na bok i skłonił się
nisko, a Kane wszedł na przyjemny
dziedziniec z fontanną w środku. Na
balkonie na pierwszym piętrze ukazał
się Muller. Na widok Amerykanina
uśmiechnął się z zadowoleniem i
pomachał
radośnie ręką.**

**- Ach, to przecież mój przyjaciel Kane!
Zapraszam na górę!**

**Kane wszedł za służącym do domu.
Arab zaprowadził go na piętro, ruszył
wąskim korytarzem, a później otworzył
drzwi i odstąpił na bok. Koło dużego**

stołu stał Muller w koszulce z krótkimi rękawami. Skłonił się, trzaskając obcasami.

**- Mam coś, co może pana zainteresować
- rzekł z uśmiechem. - Chcę panu pokazać lateksowy odcisk inskrypcji, którą odkryłem w pewnym wąwozie koło Szabui. Jestem ciekaw, co pan o niej sądzi.**

Kane obejrzał długi gumowy pasek. Muller kopiował inskrypcje naskalne zupełnie nową metodą. Pokrywał napis roztworem lateksu, który błyskawicznie twardniał na słońcu, tak że po chwili można było oderwać długi gumowy pasek z idealną kopią inskrypcji. Amerykanin patrzył z ciekawością na napis.

- Qataban, prawda? - spytał po chwili, unosząc wzrok.

Niemiec skinął głową.

- Tak, znalazłem to na ścianie skalnej niedaleko starożytnego szlaku karawanowego. Nie miałem jeszcze czasu dobrze przetłumaczyć tej inskrypcji, ale zdaje się, że mówi o wojnie Qatabanu z królestwem Saby w siódmym wieku przed Chrystusem.

Kane przysiadł na krawędzi stołu.

- W ciągu ostatnich czterech miesięcy był pan w Szabui trzykrotnie. Nie sądzi pan, że może się to źle skończyć?

- Nie obchodzi mnie, kto rządzi tym krajem, dopóki nie wtrąca się do

moich spraw. Beduini wiedzą o tym i zostawiają mnie w spokoju.

- Niech pan pamięta: ostrzegałem pana - powiedział Kane wzruszając ramionami. - Czy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy spotkał pan w Szabui jakichś Europejczyków?

Muller spojrział nań ze zdziwieniem.

- Tylko Jordana, tego zwariowanego Amerykanina. Dlaczego pan pyta?

- W mieście przebywa Angielka poszukująca męża, archeologa nazwiskiem

Cunningham - wyjaśnił Kane. - Jakieś dwa miesiące temu pojechał rzekomo w głąb kraju w rejon Szabui. Odtąd nikt o nim nie słyszał.

Niemiec odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się ochryple.

- I nikt już nie usłyszy, jeśli pojechał sam. Ale co zamierzał tam robić?

- Szukać inskrypcji naskalnych, podobnie jak pan.

- Obejdę się bez rywali, dzięki. - Muller wstał i podszedł do okna z zachmurzoną twarzą. - Nie, nie natknąłem się na tego człowieka. - Potrząsnął głową. - To bardzo dziwne. Gdyby w górach przebywał jeszcze jeden Europejczyk, na pewno bym o tym usłyszał.

- Właśnie tego nie jestem w stanie zrozumieć. Nawet Skiros o nim nie słyszał, a to już o czymś świadczy.

- Przykro mi, ale chyba nie mogę panu pomóc - odparł Niemiec, wzruszając ramionami.

- Nic nie szkodzi. Zaczynam powoli dochodzić do wniosku, że ten facet po prostu w ogóle nie przybył do Dahrajnu.

- Na to wygląda - stwierdził Muller.

Kane zszedł z powrotem na dół, a z ciemnego zakamarka korytarza wyłonił się arabski służący i odprowadził go do drzwi. Amerykanin stał przez chwilę na rozgrzanej ulicy, zastanawiając się, co dalej robić. W końcu doszedł do wniosku, że powinien zasięgnąć języka u kapitana Gonzaleza. Szef służby celnej Dahrajnu z pewnością pamiętałby Europejczyka nazwiskiem Cunningham, gdyby ktoś taki przyplłynął statkiem pocztowym w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

**Przeszedł z powrotem przez miasto,
minął hotel i ruszył nabrzeżem w
stronę falochronu, w którego sąsiedztwie
znajdował się dom Hiszpana.**

**Zastukał do drzwi i prawie natychmiast
otworzyła je Arabka w czarczafie.**

**Zaprowadziła Kane'a na chłodny
wewnętrzny dziedziniec, gdzie Gonzalez,
rozwalony wygodnie na otomanie,
przelewał do wysokiej szklanki
zawartość
puszki piwa.**

**Spojrzał na Kane'a i rzekł
dobrodusznie:**

**- Przyłapałeś mnie na gorącym uczynku!
Staję się niewolnikiem waszych
amerykańskich nałogów. Napijesz się ze
mną?**

- Może kiedy indziej - odparł Kane, potrząsając głową, po czym usiadł na brzeżku otomany i zsunął czapkę na tył głowy.

- Nieczęsto zaszczytasz moje skromne progi, kapitanie. Domyślam się, że potrzebujesz pomocy?

Kane uśmiechnął się szeroko.

- Owszem, to prawda.

Hiszpan rozparł się z zadowoleniem na poduszkach i westchnął.

- Ach, prędzej czy później wszyscy i tak do mnie przychodzą. Mam nadzieję, że nie uznasz tego za pychę z mojej strony, ale w Dahrajnie dzieje się bardzo niewiele rzeczy, o których nie wiem.

- Zdaję sobie z tego sprawę i właśnie dlatego tu jestem. W mieście przebywa pewna kobieta, niejaka pani Cunningham.

- To prawda - skinął głową Gonzalez. - Przyłynęła dziś statkiem pocztowym z Adenu.

- Szuka swojego męża. Napisał do niej przed dwoma miesiącami, że wybiera się do Dahrajnu. Zamierzał pojechać w głąb kraju, do Szabui. Od tej pory słuch o nim zaginął.

Hiszpan zmarszczył brwi.

- Nazywał się Cunningham, tak? - Pokręcił powoli głową. - Boję się, że musiała się pomylić. Nikt o takim nazwisku nie przybył do Dahrajnu.

- Jesteś tego absolutnie pewny? - spytał Kane.

Gonzalez wzruszył ramionami.

- Jak mógłbym się mylić? Czyż nie kontroluję każdego statku?

Kane już miał ochotę zaprzeczyć, lecz doszedł do wniosku, że nie warto. Wszyscy wiedzieli, że Hiszpan nie sprawdza nawet połowy statków przyływających do Dahrajnu, jednakże sam Gonzalez naturalnie nigdy by tego nie przyznał. Kane nasunął czapkę na oczy i westchnął.

- Cóż, tak czy owak chciałbym ci podziękować. Wygląda na to, że pani Cunningham się pomyliła.

- Kobiety często się mylą - odparł znacząco Hiszpan.

Opuściwszy willę Gonzaleza, Kane spojrzął na kuter zakotwiczony na środku

basenu portowego. Dostrzegł Piroo przykucniętego na rufe i wiedział, że Hindus również na niego patrzy.

Czuł się zmęczony, naprawdę zmęczony. Wsunął rękę do kieszeni na biodrze i wyciągnął kopertę wręczoną przez Ruth Cunningham. Popatrzył na nią z namysłem, aż wreszcie podjął nagłą decyzję. Informacjami o nieuchwytnym Johnie Cunninghamie mogła dysponować jeszcze tylko jedna osoba: Marie

Perret. Kane i tak musiał się z nią zobaczyć, ale mógł odłożyć wizytę do wieczora, gdy będzie chłodniej.

Doszedł do końca falochronu, a Piroo zeskokczył z rufy kutra do szalupy i

popłynął ku niemu. Kane wszedł do niewielkiej łodzi i Hindus powiosłował z powrotem w stronę kutra.

- Byli jacyś goście? - spytał Amerykanin.

Piroo pokręcił głową.

- Zupełny spokój, sahib. Tylko głupcy chodzą po mieście w taki skwar.

Kane uśmiechnął się szeroko.

- Przepraszam, sahib. To ja mówię głupstwa.

Kane pokręcił głową i wszedł przez reling na pokład kutra.

- Nie, Piroo, chyba tym razem masz rację. Idę na dół trochę się przespać. Obudź mnie około ósmej, dobrze?

Piroo skinął głową, a Kane zszedł pod pokład do chłodnej kabiny.

Przygotował sobie drinka, zdjął ubranie, po czym położył się na koi, trzymając w ręku kopertę otrzymaną od Ruth Cunningham.

Wyjął maszynopis tłumaczenia manuskryptu i zaczął go czytać. Była to absorbująca opowieść i lektura zajęła mu bitą godzinę. Później ułożył się wygodnie na koi, patrząc w sufit kajuty i myśląc o Aleksjaszu. Z przeczytanej relacji wyłaniał się wyrazisty obraz urodzonego przywódcy, człowieka obdarzonego wybitną inteligencją, odważnego i pełnego hartu.

Grecki awanturnik miał w sobie również coś z marzyciela. Kane odczytał jeszcze raz fragment manuskryptu opisujący uczucia Aleksjasza, gdy wyruszył

**na pustynię, by poszukiwać świątyni.
Jego własne słowa odsłaniały najlepiej
jego charakter: był poszukiwaczem
przygód, niespokojnym duchem
wiecznie
goniącym za kolejnymi majakami,
wiecznie czegoś poszukującym i nie
mogącym
tego odnaleźć.**

**Czy Aleksjasz poszukiwał świątyni Saby,
czy też czegoś innego? Może
samego siebie? Swego własnego "ja",
którego nie potrafi nigdy odnaleźć
większość ludzi? Amerykanin przeczytał
jeszcze raz kilka ostatnich zdań
manuskryptu:**

**"Aleksjasz, centurion Legionu
Dziesiątego i dowódca fortu w Beer-
Szeba,
kończy na tym swoją opowieść. Spisał ją
ku przestrodze: niechaj inni nie**

ulegają pokusie i nie podążają drogą siedmiu kolumn do świątyni Saby. Owe siedem kolumn doprowadziło nieszczęsnych towarzyszy Aleksjasza do miejsca, gdzie spotkała ich śmierć".

Kane spoglądał w sufit, patrząc na drobinki kurzu tańczące w promieniach słońca wpadających przez bulaj, i rozmyślał o słowach Greka. Istniało przysłowie etiopskie, które głosiło, iż wzdłuż drogi do piekła stoi siedem kolumn, Etiopczycy zaś podbili na pewien czas południową Arabię. Zastanawiał się przez chwilę, czy może tu istnieć jakiś związek, lecz odrzucił ową myśl jako mało prawdopodobną. Podbój etiopski miał miejsce znacznie później. Zastanawiając się nad tym, zapadł w sen.

Obudził się nagle i leżał wpatrując w ciemność. Wyczuwał szóstym zmysłem, że grozi mu niebezpieczeństwo, i spoczywał na koi z dłońmi zaciśniętymi w pięści, czujny niczym zwierzę zdające sobie sprawę ze zbliżania się myśliwego.

Najpierw poczuł lekki zapach zjełczanego tłuszczu, oliwy albo łożu. Później usłyszał oddech i ciche przekleństwo, gdy ktoś zawadził o stół. Czekał, wstrzymując dech w piersiach i spoglądał spod półprzymkniętych powiek na jasny snop księżycowego światła wpadającego przez bulaj.

Po chwili dysząca postać znalazła się tuż, tuż i Kane dostrzegł w świetle księżyca błysk wzniesionego noża. Przekręcił się i uderzył kolaniem w brzuch

napastnika, który wydał z siebie przytłumiony jęk. Kane ścisnął prawą ręką nadgarstek mężczyzny i wykręcił go mocno. Rozległ się głośny krzyk, a nóż upadł na podłogę.

Kane zerwał się z koi, usiłując chwycić mordercę, lecz mężczyzna miał tors nasmarowany oliwą i dłonie Amerykanina zsunęły się po jego ciele. Wyślizgnął się jak piskorz i popędził ku wyjściu. Kiedy wypadł na pokład, zagroził mu drogę Piroo. Mały Hindus jęknął z bólu, odtrącony przez napastnika, który przebiegł obok niego i z rozpędu skoczył nad relingiem za burtę.

Kane wyteżył słuch, lecz niczego nie usłyszał. Wreszcie odwrócił się powoli w stronę Piroo.

- Nic ci nie jest?

Mały Hindus prawie płakał.

- Tak mi wstyd, sahib! Ten człowiek zakradł się na kuter i o mało cię nie zabił, a ja spałem!

Kane poklepał go po ramieniu.

- Nie bądź takim cholernym głupcem. Tylko zawodowi mordercy smarują ciała oliwą przed atakiem. Nie przejmuj się tym. Przygotuj szalupę, a później złożymy wizytę naszemu przyjacielowi Selimowi.

Zszedł do kajuty, ubrał się szybko i wrócił na pokład z coltem w kieszeni marynarki. Pora, by ktoś wreszcie dał Selimowi nauczkę - myślał, gdy płynęli przez basen portowy w stronę "Farah".

**Kiedy szalupa uderzyła w burtę wielkiej
trójmasztowej łodzi żaglowej,
Kane kazał Piroo zaczekać, sam zaś
wdrapał się szybko po drabince
sznurowej
i przeszedł przez reling. Pokład był
pusty. Na rufie znajdowały się drzwi
do kajuty kapitańskiej i Amerykanin
zaczął się skradać w tamtą stronę.
Przez chwilę stał przed nimi,
nasłuchując, po czym wywalił je
kopniakiem i
wpadł jak burza do środka, trzymając w
prawej dłoni colta.**

**Przy niskim stoliku, na którym stał
imbryk do kawy i kilka maciupeńkich
filizanek, siedzieli na poduszkach dwaj
Arabowie. Spojrzeli z przerażeniem
na Kane'a, który wycelował w nich broń.**

- Gdzie Selim? - spytał po arabsku.

Jeden z marynarzy wzruszył ramionami.

- Wyjechał dziś po południu odwiedzić przyjaciół w głębi kraju.

Kane przez moment patrzył na nich podejrzliwym wzrokiem. Wreszcie opuścił pistolet i już miał zamiar odejść, gdy poczuł znajomą woń. Był to odór zjełczalej oliwy.

Odwrócił się powoli i stanął na wprost mężczyzn.

- Rozbierać się! - rozkazał.

Arabowie spojrzeli ze strachem po sobie, a ten, który się poprzednio odezwał, miał zamiar zaprotestować, lecz Kane zrobił szybko krok do przodu z wściekłym grymasem na twarzy.

- Robić, co mówię, do cholery!

Gadatliwy Arab wzruszył ramionami i zaczął zdejmować ubranie, gdy nagle jego towarzysz rzucił się w stronę drzwi.

Kane zręcznie podstawił mu nogę, a kiedy mężczyzna usiłował wstać, trzasnął go w twarz lufą colta, rozcinając mu ostrą muszką policzek. Arab runął z jękiem na deski.

Kane schował rewolwer do kieszeni i podszedł do drzwi. Odwrócił się i rzekł spokojnie do drugiego Araba:

- Powtórz Selimowi, że dla swojego własnego dobra powinien się wynieść z Dahrajnu.

Zamknął za sobą drzwi, przeszedł przez pokład i zeskoczył do szalupy.

- Wszystko załatwione, sahib? - spytał Piroo.

Kane skinął głową.

- Chyba można to tak określić. Zawieź mnie na falochron. Wybieram się do miasta.

Stał na falochronie, słuchając plusku wiosel, gdy Hindus odpływał w ciemność. Wreszcie odwrócił się i ruszył nabrzeżem w stronę hotelu, gdzie miał się spotkać z Ruth Cunningham.

Hotel był jaskrawo oświetlony, a w foyer roіło się od ludzi. Kane przepchnął się przez tłum do wejścia do kasyna. Skiros siedział koło okna, obserwując błyszczącymi, zadowolonymi oczyma zielone stoły gry i sztony zgarniane grabkami przez krupierów. Zauważywszy Kane'a, uśmiechnął się i pomachał ręką. Kane skinął głową i ruszył w inną stronę.

Przy barze siedzieli w lotniczych kurtkach Romero, Noval i Conde. Romero uniósł na powitanie dłoń, a Amerykanin podszedł do załogi cataliny.

- Szmuglowaleś coś ostatnio? - spytał Romero.

- Kocioł garnkowi przyganiał - odparł Kane. - Słyszałem od Guptasa, że

trzydzieści mil od brzegu brałeś na pokład ładunek z jakiegoś portugalskiego frachtowca.

Romero uśmiechnął się.

- Każdy musi zarabiać na życie, amigo.

- Powinieneś uważać. Mógł cię widzieć nie tylko Guptas - rzekł Kane i odszedł.

- Ma rację - odezwał się Noval.

Romero wzruszył ramionami.

- Nic nam nie grozi. Za kilka dni będzie po wszystkim. Wypijmy jeszcze po drinku.

Korytarz świecił pustkami, a zgiełk dobiegający z dołu był przytłumiony i

nierzeczywisty, jakby dochodził z innego świata. W oknie nad drzwiami Ruth lśniło światło, więc Kane zastukał lekko i czekał. Drzwi otworzyły się prawie natychmiast i ukazała się w nich Ruth.

Nosiła pikowany jedwabny szlafrok ściągnięty w talii szeroką czerwoną szarfą. Włosy miała rozpuszczone, twarz zaś bladą i zmizerowaną, jakby źle spała. Odstąpiła z uśmiechem na bok, a Kane wszedł do pokoju.

Zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami, spoglądając pytającym wzrokiem wreszcie westchnęła i rzekła:

- Nie ma pan dla mnie żadnych wiadomości, prawda?

Zawahał się na ułamek sekundy, po czym wzruszył ramionami.

- Niestety nie.

Podeszła do trzcinowego fotela stojącego przy oknie, a na jej twarzy odmalowała się desperacja.

- Nie zdołał się pan niczego dowiedzieć? To niewielkie miasto. Ktoś przecież musiał go widzieć!

Kane znów wzruszył ramionami.

- W tej całej sprawie jest coś wyjątkowo dziwnego. Wygląda na to, że nikt nie słyszał o pani mężu. Rozmawiałem nawet z szefem miejscowej komory celnej. Przysięga, że pani mąż nie przyплыł do Dahrajnu w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

- Przecież to wykluczone. Wiem, że przyłynął.

Kane pokręcił głową.

- Wiemy tylko, że zamierzał przybyć do Dahrajnu i wsiadł w Adenie na statek pocztowy. Mógł zejść na ląd w innym porcie, na przykład w Mukalli.

- Uważa pan, że to możliwe?

- Wszystko jest możliwe - odparł Kane, wzruszając ramionami. - Z drugiej strony nie jestem jeszcze zupełnie przekonany, że pani mąż nie przyłynął do Dahrajnu. Kapitan Gonzalez nie jest szczególnie sumienny. Nie sprawdza nawet połowy statków zawijających do portu, choć oczywiście nigdy się do tego nie przyzna.

Ruth spojrzała nań z nadzieją w oczach.

- Sądzi pan, że mój mąż mógł mimo wszystko tu wylądować?

Kane skinął głową.

- Gdyby zszedł ze statku i od razu pojechał w głąb kraju, tłumaczyłoby to, dlaczego nikt o nim nie słyszał.

Na twarzy Ruth pojawił się wyraz ulgi i usiadła wygodniej na poduszkach.

- Jestem pewna, że tak się właśnie stało. - Uśmiechnęła się blado. - Co pan teraz zamierza?

Kane podszedł do okna i wyjrzał na zatłoczoną ulicę.

- Pozostała jeszcze jedna osoba, z którą powinienem się zobaczyć - rzekł.

- Marie Perret.

Ruth Cunningham spojrzała nań ze zdziwieniem.

- Kobieta? Jak mogłaby nam pomóc?

- To nie jest zwyczajna kobieta, zapewniam panią - odparł z uśmiechem Kane. - Jest pół Francuzką, pół Arabką i kieruje organizacją handlową działającą od Zanzibaru po Singapur. To niezwykła postać. Regularnie wysyła w rejon Szabui konwoje ciężarówek. Jeśli pani mąż chciał się tam szybko dostać, mógł pojechać jednym z nich.

- To pańska przyjaciółka? - spytała Ruth, patrząc na Kane'a z dziwnym uśmiechem na twarzy.

Wzruszył ramionami.

- Znajoma - odparł. - Powie mi wszystko, co wie. - Podeszedł do drzwi. - Jeśli nie wrócę za późno, wpadnę do pani znowu.

Wstała prędko i podeszła do stołu.

- Napisałam list do konsula amerykańskiego w Adenie i poinformowałam go, że pana odnalazłam. - Zaśmiała się z pewną dozą sztuczności. - Prosił mnie o to. Niezbyt mu się podobało, że wybieram się tu sama.

Kane wsunął list do kieszeni i uśmiechnął się ironicznie.

- Coś w tym mogło być. Zobaczymy się później.

Zszedł na parter, minął foyer i zajrzał do kasyna. Skiros wciąż siedział

przy oknie, z cygarem w zębach i kieliszkiem koło łokcia.

Kane usiadł naprzeciwko Greka.

- Wygląda na to, że kasyno ma dziś niezły dzień.

- Nie skarżę się - uśmiechnął się Skiros. - Na szczęście na świecie roi się od głupców, którzy nie rozumieją, że bank zawsze wygrywa. Co z mężem pani Cunningham? Zdołałeś go już wytropić?

Kane pokręcił przecząco głową.

- Gonzalez twierdzi, że w ogóle nie wylądował w Dahrajnie, ale sam wiesz, jak można na nim polegać. Idę się teraz zobaczyć z Marie Perret. Może ona coś wie.

Wstał, wyjął z kieszeni list Ruth Cunningham i położył go na blacie stołu.

- Wyślij go dla mnie. To ważne.

Skiros kiwnął głową i pstryknął palcami na kelnera.

- O mało się nie spóźniłeś. Za chwilę wysyłam chłopca do portu. Statek pocztowy odpływa o dziesiątej, gdy zacznie się przyływ. - Wręczył list kelnerowi i wydał mu krótkie polecenie.

- Masz trochę czasu? Moglibyśmy wypić drinka.

- Kiedy indziej, Skiros. Ale chyba wrócę później, żeby się znów zobaczyć z panią Cunningham.

Greki uśmiechnął się, a wokół jego oczu pojawiła się sieć drobnych

zmarszczek.

- Mam nadzieję, że traktujesz to wyłącznie jako interes. To bardzo atrakcyjna kobieta.

Kane nie raczył odpowiedzieć. Odwrócił się, przecisnął przez tłum, minął foyer i wyszedł w chłodną noc.

Idąc środkiem wąskiej uliczki, zastanawiał się nad ostatnią uwagą Greka.

Byłoby głupotą zaprzeczać, że Ruth Cunningham jest w istocie atrakcyjną kobietą, a mimo to od spotkania na falochronie, gdy ogarnęło go na moment dziwne podniecenie, nie czuł do niej absolutnie żadnego pociągu fizycznego.

Była pierwszą wykształconą Amerykanką, jaką poznał od wielu lat, a jednak pozostawał wobec niej całkowicie obojętny. Nauczył się zachowywać ogromną ostrożność w stosunkach z kobietami. W ciągu kilku miesięcy przed ślubem Lillian również wydawała się bardzo miłą dziewczyną. Kiedy przypominał sobie, co nastąpiło później, poczuł ulgę na myśl, że nic ich już nie łączy, i zatrzymał się na rogu ulicy, by zapalić papierosa.

Był wczesny wieczór, najchłodniejsza pora dnia, zwana przez Arabów godziną gołębicy. W gładkiej tafli basenu portowego odbijały się światła zakotwiczonych statków, a z pobliskiej kawiarni dochodziły dźwięki muzyki i głośne śmiechy uczestników przyjęcia weselnego.

Przed ulicznymi kafejkami siedzieli przy stolikach Arabowie w kolorowych szatach, pijąc kawę z mikroskopijnych filiżanek i plotkując bez końca pomiędzy sobą. Z nadejściem wieczoru ulica zmieniła się w bazar pełen straganów, na których sprzedawano wszystko, poczynając od wyrobów z kutego mosiądzu, na gotowanych potrawach kończąc.

Wszędzie panował zgiełk i podniecenie, w powietrzu czuć było skupioną energię, a gdy Kane przeciskał się przez tłum, chłodny wieczorny wiatr muskał mu twarz niczym aksamit.

Powoli wspinał się wąskimi brukowanymi uliczkami w stronę cypla wysuniętego w morze, a w miarę jak oddalał się od centrum, gwar cichł i

zaułki stopniowo pustoszały.

Dom Marie Perret znajdował się na samym krańcu skalistego przylądka i rozciągał się z niego widok na port. Była to dwukondygnacyjna willa o płaskim dachu, stojąca w przestronnym ogrodzie otoczonym wysokim białym murem.

Kane zatrzymał się przed masywną, okutą drewnianą furtaa i pociągnął za sznur od dzwonka. Po chwili za murem rozległy się kroki i drzwi otworzyły się bezszelestnie.

Ukazała się w nich niezwykła postać w białej galabii: czystej krwi Somalijczyk z mahoniową twarzą i grzywą kruczoczarnych włosów, mający metr dziewięćdziesiąt wzrostu i bary atlety.

Murzyn uśmiechnął się, szczerząc białe zęby, i odstąpił na bok, zapraszając Kane'a do środka.

- Czy pani jest w domu, Dżamal? - spytał Amerykanin, odwzajemniając uśmiech.

Somalijczyk odwrócił się od drzwi i skinął głową. Na środku jego czoła widać było piętno niewolnika wypalone rozżarzoną żelazem: w niektórych częściach Jemenu wciąż praktykowano ten barbarzyński zwyczaj. Dżamal usiłował uciec od swojego pana, po czym za karę i ku przestrodze dla innych publicznie obcięto mu na targu język.

Druga próba ucieczki zakończyła się powodzeniem. Dżamal konał z pragnienia na pustyni, gdy odnalazła go i przygarnęła Marie Perret. Odtąd

Somalijczyk stał się jej najwierniejszym sługą.

Murzyn poprowadził Kane'a ścieżką wyłożoną kamiennymi płytami, wskazał krzesło na dziedzińcu i zniknął we wnętrzu domu.

Kane wdychał z rozkoszą świeże zapachy ogrodu. Wszędzie kwitły wielobarwne kwiaty i w nocnym powietrzu rozchodziły się ich upajające wonie. Nad murem kołysały się w chłodnym wietrze korony kilku palm, a między drzewami pluskała fontanna umieszczona na środku sadzawki rybnej. Z

tyłu rozległy się lekkie kroki. Kane wstał i odwrócił się, by powitać Marie Perret, która wyszła na taras.

Była niską, zgrabną dwudziestopięcioletnią dziewczyną, a indyjskie spodnie do konnej jazdy i bluza koloru khaki podkreślały miękkie linie jej ciała. Po matce Arabce odziedziczyła krucze włosy, duże oczy w kształcie migdałów i dość pulchne wargi.

Reszta jej urody była czysto francuska. Uśmiechnęła się wesoło i usiadła na fotelu.

- Jak się masz, Gavin? Wyjątkowo piękna noc. Dopiero co wróciłam z przejażdżki konnej.

Kane uśmiechnął się i poczęstował ją papierosem. Podał jej ogień, a ona usiadła wygodnie w fotelu.

- Nie było żadnych kłopotów w Mukalli?

Wyjął z wewnętrznej kieszeni list i podał go Marie.

- Przepraszam, zapomniałem.

Widziałem się wczoraj z twoim agentem i dał mi to dla ciebie.

Marie zaczęła czytać, a Kane obserwował ją kątem oka, zdumiewając się zmianą, jaka zaszła na jej twarzy: stała się ona natychmiast chłodna, twarda i zdecydowana. Ojciec Marie zmarł, gdy miała zaledwie dwadzieścia lat, i odtąd rządziła żelazną ręką firmą Perret. Była nieskazitelnie uczciwa, lecz sprytniejsza od arabskiego kupca z bazaru: od Morza Czerwonego do Pacyfiku opowiadano o niej legendy.

Zmarszczyła lekko brwi i zawołała:

- Pozwól tu na chwilę, Ahmedzie!

Na taras wyszedł gruby, siwowłosy Arab. Nosił europejską odzież i trzymał w dłoni pióro, jakby oderwano go od jakiejś pisaniny. Był to dyrektor generalny firmy, stary, zaufany przyjaciel ojca Marie.

Ahmed uśmiechnął się do Kane'a, a Marie wręczyła mu list.

- Przeczytaj to, dobrze? Gavin przywiózł go z Mukalli. Laval twierdzi, że możemy zgromadzić duże zapasy oleju sezamowego.

Ahmed skinął głową i już miał wrócić do wnętrza willi, gdy Kane odezwał się:

- Jedną chwileczkę, Ahmedzie. Może ty mógłbyś mi pomóc.

Ahmed odwrócił się z uśmiechem.

- O co chodzi, Gavin? - spytał bezbłędną angielszczyzną.

- W mieście przebywa w tej chwili niejaka pani Cunningham. Poszukuje swojego męża. Podobno ostatnio wybierał się do Dahrajnu, ale nikt o nim nie słyszał.

Ahmed zmarszczył na moment brwi, wreszcie skinął głową.

- Cunningham, John Cunningham. Owszem, pamiętam go. Chciał pojechać w głąb kraju, do Szabui.

- Kiedy to było? - spytał Kane.

Arab wzruszył ramionami.

- Jakieś dwa miesiące temu. - Odwrócił się w stronę Marie. - Znajdowała się pani wówczas w Bombaju. Ten Anglik przyłynął statkiem i odwiedził mnie w biurze. Chciał pojechać do Szabui. Ostrzegałem go, że to niebezpieczne, ale mnie nie słuchał. Mielśmy akurat wysłać do Jordanii konwój czterech ciężarówek z maszynami. Pozwoliłem mu pojechać razem z nimi.

- A kiedy wrócił? - spytała Marie.

Ahmed wzruszył ramionami.

- Obawiam się, że nic mi o tym nie wiadomo. Kazał się zawieźć do Bir

al-Madani, arabskiej wioski położonej najbliżej Szabui. Nie wiem, co się z nim później stało. - Zwrócił się do Kane'a. - Przykro mi, że nie mogę pomóc w tej sprawie, Gavin.

Kane pokręcił głową.

- Przeciwnie, bardzo nam pomogłeś. Teraz wiemy przynajmniej, że dotarł do Bir al-Madani. Dotychczas nie potrafiłem nawet udowodnić, że w ogóle przebywał w Dahrajnie.

- Wybaczcie państwo - uśmiechnął się Ahmed. - Mam mnóstwo pracy.

Wszedł z powrotem do domu, a Marie odezwała się:

- Cunningham chciał pojechać do Szabui. Po co, u licha?

Kane wzruszył ramionami.

- Był archeologiem. Pewnie zamierzał szukać inskrypcji na skałach.

- Sam?! - spytała z niedowierzaniem Marie. - To niemożliwe! Tylko idiota wybrałby się samotnie w ten rejon!

- Idiota albo człowiek poszukujący czegoś naprawdę ważnego - odparł Kane.

Wypowiedziawszy owe słowa, natychmiast ich pożałował, ale było już za

późno. Marie zmarszczyła lekko brwi i pochyliła się w jego stronę.

- Ukrywasz coś przede mną, prawda? - spytała. - Czy nie byłoby lepiej,

gdybyś mi powiedział, o co w tym wszystkim chodzi?

Kane westchnął i wstał.

- Chyba masz rację. Przede wszystkim możesz się okazać pomocna, a poza tym teraz, gdy wyczułaś, że tkwi w tym jakiś sekret, nie spoczniesz, dopóki go ze mnie nie wydobędziesz.

Marie zaśmiała się cicho.

- Zdążyłeś mnie doskonale poznać, mój drogi! Przejdźmy się po ogrodzie i otwórz przede mną serce.

Zeszli po schodach i ruszyli spacerem między drzewami. Marie oparła lekko dłoń na ramieniu Kane'a, on zaś wdychał słodką woń jej ciała i znów zaczął doznawać dawno zapomnianych uczuć.

Opowiedział jej wszystko, poczynając od przybycia Ruth Cunningham, a kończąc na relacji Aleksjasza poświęconej podróży po pustyni.

Kiedy skończył, siedzieli przez chwilę w milczeniu na ławce koło fontanny. Gdzieś w ciemności zaśpiewał ptak, a Marie westchnęła.

- Zupełnie fantastyczna historia.

- Nie wierzysz w nią? - spytał Kane.

Marie wzruszyła ramionami.

- Najważniejsze, że wierzył w nią Cunningham. Co zamierzasz teraz zrobić?

- Pojadę do Szabui, wypytam naczelnika Bir al-Madani i dowiem się, co się

stało z Cunninghamem.

Marie wstała i ruszyli z powrotem w stronę domu.

- Osobiście podejrzewam, że już nigdy nie zobaczymy Johna Cunninghama.

Kane skinął głową.

- Pewnie masz rację, ale jego żona nie spocznie, dopóki nie dowie się tego na pewno.

Marie oparła się o balustradę tarasu.

- Zgadzam się. Mogę ci chyba pomóc załatwić to w miarę szybko. Lecę jutro rano samolotem zobaczyć się z Jordanem w sprawie potrzebnego mu wyposażenia. Wierci otwór próbny w odległości około dwudziestu pięciu

**kilometrów od wioski. Jego ludzie
zbudowali tam dla mnie lądowisko.**

Biorę

**ze sobą tylko Dżamala. Jeśli chcesz, w
samolocie znajdzie się miejsce dla
ciebie i dla pani Cunningham.**

Kane poczuł przyływ radości.

- To byłoby wspaniale!

**- Będzie tam czekał Jordan, który
zabierze mnie ciężarówką do swojego
obozu. Spędzę z nim cały ranek, a ty w
tym czasie możesz pożyczyć samolot.
Trzy godziny to aż nadto, aby rozejrzeć
się po okolicy.**

**- Z pewnością oszczędzi to pani
Cunningham męczącej podróży
ciężarówką.**

**Martwiłem się o to. Chyba się do tego
nie nadaje.**

- Jest ładna? - spytała Marie.**
- Skiros uważa ją za ładną - odparł, wzruszając ramionami.**
- Ale ciebie bardziej interesują jej pieniądze?**
- Rzeczywiście, zaproponowała mi atrakcyjne honorarium za odnalezienie męża, ale mnie bardziej intryguje historia tej świątyni.**

Marie zaśmiała się lekko.

- Wieczny poszukiwacz! Czy zadowolisz się kiedykolwiek tym, co masz, Gavin?

- Chyba nie - odparł Kane. - Właśnie dlatego interesowałem się tak bardzo

**archeologią, gdy byłem chłopcem.
Właśnie dlatego tu tkwię, choć rok w rok
przysięgam, że wyjadę. Jest tak wiele do
zrobienia, oczywiście pod
warunkiem, że ma się pieniądze, dlatego
muszę od czasu do czasu pracować
dla Skirosa. Zebracy nie mogą być
zanadto wybredni. - Uśmiechnął się. - A
skoro już o tym mowa, dlaczego ty stąd
nie wyjedziesz? Mogłabyś przenieść
siedzibę firmy w przyjemniejsze miejsce,
na przykład do Bombaju.**

Marie wzruszyła ramionami.

**- To starożytna kraina, a moja matka
pochodziła ze starożytnego ludu. Mam
Dahrajn we krwi.**

**Położył dłonie na jej ramionach i
uśmiechnął się.**

- Wspaniała z ciebie dziewczyna.

Nagle zdał sobie sprawę z ciepła jej ciała, łatwo wyczuwalnego przez cienką koszulę. Przez dłuższą chwilę stali naprzeciwko siebie, patrząc sobie w oczy, aż wreszcie Marie przestała się uśmiechać. Kane przyciągnął ją ku sobie i nie napotkał z jej strony żadnego oporu.

Ich wargi zetknęły się, a Marie przytuliła się doń całym ciałem. Po chwili odsunął ją od siebie na odległość wyciągniętych ramion.

- Niech cię licho! - rzekł półgłosem.

Uśmiechnęła się lekko, wyczuwając zamęt w głowie Kane'a.

- Mój biedny Gavinie, wprowadziłam nieład do twojego uporządkowanego

życia? Ale przecież kobiety to narzędzia szatana, powinieneś już o tym wiedzieć.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę - odparł.

- Napijesz się czegoś?

Przez chwilę zmagał się z pokusą, aż wreszcie ją pokonał.

- Nie byłoby to chyba zbyt rozsądne.

Marie ujęła go za ramię, po czym zeszli po schodach i dotarli do furtki. Otworzyła ją i uśmiechnęła się:

- Jutro o siódmej rano na lotnisku. Nie spóźnij się. Musimy jak najwcześniej wyruszyć.

W świetle księżyca wyglądała wyjątkowo pociągająco. Kane westchnął i rzekł:

- Posłuchaj, przykro mi za to, co się stało...

Wspięła się nagle na palce i pocałowała go w usta.

- Mnie wcale nie jest przykro - odezwała się i wypchnęła go na ulicę.

Stał przez chwilę w ciemności, zamierzając pociągnąć za sznur dzwonka, po czym odwrócił się i ruszył w stronę miasta.

Dotarłszy do hotelu, poszedł do pokoju Ruth Cunningham i zastukał do

drzwi. Nikt nie odpowiedział. Zapukał znowu, a później otworzył drzwi i wszedł do środka, ale pokój okazał się pusty.

Wrócił na parter i zajrzał do baru. Przy oknie siedział nad szklanką piwa Skiros i patrzył zadumany w noc. Kane przeszedł przez salę i zatrzymał się koło Greka, który spojrzał nań i uśmiechnął się.

- Udało ci się czegoś dowiedzieć?

Kane skinął głową.

- Wiem, że dotarł do Bir al-Madani. Pojechał jednym z konwojów Marie Perret.

Skiros uniósł ze zdziwieniem brwi.

- A więc jednak przyplłynął do Dahrajnu. Przyznaję, że jestem zaskoczony.

Co teraz zamierzasz?

- Jutro rano lecę z Marie samolotem na pustynię. Byłem w pokoju pani Cunningham, żeby jej o tym powiedzieć, lecz nikogo nie zastałem.

- Przechodziła tędy parę minut temu. Chyba znajdziesz ją na plaży.

Kane podziękował Grekowi i wyszedł na taras. Było chłodniej i wiała lekka słona bryza. Zszedł po schodkach i ruszył po piasku ku spienionemu morzu, rozglądając się po plaży zalanej światłem księżyca.

Zatrzymał się, nie wiedząc, co dalej robić, gdy z lewej strony dobiegł wyraźny głos Ruth.

- Tu jestem. - Stała oparta o łódź rybacką. - Ma pan dla mnie jakieś nowiny? - spytała, gdy podszedł bliżej.

Zapalił papierosa, osłaniając zapalną złożonymi dłońmi i skinął głową.

- Chyba czegoś się dowiedziałem. Pani mąż dotarł do małej arabskiej wioski około piętnastu kilometrów od Szabui. Jutro rano lecimy tam z Marie Perret. Naczelnik wioski powinien mieć dokładniejsze informacje.

Ruth westchnęła z ulgą i musnęła dłonią jego ramię.

- Boże, to cudownie!

Usiadła na miękkim piasku, a Kane przykucnął koło niej i poczęstował ją

**papierosem. Zapalona zapalka
wydobyła z mroku twarz Ruth i lzy
lśniące w
jej oczach.**

**- Nie martw się, wszystko będzie dobrze
- rzekł łagodnie, ujmując jej
dłoń.**

**Odetchnęła głęboko, starając się nad
sobą zapanować, i skinęła głową.**

**- Nie mam pojęcia, jak ci się odwdzięczę
za wszystko, co dotąd zrobiłeś.**

**- Wystarczy umówiona zapłata. -
Uśmiechnął się ironicznie i wstał. -
Myślę, że powinnaś się teraz trochę
przespać. Musimy wcześniej wstać.**

**Nie protestowała, a Kane odprowadził ją
na taras hotelu. Umówił się z nią**

na szóstą trzydzieści rano, po czym poszedł wzdłuż brzegu do falochronu.

Koło kamienia przykucnął Piroo z głową zwieszoną na piersi. Ocknął się szybko i uśmiechnął, błyskając zębami w ciemności.

Kiedy wiosłował w stronę kutra, Kane poinformował Piroo o podróży do Bir al-Madani nazajutrz rano.

- Opiekuj się łodzią i miej oczy otwarte - rzekł przechodząc przez reling i stając na pokładzie. - Selim może planować jakieś święństwo.

Piroo zajął się mocowaniem szalupy, a Kane zszedł do kabiny. Do mrocznego pomieszczenia wpadało przez bulaj światło księżyca, wypełniając je widmową srebrzystą poświatą.

**Położył się na koi i spoglądał w sufit,
myśląc o Marie. W mroku ukazała
się na moment jej uśmiechnięta twarz i
Kane zapadł w sen.**

8

**Łodzie rybackie wychodziły z portu,
płynąc w stronę Zatoki Adeńskiej, a
Kane zszedł z falochronu i ruszył wzdłuż
nabrzeża. Zapalił papierosa,
pierwszego w tym dniu, i rozkasłał się,
gdy dym podrażnił mu gardło. Był
zmęczony i czuł lekki pulsujący ból za
prawym okiem. Przystanął na chwilę,
obserwując białe żagle łodzi rybackich,
lśniące w porannym słońcu, po czym
ruszył w kierunku hotelu.**

Nosił spodnie i bluzę koloru khaki oraz wytarty filcowy kapelusz z szerokim rondem. Działając pod wpływem impulsu, przed opuszczeniem kutra wsunął do kieszeni colta. Miał wielu przyjaciół wśród plemion zamieszkujących rejon Szabui, lecz mimo to należało zachować ostrożność.

Ruth Cunningham czekała na szczycie schodów przed wejściem do hotelu. Nosiła białą bluzkę rozpiętą pod szyją i kremowe spodnie. Włosy miała związane tą samą błękitną przepaską co za pierwszym razem, a gdy się uśmiechnęła, wyglądała niezwykle atrakcyjnie.

- Jak mój strój? - spytała, rozkładając lekko ramiona.

**- Ładny, a poza tym dość praktyczny -
odpowiedział Kane i zerknął na
zegarek. - Musimy się pośpieszyć. Nie
chcę, aby Marie czekała.**

**Ruszyli w milczeniu labiryntem wąskich
zaułków, aż dotarli do skraju
miasta. Ruth miała ciemne kręgi pod
oczami, jakby źle spała, a twarz
napiętą, zaniepokojoną, co niezbyt
podobalo się Kane'owi.**

**Lotnisko znajdowało się w odległości pół
kilometra od Dahrajnu w wąskim
wąwozie wrzynającym się głęboko w
góry. Nie służyło ono żadnej z dużych
międzynarodowych linii lotniczych i
zostało wybudowane przez armię
hiszpańską na wypadek kryzysu
międzynarodowego w tym regionie.
Oprócz pasa**

startowego znajdował się tam jeden hangar, zrujnowany betonowy budynek z dachem z blachy falistej. Kane i Ruth już z daleka dostrzegli samolot "Rapide" firmy De Havilland, którego podwójne śmigła zaczynały się właśnie obracać z charakterystycznym terkotem.

Na jednym z tylnych siedzeń siedział Dżamal, a Marie zeskoczyła na ziemię, by powitać przybyłych. Kane dokonał prezentacji i dwie kobiety wymieniły uścisk dłoni.

- To bardzo miło z pani strony, że zechciała nam pani pomóc - odezwała się Ruth Cunningham.

Marie wzruszyła ramionami.

- To drobnostka, pani Cunningham, zupełna drobnostka. I tak wybieram się

**w interesach do Bir al-Madani. -
Spojrzała błyszczącymi oczyma na
Kane'a i
uśmiechnęła się lekko. - Mam nadzieję,
że spałeś dobrze, Gavin.
Przepraszam, że ruszamy tak wcześnie,
ale obiecałam Jordanowi przylecieć o
wpół do ósmej.**

**Ruth Cunningham zajęła miejsce koło
Dzamala, który zignorował ją, patrząc
niewzruszenie prosto przed siebie. Marie
wślizgnęła się na fotel pilota i
spojrzała pytającym wzrokiem na
Kane'a.**

- Chciałbyś usiąść za sterami?

**Skinął głową, a Marie zamieniła się z
nim miejscami. Kane ruszył powoli
po pasie startowym i skierował samolot
w stronę wiatru. Już po chwili**

zbliżali się w szaleńczym tempie do końca pasa. Kane przyciągnął drążek ku sobie, a rapide uniósł się w powietrze i wzbił ponad stromy skalisty wąwóz.

Kiedy znaleźli się ponad kamiennymi ścianami, samolotem jął targać silny wiatr. Wspinali się coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie osiągnęli pułap podróżny dwu tysięcy metrów i skierowali się w stronę pasma górskiego położonego między wybrzeżem a pustynią.

Niebo nad górami przywodziło na myśl roziskrzony szafir, a horyzont rozmazał się już od upału. Po półgodzinie w dali ukazały się złotawe i czerwone piaski pustyni.

W pewnej chwili przelecieli nad wysokim szybem wiertniczym otoczonym

przez namioty i kilka pojazdów, a Ruth Cunningham zawołała podnieconym głosem:

- Patrzcie, ciężarówka!

Kane wyjrzał przez okno i zobaczył ciężarówkę pędzącą z wielką szybkością w tym samym kierunku co samolot. Po chwili w dali ukazała się ciemna plama, która zmieniła się po kilku minutach w kępę zielonych palm i rozrzucone tu i ówdzie domy o płaskich dachach.

Lądowisko znajdowało się w wąskiej dolinie między dwiema wydrami; na jego końcu stał wysoki słup z miernikiem prędkości wiatru. Kane zatoczył koło, po czym elegancko wylądował pod wiatr między dwoma rzędami pustych beczek po nafcie. Kiedy kołował w stronę końca pasa startowego, między domami

pojawiła się ciężarówka jadąca ku nim w chmurze pyłu.

Kane wyłączył silniki, otworzył drzwiczki i zeskoczył na ziemię.

Odwrócił

się i pomógł obu kobietom wysiąść z samolotu, a tymczasem ciężarówka zatrzymała się w odległości kilku metrów od maszyny i z jej szoferki wyskoczył młody mężczyzna.

Miał opaloną, zawadiacką twarz i krótko ostrzyżone włosy. Nosił wypłowiały od słońca ubiór w kolorze khaki z rewolwerem w czarnej skórzanej kaburze opuszczonej nisko na biodro.

Uśmiechnął się, błyskając olśniewająco białymi zębami, i zawołał radośnie:

- To ty, stary diable?! Co cię tu sprowadza?!

Kane odwzajemnił uśmiech i poklepał go po ramieniu:

- Miałem nadzieję, że będziesz mógł nam pomóc, Jordan. - Odwrócił się i wskazał Ruth Cunningham. - Pani Cunningham poszukuje swojego męża. Wiemy, że dwa miesiące temu przybył do Bir al-Madani. Zamierzał wybrać się na kilka dni do Szabui. Odtąd słuch po nim zaginął.

Jordan uścisnął dłoń Ruth i spojrzał na nią poważnie.

- Przykro mi to słyszeć, pani Cunningham. - Zmarszczył lekko brwi, po

czym pokręcił głową. - Nie, nie słyszałem o pani mężu, ale może o nim coś wiedzieć naczelnik wioski.

Ruth popatrzyła pytająco na Kane'a, który rzekł:

- Znam tutejszego naczelnika. Omar ibn Naser powie nam wszystko, co wie.

Jordan zaprowadził Ruth do ciężarówki i pomógł jej wejść do szoferki.

- Wobec tego wszystko uzgodnione. Wysadzę ciebie i panią Cunningham w wiosce. Zobaczymy się po południu. Marie i ja mamy cholernie dużo spraw do omówienia.

Marie wcisnęła się na przednie siedzenie koło Ruth Cunningham, a Kane i

**Dżamał usiedli z tyłu pod płócienną
plandeką. Kiedy odjeżdżali, Kane
obejrzał się od niechcienia przez ramię i
dostrzegł na grzbiecie wydmy Araba
w spłowiałej rdzawej galabii i
czerwonym zawoju na głowie.
Przegalopował on
na wielbłądzie przez pas startowy,
zatrzymał się koło samolotu i zeskoczył
na ziemię.**

Kane puknął Jordana w ramię.

- Stań na chwilę, dobrze?

**Jordan zatrzymał się i wszyscy
popatrzyli do tyłu. Arab obejrzał
uważnie
samolot, po czym uniósł głowę,
spoglądając w stronę ciężarówki.**

Kane zeskoczył na ziemię.

- Zobaczę, czego chce. Może to tylko płonna ciekawość, ale z tymi Beduinami nigdy nic nie wiadomo.

Kiedy zbliżał się do samolotu, Arab ruszył mu na spotkanie, oparłszy lekko dłoń na srebrnej rękojeści zakrzywionej dzambii. Kane stanął w odległości paru kroków od Beduina i spytał po arabsku:

- Co tu robisz? Szukasz kogoś?

Arab miał pobrużdżoną, wymizerowaną twarz. Jego źrenice przypominały główki od szpilek, a wargi były pokryte zeschniętą pianą.

- Mam list dla mężczyzny imieniem Kane - odpowiedział martwym głosem.

Kane nieznacznie ujął dłonią kolbę colta i rzekł:

- To ja. Gdzie ten list?

Arab wyciągnął z pochwy dżambiję, której ostrze zaśniło w jaskrawych promieniach słońca. Kane zrobił prędko krok do tyłu i usiłował wyjąć colta, lecz jego muszka zahaczyła o podszewkę kieszeni. Zaklął i uchylił się przed ostrzem, sięgając jednocześnie Arabowi do gardła.

Kołysali się przez chwilę, szepieni, a Kane usiłował wyszarpnąć napastnikowi broń, gdy wtem Arab kopnął go potężnie kolaniem w brzuch.

Kane nie rozluźnił uchwytu; upadli razem na ziemię i zaczęli się turlać po piasku. Prawie nie mógł oddychać, a jednak jego percepcja dziwnie się wyostrzyła: czuł smród nie mytego ciała napastnika i widział szaleństwo w

jego wytrzeszczonych oczach.

Z dali dobiegały kobiece okrzyki, a Kane zdał sobie sprawę, że coś wbija mu się boleśnie w prawy pośladek. Był to colt; wyszarpnął go z kieszeni, grzmotnął Araba lufą w brzuch i nacisnął dwukrotnie spust, uchylając się przed lśniącem ostrzem.

Kule wystrzelone z tak bliskiej odległości odrzuciły Araba parę kroków do tyłu. Kane usiłował wstać, ale szumiało mu w uszach. Ktoś wykrzyknął jego nazwisko. Wyprostował się wreszcie, wsparłszy się na skrzydle samolotu, i w jego polu widzenia pojawił się drugi Arab, biegnący w jego stronę ze wzniesioną dzambiją.

Kane usiłował unieść colta, lecz nie miał sił, gdy wtem do akcji włączył

się Jordan. Geolog przyklęknął koło Amerykanina, oparł lufę ciężkiego rewolweru na swoim lewym przedramieniu i zaczął strzelać tak szybko, że cztery strzały zlały się w jeden przeciągły grzmot.

Kule uderzały z trzaskiem w ciało Araba, który jednak biegł uparcie dalej, aż wreszcie zaledwie kilka kroków od samolotu zachwiał się i runął twarzą w piasek.

Przez chwilę panowała kompletna cisza, a później Kane usłyszał za plecami czyjś okrzyk. Odwrócił się, wciąż oparty o skrzydło, i zobaczył biegnącą Marie.

Była blada jak kreda.

- Nic ci nie jest, Gavin?! - zawołała, chwytając go za ramię.

Poklepał ją uspokajająco po dłoni.

- Wszystko dzięki Jordanowi.

Geolog pochylał się nad zastrzelonym przez siebie Arabem, po czym wyprostował się z wyrazem zdziwienia na twarzy.

- Jak, u licha, mógł tak długo biec? Przecież nie pudłowałem ani razu:

Kane przewrócił trupa na wznak czubkiem prawego buta. Arab miał wykrzywioną twarz, wargi pokryte zaschniętą pianą i wyszczerzone żółte zęby.

- Widziałeś go kiedykolwiek?

Jordan pokręcił przecząco głową. Marie podeszła do nich i spojrzała na zwłoki.

- To zawodowy morderca odurzony quatem - stwierdziła.

- Ja też tak uważam - przytaknął Kane. - Kiedy go spytałem, czego chce, powiedział, że ma dla mnie list.

- Ale czemu, u licha, chciał cię zabić? - spytał Jordan. - I co to takiego quat?

Kane zapalił papierosa.

- Narkotyk występujący w liściach pewnego miejscowego krzewu - wyjaśnił.

- Arabowie żują je, gdyż wywołują one poczucie euforii i pewności siebie.

Nadużywanie quatu może prowadzić do nałogu.

Jordan zmarszczył brwi.

- Zawodowy morderca? O co tu właściwie chodzi?

Kane wzruszył ramionami.

- Chyba powinieneś już coś o tym wiedzieć. W tym kraju, jeśli chce się kogoś zabić, nie robi się tego własnymi rękoma, tylko wynajmuje się zawodowca.

Dzamal przeszukiwał zwłoki pierwszego mężczyzny, zabitego przez Kane'a. Wreszcie odwrócił się i wręczył Marie pękaty skórzany woreczek.

Zajrzała do środka, a później w milczeniu pokazała wszystkim jego zawartość. Był pełen srebrnych monet.

Jordan gwizdnął cicho, a Marie rzekła poważnym tonem:

- To jakieś dwa, trzy tysiące talarów Marii Teresy, Gavin. Komuś musi bardzo zależeć na twojej śmierci.

- Tak, i chyba wiem komu - odparł Kane. - Miałem wczoraj drobną sprzeczkę z Selimem. Zeszłej nocy jeden z jego ludzi usiłował się do mnie dobrać podczas snu.

- Ale skąd wiedział, że będziesz dziś rano w Bir al-Madani? - spytała ze zdziwieniem Marie.

Kane namyślał się przez chwilę, po czym skinął głową.

- Rzeczywiście, to zastanawiające, ale dajmy temu na razie spokój. Nie

**udało się i ktoś wyrzucił w błoto
mnóstwo pieniędzy. - Stęknął i otarł
dłonią wargi. - Chętnie bym się czegoś
napił.**

**- Mam w ciężarówce butelkę brandy -
rzekł Jordan. - Nawiasem mówiąc, sam
też mam ochotę na mały łyczek. -
Uśmiechnął się i pokręcił głową. - A ja
się obawiałem, że praca geologa może się
okazać nudna.**

**Kiedy wracali do ciężarówki, minęła ich
grupka podnieconych Arabów,
którzy zdążali w stronę zwłok.**

**- Skąd się, u licha, wzięli? - zdziwił się
Jordan. - Można by pomyśleć,
że z góry o wszystkim wiedzieli.**

- To zapewne prawda - zauważył Kane.

Ruth Cunningham miała pobladłą twarz i drżała lekko.

- Nic ci nie jest? - zwróciła się do Kane'a.

- Wszystko w porządku. Przykro mi, że byłeś tego świadkiem.

Mówienie przychodziło jej z wyraźną trudnością. Wgramoliła się do szoferki i usiadła na przednim siedzeniu, nerwowo splatając i rozplatając ręce.

Jordan obejrzał woreczek monet znalezionych przez Dżamala przy pierwszym zabójcy, po czym popatrzył pytająco na Kane'a.

- Co z tym zrobimy?

- Przechowaj to na razie - odparł Amerykanin. - Na pewno się przyda.

Jordan uśmiechnął się.

- Całkiem niezła nagroda. - Otworzył schowek w tablicy rozdzielczej, wyjął butelkę brandy, pociągnął długi łyk i przekazał trunek Kane'owi. - Poczęstuj się.

Kane uniósł butelkę w milczącym toaście i wypił. Zakrztusił się palącym płynem, a później przeszedł do tylnej części ciężarówki.

- Nie zdążyłem ci jeszcze podziękować - rzekł. - Dobrze strzelasz.

Jordan usiadł za kierownicą i pojechał w stronę wioski.

- Wychowałem się na rancho w Wyoming.

Skreślił w szeroką główną ulicę i zatrzymał samochód koło największego domostwa, rozprasząc stadko kóz.

Kane zeskokczył na ziemię, a Ruth Cunningham podążyła za nim.

- Porozmawiam z Omarem, a później polecimy do Szabui - odezwał się do Marie.

- Uważaj na siebie, Gavin, i nie zapuszczaj się za daleko. To niebezpieczna okolica. - Zerknęła na zegarek. - Zastanówmy się. Przy odrobinie szczęścia powinniśmy wrócić tuż po dwunastej.

- Już nas tu zastaniecie - zapewnił Kane.

Zazgrzytała skrzynia biegów i ciężarówka wystrzeliła do przodu, wzbijając tumany kurzu. Kane odwrócił się w stronę Ruth i zauważył naczelnika wioski, który wyszedł przed drzwi, by ich powitać.

- To zaszczyt dla mego ubożego domostwa, kapitanie - odezwał się Arab.

- Zawsze przybywam, gdy czegoś potrzebuję, przyjacielu - odparł z uśmiechem Kane - ale wejdźmy lepiej do środka. Słońce świeci jak ognisty piec, a po ostatnich wydarzeniach mam wielką ochotę usiąść.

Omar wprowadził ich do pozbawionej okien lepianki z suszonych glinianych

cegieł, składającej się z dwóch pomieszczeń. Pierwsze zajmowały dzieci i kozy, drugie zaś służyło jako jadalnia i salon. W nocy Arab i jego żona spali na matach rozłożonych na podłodze.

Omar ibn Naser, choć żyjący w skrajnym ubóstwie, miał jednak dwie typowo arabskie zalety: gościnność i naturalne poczucie godności. Zaprosił gestem Kane'a i Ruth do zajęcia miejsc na poduszkach i klasnął w dłonie. Po chwili do izby weszła kobieta w długiej czarnej szacie, zakrywającej również głowę i twarz, niosąc miedziany dzbanek i trzy czarki.

Aby uczynić zadość wymogom uprzejmości, Kane z początku wzbraniał się

przed przyjęciem czaraki, lecz w końcu wziął ją do ręki i skinął lekko głową do Ruth Cunningham, która poszła za jego przykładem. Arabka nalała do czaraki kilka kropel płynu i czekała na aprobatę. Była to jemeńska mocha - najlepsza kawa na świecie. Kane uśmiechnął się i nadstawił czarę, która została skwapliwie napełniona.

Omar odprawił kobietę skinieniem dłoni, a Kane poczęstował go papierosem.

Arab zaciągnął się głęboko dymem, odchylił się z westchnieniem do tyłu i spytał uprzejmie:

- W jaki sposób mogę ci pomóc?

Kane skinął głową w stronę Ruth Cunningham.

**- Poszukuję męża tej damy - rzekł. -
Przybył tu dwa miesiące temu. Możesz
nam coś o nim powiedzieć?**

**W oczach Omara rozbłysło
zainteresowanie; uśmiechnął się
przyjaźnie do
Ruth, po czym zwrócił się do Kane'a:**

**- Twoja towarzyszka zapewne nie
rozumie po arabsku? - Amerykanin
skinął
głową, a naczelnik ciągnął: - Dwa
miesiące temu rzeczywiście przybył tu
pewien Europejczyk. Przyjechał z
konwojem ciężarówek zdążających do
obozu
Jordana i został w Bir al-Madani.**

- Dokąd się później udał? - spytał Kane.

Omar wzruszył ramionami.

- Kto wie? Był szalony, zupełnie szalony. Szukał wielbłądów i przewodników, chciał pojechać z Szabui do Marib.

- Pomogłeś mu?

- Sprzedałem mu wielbłądy, ale nie udało mi się znaleźć przewodnika. Jak wiesz, na Pustynię Śmierci zapuszczają się tylko przestępcy, za których głowę wyznaczono nagrodę.

- Pojechał sam?

- Nie - zaprzeczył naczelnik. - Przez Bir al-Madani przejeżdżał akurat pewien Beduin, Raszid. Znasz tych szaleńców: są gotowi na wszystko. W ogóle nie liczą się z niebezpieczeństwem. Zaofiarował się, że pojedzie z Anglikiem.

**- Słyszałeś coś o nich od tamtej pory? -
spytał Kane.**

Omar uśmiechnął się blado.

**- Allach! Ich kości bieleją w tej chwili na
słońcu. Właśnie tak kończą
głupcy, którzy ośmielają się wędrować
po Pustyni Śmierci.**

**Kane siedział przez chwilę w milczeniu,
marszcząc brwi, po czym wstał i
wyciągnął dłoń do Ruth.**

**- Dowiedziałeś się czegoś? - spytała z
niepokojem.**

**- Mnóstwo rzeczy. Twój mąż kupił tu
wielbłądy i znalazł przewodnika,
Beduina z plemienia Raszid. Zamierzał
wyruszyć na Pustynię Śmierci i
przejechać z Szabui do Marib.**

Ruth miała zmartwioną minę; Kane poklepał ją uspokajająco po ramieniu i zwrócił się w stronę Araba.

- Jestem ci bardzo wdzięczny, przyjacielu, ale pora na nas. Polecę z tą damą do Szabui, a później skręcę na pustynię. Może uda nam się coś odkryć.

Omar skinął głową i odprowadził Ruth i Kane'a do drzwi. Wyszedszy na ulicę, zauważyli kilku wieśniaków ciągnących prymitywny wóz ze zwłokami dwóch morderców.

Ich galabije były przesiąknięte krwią i unosiły się nad nimi chmary much. Ruth zadygotała gwałtownie, a Omar powiedział:

- Cieszę się, że nic ci się nie stało, kapitanie.

Kane odwrócił się szybko, a w jego oczach rozblysło coś na kształt rozbawienia.

- Wiedziałaś, że na mnie czekają?

- Ależ oczywiście - odparł łagodnie Arab, kiwając głową.

- I mimo to nie próbowałaś ich powstrzymać?

- Chodziło o osobistą zemstę. Nie miałem prawa się wtrącać.

Kane roześmiał się. Zbolałą minę na twarzy Omara zastąpił wyraz kompletnego zaskoczenia. Amerykanin ujął Ruth Cunningham za ramię i odszedł

z nią ulicą, nie przestając się śmiać.

- O co właściwie chodziło? - spytała Ruth. - Ten arabski to istny koszmar.

- Nie zrozumiałabyś tego.

- Kawa była naprawdę wspaniała - odezwała się, gdy szli w stronę pasa startowego. - Kim była ta kobieta, jego żoną?

- Nie, niewolnicą - odparł Kane, kręcąc przecząco głową.

- Chyba żartujesz!

Kane uśmiechnął się łagodnie.

- Nie zauważyłaś na czole Dżamala piętna wypalonego rozzarzoną żelazem?

Jest niemową, bo gdy za pierwszym razem próbował uciec, wyrwano mu język. W różnych częściach Arabii są jeszcze tysiące niewolników.

Ruth zadygotała i przez resztę drogi milczeli. Kiedy dotarli do samolotu, o niedawnej walce świadczyło tylko kilka plam krwi na piasku pasa startowego. Kane pomógł Ruth wejść do kabiny i sam wgramolił się za nią. Nie marnował czasu i już po chwili maszyna wzbiła się w powietrze i zaczęła nabierać wysokości.

Po kwadransie dotarli do Szabui, a Ruth Cunningham spojrzała w dół z wyrazem rozczarowania na twarzy.

- Niezbyt piękny widok.

Kane skinął głową.

- Rzeczywiście, nie wygląda to szczególnie imponująco, ale pod tym piaskiem kryje się sześćdziesiąt świątyń, o których pisał rzymski historyk Pliniusz. Raj na ziemi dla jakiejś przyszłej ekspedycji archeologicznej.

Zerknął na kompas i skierował dziób samolotu w stronę pustyni.

- Polecimy w stronę Marib. Według Aleksjasza świątynia znajduje się dokładnie pomiędzy Szabuą a Marib, w odległości około stu pięćdziesięciu kilometrów od tej pierwszej. Miejmy nadzieję, że na coś natrafimy.

Kane leciał dwieście metrów ponad szczytami wydm, licząc, że dostrzegą ślady wielbłądów lub inne oznaki ludzkiej obecności, lecz niczego takiego

nie było. Wszędzie rozciągało się morze piasków, sięgające aż po horyzont: jałowe, dzikie i niewiarygodnie puste.

Po kwadransie Ruth Cunningham trąciła go lekko łokciem. Z przodu wznosiła się gigantyczna wydma mająca ze dwieście pięćdziesiąt metrów wysokości i Kane lekko przyciągnął drążek ku sobie. Nagle silniki zakrztusiły się i zamarły na parę sekund.

Pociągnął drążek z całych sił i samolot przeleciał nad szczytem wydmy, prawie muskając go kołami, po czym silniki kaszlnęły kilka razy i zgasły.

Zapadła kompletna cisza, w której słyszeć było tylko świst wiatru w naciągach skrzydeł. Maszyna obniżyła gwałtownie lot, a Ruth Cunningham zaczęła krzyczeć.

Kane usiłował zapanować nad samolotem. Kilkanaście metrów nad ziemią zdołał wreszcie wyrównać lot, gdy wtem przed dziobem pojawiła się kolejna wielka wydma.

- Trzymaj się! - zawołał i pociągnął z całych sił za drążek.

Rapide skręcił gwałtownie. Przez chwilę wydawało się, że wyrówna lot, lecz nagle skraj lewego skrzydła zaczepił o piasek i rozległ się trzask pękającego metalu. Kane krzyknął ostrzegawczo i zaparł się nogami, po czym nastąpił straszliwy wstrząs i samolot zarył się w miękkim piasku.

Kane westchnął głęboko i otarł wierzchem dłoni pot spływający na oczy. Obrócił głowę i spojrzał w pobladłą twarz Ruth Cunningham.

- Nic ci nie jest?

Skinęła prędko głową.

- Trzymałam się mocno.

Kane otworzył drzwiczki i zeskokczył na ziemię. Dziób samolotu zarył się w miękkim piasku, a lewe skrzydło pękło na pół.

- Nie rozumiem, dlaczego się nie zapaliliśmy - rzekł Kane, marszcząc czoło, po czym wrócił do drzwiczek i spojrzał na tablicę przyrządów. - To zabawne. Mamy pusty zbiornik paliwa.

Ruth przeszła przez kabinę i wygramoliła się przez drzwiczki.

- Co to właściwie znaczy?

- Nie mam pojęcia. Silnik mógł zgasnąć z powodu braku paliwa, ale nie pojmuję, jak mogło go zabraknąć. Ciekawe, w jakim stanie jest radio.

Wszedł z powrotem do kabiny, by je sprawdzić, a Ruth spytała:

- Czy ktoś może odebrać nasze sygnały?

Kane skinął głową.

- Jordan ma w swoim obozie odbiornik krótkofalowy. - Obejrzał prędko aparat i odwrócił się z grymasem na twarzy. - Niestety, te radia nie są zbyt odporne na wstrząsy.

Ruth ze znużeniem przesunęła dłonią po twarzy.

- Oddałabym wszystko za łyk wody...

- Zaraz się napijemy - odpowiedział i wyjął z za tylnego siedzenia dużą manierkę i plastikowy kubek. - Manierka jest pełna, więc możemy się nie martwić o wodę.

Oboje wypili po sporym łyku, po czym usiedli w cieniu skrzydła i palili w milczeniu papierosy.

Po chwili Ruth spojrzała na Kane'a i spytała cicho:

- Powiedz mi szczerze, Gavin, jakie mamy szanse?

- Znacznie lepsze, niż myślisz. Jesteśmy około czterdziestu pięciu kilometrów od Szabui. W ciągu dnia jest zbyt wielki upał, by maszerować, więc powinniśmy wypocząć i ruszyć o zmroku. Nocą, gdy jest zimno, będziemy iść znacznie szybciej.

- Myślisz, że będą nas szukać?

Skinął z przekonaniem głową.

- Naturalnie. Kiedy Marie i Jordan wrócą do Bir al-Madani i nie zastaną nas, wyruszą na poszukiwania. Ciężarówki marki "Ford", którymi jeździ Jordan, są specjalnie przystosowane do warunków pustynnych.

Ruth popatrzyła Kane'owi w oczy i uśmiechnęła się.

**- Cieszę się, że jesteś ze mną, Gavin.
Gdybym miała przy sobie kogoś
innego, byłabym śmiertelnie przerażona.**

**Odwzajemnił uśmiech i pomógł jej
wstać.**

**- Ależ nie ma się czego obawiać! Czeka
nas kilka męczących godzin, to
wszystko. Będziesz opowiadać o tej
przygodzie swoim wnukom.**

- Chyba masz rację.

**Miała przygarbione plecy i wyglądała na
zmęczoną, a Kane zaprowadził ją
do drzwiczek kabiny.**

**- Spróbuj się trochę przespać. W środku
powinno być chłodniej. Obudzę cię
późnym popołudniem.**

**Zamknął drzwiczki, położył się w cieniu
prawego skrzydła i wsparł głowę
na dłoniach.**

**W istocie rzeczy czuł się znacznie mniej
pewnie, niż starał się wmówić
Ruth. Gdyby był sam, miałby duże
szanse na dotarcie forsownym marszem
do
Szabui w ciągu nocy, ale z kobietą!...**

**Jedno było pewne: Marie i Jordan
zaczną ich szukać. Problem polegał na
tym, że mogą nie wiedzieć gdzie.
Pustynia była dość rozległa.**

**Wysłuchiwał się w ciszę i czuł prawie
fizyczny ciężar straszliwego upału,
aż wreszcie zapadł w niespokojną
drzemkę.**

Gdzieś rozległ się okrzyk przerażenia i Kane poczuł pod brodą ucisk czegoś twardego. Otworzył oczy i ujrzał lufę karabinu.

Trzymał go półnagi Jemeńczyk w kolorowym turbanie, z ciałem wysmarowanym barwnikiem indygo. W przeszłości obcięto mu uszy - miejscowa kara za kradzież - i napiętnowano rozżarzoną żelazem na prawym policzku.

Dwaj pozostali Arabowie wywlekli właśnie Ruth Cunningham z kabiny samolotu. Kane stanął z wysiłkiem na nogi i zobaczył, że zdzierają z niej bluzkę. Upadła na piasek, a jeden z mężczyzn roześmiał się, chwycił ją za włosy i uniósł, aż przed nim uklękła.

Twarz mężczyzny była przeżarta przez trąd: oczy płonęły w masie zgnitego

**mięsa, a zamiast nosa ziały dwie dziury.
Ruth Cunningham spojrzała ze
zgrozą na upiorne oblicze i zemdląa.**

**Kane zrobił krok w jej stronę, a trzech
Jemeńczycy groźnie wycelowali w
niego strzelby.**

**- Jeśli się poruszysz, zginiesz - odezwał
się bezuchy ochrypłym,
gardłowym tonem.**

Kane obliznął spierzchnięte wargi.

**- Zabierzcie nas do Bir al-Madani, a
czeka was wielka nagroda.**

**Trędowaty zaklął i splunął na piasek.
Zrobił szybko krok do przodu, ujął
strzelbę za lufę i uderzył Kane'a kolbą w
brzuch. Jeden z Arabów wyjął mu z
kieszeni colta, po czym pozostawili go
leżącego twarzą w piasku, dyszącego**

spazmatycznie i czekającego, aż ustąpi straszliwy ból.

Trzej Arabowie byli ludźmi wyjętymi spod prawa - nie ulegało to wątpliwości. Ale co zamierzali zrobić? Wydawało się, że o coś się sprzeczą, a Kane, który odzyskał tymczasem oddech, otworzył oczy i usiłował słuchać.

Przed jego twarzą pojawiły się brudne stopy w skórzanych sandałach i szarpnęła go czyjaś ręka. Usiadł i zobaczył mężczyznę z obciętymi uszami. Arab przykucnął naprzeciwko ze strzelbą pod pachą i wyszczerzył zęby.

- Czas na nas. Musimy jechać.

- Zabierzcie nas do Bir al-Madani! - poprosił desperacko Kane. -

**Otrzymacie wielką nagrodę, obiecuję.
Pięć tysięcy talarów Marii Teresy.**

Jemeńczyk pokręcił głową.

- Gdybym przekroczył granicę, byłbym martwy. - Wskazał dłonią Ruth i dodał: - Jeśli sprzedamy tę kobietę na targu niewolników w Sanie, dostaniemy tyle samo.

- Dziesięć tysięcy - rzekł Kane. - Zapłacimy, ile zażądacie. To bardzo bogata Amerykanka.

Arab pokręcił głową.

- Skąd mam wiedzieć, że dotrzyma umowy? Za Europejkę można dostać w Jemenie wysoką cenę.

- A ja? - spytał Kane.

Bandyta wzruszył ramionami.

- Moi przyjaciele chcieli poderżnąć ci gardło, ale odwiodłem ich od tego. Sam zdecydujesz, czy przeżyjesz, czy zginiesz. Dla silnego mężczyzny Szabua jest tylko o jeden krok.

Kane zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem.

- Nie pamiętasz mnie? - Jemeńczyk uśmiechnął się, błyskając zębami. - Przed dwoma laty, gdy Harisowie obozowali koło Szabui, skradziono im konia.

Gdyby mnie wtedy schwytano, postradałbym życie. Ty ukryłeś mnie do zmroku w swojej ciężarówce. Dziwne są drogi Allacha.

Kane natychmiast przypomniał sobie owo wydarzenie. Pochylił się i rzekł zniżonym głosem:

- Pomóż nam się stąd wydostać, a zostaniesz sownie wynagrodzony. Jesteś mi to winien.

Jemeńczyk pokręcił głową i wstał.

- Życie za życie. Teraz nie jestem ci już nic winien. I tak możesz być zadowolony. Moi przyjaciele chcieli pozbawić cię męskości. Jeśli masz rozum, do naszego odjazdu zachowasz spokój.

Wrócił do swoich towarzyszy, którzy wsiedli już na wielbłądy; jeden z nich przerzucił nieprzytomną Ruth Cunningham przez drewniane siodło.
Kane

patrzył bezradnie, jak oddalają się od samolotu i znikają między wydmami.

Zerknął na zegarek. Było tuż po dwunastej w południe, czyli spał dłużej, niż przypuszczał. Stał przez chwilę przy samolocie, rozważając i po kolei odrzucając różne możliwości. Istniało tylko jedno rozwiązanie: minimalna szansa, że uda mu się naprawić radio. Wdrapał się do kabiny i zabrał się do pracy.

Od początku rozumiał, że sprawa jest beznadziejna, lecz mimo to wciąż majstrował przy uszkodzonym nadajniku w nadziei, iż uda mu się wykrzesać z niego iskrę życia i wezwać pomoc.

W kabinie panowało straszliwe gorąco. Ociekał potem i kilkakrotnie musiał

przerwać pracę, by odpocząć i wypić łyk wody. Tuż po trzeciej przyznał się wreszcie do porażki. Usiadł i już miał zapalić papierosa, gdy wtem usłyszał w dali warkot nadjeżdżającej ciężarówki.

Zeskoczył na ziemię i jął nasłuchiwać, czując nagły przyływ dzikiej nadziei. Ciężarówka była blisko, bardzo blisko. Osłonił oczy i spojrzał ku górze, a pojazd ukazał się na szczycie wydmy w odległości stu metrów od samolotu i podążył w jego stronę.

Za kierownicą siedziała Marie, a obok niej widać było Dżamala. Kane ruszył ku ciężarówce, Marie zaś wyłączyła silnik, wyskoczyła z szoferki i podbiegła do niego.

- Nic ci nie jest, Gavin? - spytała z niepokojem.

- Czuję się świetnie, ale nic z tego wszystkiego nie rozumiem. W jaki sposób trafiście tu tak szybko?

- To długa historia - odpowiedziała. - Czy pani Cunningham jest w samolocie?

Kane pokręcił przecząco głową.

- Niestety nie.

Szybko zrelacjonował ostatnie wydarzenia, a gdy skończył, Marie miała śmiertelnie poważną minę.

- Jeśli nie złapiemy ich przed zachodem słońca, Bóg jeden wie, co z nią zrobią.

- Gdybyśmy natychmiast wyruszyli, powinniśmy ich bez trudu dogonić.

Usiadł z przodu i po chwili pojechali wyraźnie widocznym śladem trzech wielbłądów.

Ciężarówka wyposażona w dwanaście biegów oraz napęd na cztery koła nadawała się idealnie do jazdy po grząskim piasku.

Kane usiadł wygodniej na siedzeniu.

- Opowiedz mi, co się wydarzyło w Bir al-Madani.

- O jedenastej załatwiłam wszystko z Jordanem - odpowiedziała Marie. - Odesłał mnie i Dżamala do wioski jedną ze swoich ciężarówek. Kiedy dotarliśmy do pasa startowego, czekał na nas Omar. Stwierdził, iż w wiosce jest obcy Arab, przybysz z wybrzeża, który chęłpił się, że nie wrócicie z

lotu nad pustynią.

**- Omar sam wam to powiedział?! -
zdziwił się Kane.**

Marie uśmiechnęła się lekko.

**- Nigdy nie zrozumiesz mentalności
Arabów, Gavinie. Zabić wroga w
uczciwej walce to jedno, ale podstępne
uszkodzenie samolotu... - Wzruszyła
ramionami. - Omar uznał to za
niehonorowe.**

**- Rozumiem. A skąd wiedziałaś, co się
naprawdę stało?**

**- Omar wskazał nam tego Araba, a
Dżamal zabrał go w ustronne miejsce i
przeprowadził przesłuchanie. Okazało się, że jest dość
uparty, ale gdy złamaliśmy mu prawą
rękę i zagroziliśmy, że zrobimy to samo
z lewą, odzyskał rozsądek.**

Zdumiony Kane spojrział ostro na Marie.

- Na Boga, nie jesteś zwolenniczką półśrodków, prawda?

- Moja matka pochodziła z plemienia Raszid - odrzekła spokojnie. - Potrafimy być brutalni, zwłaszcza gdy zagrożone jest coś, na czym nam zależy.

Kane usiłował wymyślić stosowną odpowiedź, lecz jej nie znalazł.

- Przedziurawił zbiornik paliwa? - spytał wreszcie.

- Skorzystał z zamieszania, gdy tłum wieśniaków otoczył zwłoki morderców. Nikt go nie zauważył.

- Dowiedziałaś się, kto go wynajął?

Skinęła głową.

- Selim, jak przypuszczałam.

- Musi mnie naprawdę nienawidzić, skoro zadał sobie tyle trudu. Jak to się stało, że tak łatwo odnaleźliście samolot?

- Wiedziałam, że lecieliście w prostej linii z Szabui do Marib, toteż ruszyłam waszym śladem w nadziei, że was znajdę. Przedtem wysłałam do Jordana jego szofera z notatką wyjaśniającą, co się stało.

Kane uśmiechnął się ironicznie.

- Szybko stajesz się niezastąpiona.

Marie umilkła, nie wiedząc, co odpowiedzieć, i skupiła się na prowadzeniu ciężarówki. Podążali śladem wielbłądów wijącym się wśród wydm, aż wreszcie dotarli do wielkiej równej płaszczyzny pokrytej piaskiem i drobnymi kamykami; sięgała ona aż po horyzont. Marie wrzuciwszy ostatni bieg przycisnęła pedał gazu.

Ciężarówka pędziła przez równinę, wzbijając tumany kurzu, i wnet wszyscy trzej pasażerowie byli pokryci od stóp do głów piaskiem. Kane wypił łyk wody i nieustannie rozglądał się po równinie, wypatrując w dali trzech czarnych kropek stanowiących cel ich poszukiwań.

Do dachu ciężarówki przymocowano dwa karabiny; zdjął je i podał jeden z

**nich Dżamalowi. Olbrzymi Somalijscyk
sprawdził fachowo broń, położył palec
na spuście i zamarł w bezruchu.**

**Kane ujął mocno swój karabin i
spoglądał zmrużonymi oczyma przez
przednią
szybę. Przestał o czymkolwiek myśleć i
zachnął się ze zdziwienia, gdy Marie
krzyknęła mu coś do ucha, a w dali
zamajaczyły zbliżające się kropki.**

**Uniósł nieco karabin i czekał. Kiedy
zblżyli się do trzech wielbłądów,
mężczyzna jadący z tyłu obejrzał się,
krzyknął coś z wyrazem przerażenia na
twarzy i popędził naprzód.**

**Marie przekręciła kierownicę i
ciężarówka zrównała się z Arabami.
Kane
uniósł karabin i strzelił ostrzegawczo w
powietrze, po czym pojazd wysunął**

się przed wielbłądy.

Marie zahamowała gwałtownie, a trędowaty Jemeńczyk wiozący przed sobą

Ruth Cunningham puścił ją tak gwałtownie, że spadła na ziemię.

Próbował

unieść strzelbę do oka, gdy Dżamal strącił go celnym strzałem z siodła.

Marie podjechała do Ruth Cunningham i zatrzymała ciężarówkę. Amerykanka płakała, zasłoniwszy dłońmi twarz, a Marie spytała ją łagodnie:

- Zrobili ci krzywdę?

Ruth pokręciła kilka razy głową.

- Mężczyzna ze straszną twarzą ciągle mnie obmacywał, ale ich przywódca kazał mu zostawić mnie w spokoju.

Mówiła z trudem, a na koniec zaniósła się szlochem. Marie zaprowadziła ją do ciężarówki i posadziła na jednym z siedzeń.

Kane podszedł do dwóch Arabów, którzy kazali swoim wielbłądom usiąść, trzymanym na muszce przez Dżamala. Mężczyzna bez uszu uśmiechnął się, błyskając zębami.

- Dziwne są drogi Allacha.

- Zaiste, bardzo dziwne - odparł Kane. - Wasze cholerne szczęście, żeście nie zrobili jej krzywdy. Teraz wynoście się stąd do diabła.

Stał przez chwilę, obserwując odjeżdżających Arabów, po czym poszedł

pomóc Dżamalowi, który kopał płytki grób, by pochować zabitego.

Kiedy wrócił do ciężarówki, Ruth wciąż płakała cicho, obejmowana przez Marie. Uniósł pytająco brwi, a Marie pokręciła głową.

- Nie ma pośpiechu - rzekł, wzruszając ramionami. - Możemy odpocząć tu jakąś godzinę, nim ruszymy w drogę powrotną.

Usiadł na piasku, oparty plecami o ciężarówkę. Nasunął na oczy rondo kapelusza, a po chwili opuścił głowę na piersi i zapadł w drzemkę.

Ktoś trącił go łagodnie w ramię, a Kane ocknął się przekonany, że spał zaledwie kilka minut. Pochyliła się nad nim uśmiechnięta Marie.

- Powinniśmy ruszać, Gavin. Już po szóstej.

Wstał i zajrzał do ciężarówki. Ruth Cunningham spała zwinięta w kłębek na jednym z siedzeń w szoferce. Uśmiechnął się do Marie i zajął miejsce za kierownicą. Przerzucił łagodnie sprzęgło i odjechał.

W deskę rozdzielczą wmontowano kompas, toteż Kane postanowił nie trzymać się krętych śladów wielbłądów, tylko pojechać prosto w stronę Szabui.

Słońce, przypominające wielką pomarańczową kulę, chyliło się powoli ku zachodowi, aż wreszcie zapadła noc, zupełnie nagle, jak zwykle na pustyni. Niebo było czyste i na firmamencie lśniły gwiazdy, przywodzące na myśl

**okruchy diamentów, a pustynię zalewało
nieziemskie, srebrzyste światło
księżycyca.**

**Marie zdrzemnęła się, oparłszy głowę o
ramię Kane'a, który siedział z
rękami na kierownicy i wpatrywał się
prosto przed siebie w mrok.**

**Kiedy to zobaczył, doznał tak wielkiego
wstrząsu, że nacisnął gwałtownie
hamulec i koła ciężarówki zaryły się w
piasku, a wszyscy pasażerowie
poleciali do przodu i obudzili się.**

**- Co się stało, Gavin?! - zawołała z
lękiem Marie.**

**Wyciągnął w milczeniu rękę w prawą
stronę. Na szczycie niewielkiego
wzniesienia stała smukła kamienna
kolumna, rzucając na piasek długi
czarny**

cień.

Wysiadł z ciężarówki i ruszył powoli w jej stronę. Marie podążyła za nim. Kiedy znalazł się w odległości kilku metrów, potrącił coś stopą i rozległ się metaliczny brzęk.

Podniósł dwie puszkę i zważył je w dłoniach.

- Wołowina i zupa. Na pewno nie obozował tu żaden Arab.

Pochylił się i podniósł jeszcze jeden przedmiot, gdy tymczasem zbliżali się doń Ruth Cunningham i Dżamal. Nie wiedzieli przez chwilę, co to takiego, aż wreszcie Kane odwrócił się i wyciągnął przedmiot w ich stronę. Była to duża, pusta aluminiowa manierka.

10

**Dzamał ją kopać wokół podstawy
kolumny, usuwając otaczający ją piasek,
a
Kane uklęknął obok niego,
przyświecając mu potężną latarką
elektryczną.**

**Murzyn przerwał po chwili pracę i
wskazał coś palcem. Kane pochylił się i
ujrzał długą inskrypcję wykutą
pięknymi znakami w kamieniu.
Studiował ją z
uwagą przez kilka minut, po czym wstał
i wrócił do ciężarówki.**

**Lekki wiatr kołysał płomieniem
maszynki spirytusowej, a Marie i Ruth
Cunningham podgrzewały puszki fasoli
na patelni wypełnionej wrzącą wodą.**

Kane usiadł koło nich, Ruth zaś naląła mu do blaszanego kubka gorącej kawy.

- Znalazłeś coś jeszcze?

Kane wypił kilka łyków kawy i skinął głową.

- Owszem, odkryłem długą sabejską inskrypcję: nawiasem mówiąc, sabejski to język starożytnego królestwa Saby. Niestety, nie mam przy sobie żadnego słownika i sporo zapomniałem. -

Wyciągnął kubek, prosząc o dolanie kawy. -

Zdołałem jednak odczytać kilka słów.

Na przykład wzmiankę o Isztar oraz nie znaną mi miarę odległości.

Marie odrzuciła włosy z czoła, a płomyk kuchenki spirytusowej, tańczący w podmuchach wiatru, oświetlił chybotliwie jej twarz.

- Chcesz powiedzieć, że to rodzaj kamienia milowego?

Kane skinął głową.

- To na pewno jedna z siedmiu kolumn wspomnianych przez Aleksjasza.

- Ale czy to możliwe? - spytała Marie. - Jeśli ta kolumna pochodzi z epoki królowej Saby, ma prawie trzy tysiące lat.

Kane wzruszył ramionami.

- Susza i upał panujące na pustyni działają konserwująco. Widziałem w Marib inskrypcje naskalne, które miały przeszło dwa i pół tysiąca lat, a wyglądały, jakby wykuto je zaledwie wczoraj. Ponadto w tym rejonie

występują często burze piaskowe, toteż kolumna mogła przez wieki tkwić zagrzebana w piasku.

- A manierka i stare puszki od konserw?

- spytała Ruth, wręczając Kane'owi talerz fasoli.

- Chyba zostawił je tutaj twój mąż. Wiemy na pewno, że wyjechał z Szabui na wielbłądzie. Niezależnie od tego, co się z nim później stało, możemy przyjąć, że dotarł aż tutaj.

- A ci trzech bandyci? - spytała znowu Ruth. - Mogli go napaść tacy sami zbóje.

Kane skinął głową.

- To prawda. Przestępcy wyjęci spod prawa rzeczywiście uciekają na

pustynię, ale z reguły nie zapuszczają się bardzo daleko. Krążą na skraju Rab al-Chali, by być blisko wody. Tak czy owak, taką manierką mógł się posługiwać tylko Europejczyk. Beduini korzystają ze skórzanych bukłaków.

- Więc to wszystko prawda - odezwała się Marie po chwili milczenia. - Saba i jej świątynia, Aleksjasz i rzymscy legioniści.

- Tak, Rzymianie musieli tędy przechodzić - stwierdził Kane.

Po jego słowach nastąpiła niesamowita cisza i przez chwilę zdawało się, że gdzieś w dali rozlegnie się rzenie koni i na grzbiecie pobliskiej wydmy pojawią się rzymscy kawalerzyści prowadzeni przez Aleksjasza w lśniącym napierśniku, a Grek ściągnie wodze, rozglądając się po pustyni.

I nagle w mroku rozległo się ciche wibrujące buczenie, które przybrało stopniowo na sile, aż stało się podobne do głuchego, wszechogarniającego grzmotu. Ruth Cunningham rozejrzała się z lękiem, a Marie położyła jej dłoń na ramieniu i rzekła prędko:

- To nic groźnego. Zmiany temperatury powodują przesuwanie się warstw piasku, które wydają ten dziwny dźwięk.

- Śpiewające piaski - rzekł cicho Kane. - Ciekawe, czy słyszał je także Aleksjasz?

- Jedno jest pewne: nie miał nikogo, kto mógłby mu naukowo wyjaśnić ten fenomen - zauważyła Ruth.

- Tak czy owak, chyba się nie bał - rzekł łagodnie Kane. Po chwili

milczenia wyjął z kieszeni pogniecioną paczkę papierosów. - Teraz musimy się zastanowić, co dalej.

Marie wzięła papierosa i pochyliła się, by zapalić go od płomyka kuchenki. Kiedy się wyprostowała, miała zamyśloną twarz.

- W jakiej odległości od Szabui znajduje się świątynia? - spytała.

- Mniej więcej sto czterdzieści kilometrów - odparł Kane.

- A my przebyliśmy około sześćdziesięciu pięciu? - Skinął głową, a ona odchyliła się do tyłu i połowa jej twarzy zniknęła w cieniu. - Chyba musimy zmienić kierunek i ruszyć prosto w stronę Marib - dodała po chwili. - Nawet

**jeśli nie odnajdziemy pozostałych
kolumn, powinniśmy dostrzec samotną
skałę
opisaną przez Aleksjasza.**

**Ruth Cunningham spojrzała z nadzieją
na Kane'a.**

- Myślisz, że to możliwe?

**- Dlaczego nie? Mamy mnóstwo paliwa i
wody. Jeśli za chwilę ruszymy,
powinniśmy tam dotrzeć przed świtem.
Księżyc świeci jasno, a nocna jazda
będzie na pewno znacznie
przyjemniejsza niż ten cholerny upał w
dzień.**

Marie wstała.

**- W porządku. Pakujemy się i jedziemy.
- Kiedy Kane odwrócił się, by**

**odejść, chwyciła go za rękaw. -
Powinieneś się trochę przespać, Gavin.
Poprowadzę ciężarówkę przez pierwsze
dwie godziny, a później ty mnie
zmienisz.**

**Już zamierzał odmówić, gdy wtem
poczuł ogarniające go zmęczenie, które
przywodziło na myśl ciężki koc
narzucony na ramiona. Po półgodzinie,
gdy
wyruszyli w drogę, spał jak zabity wśród
bagaży w tylnej części ciężarówki.**

**Obudził się z niesmakiem w ustach. Było
przenikliwie zimno. Usiadł i
pochylił się do przodu. Obok niego
drzemał Dżamal, a Ruth Cunningham
spała
z głową odchyłoną do tyłu.**

Przeszedł na przednie siedzenie. Kiedy Marie obróciła głowę i uśmiechnęła się do niego, dostrzegł na jej twarzy głębokie bruzdy świadczące o zmęczeniu i poczuł dziwną tkliwość.

- Która godzina? - spytał.

- Około wpół do czwartej.

Wyciągnął rękę, by przejąć od niej kierownicę.

- Idź do tyłu, a ja poprowadzę. Powinnaś była mnie obudzić godzinę temu.

Marie zapaliła papierosa, włożyła go Kane'owi do ust a później przytuliła się do niego i oparła mu głowę na ramieniu.

- Staję się przy tobie zupełnie bezwolna.

- Szczęściarz ze mnie - odparł z uśmiechem, wdychając jej zapach, ona zaś westchnęła z zadowoleniem.

Jechali przez równinę porośniętą niskimi krzewami. Kane objął Marie lewą ręką i przyciągnął ją do siebie. Mógłby powiedzieć jej wiele rzeczy, lecz w tej chwili słowa wydawały się zbędne.

Po chwili uniosła głowę i łagodnie pocałowała go w policzek.

- Biedny Gavin! - odezwała się z błyskiem rozbawienia w oczach.

- Pal cię lichu! - mruknął. - Pal lichu wszystkie kobiety!

Zaśmiała się.

- I co z tym zrobimy?

- Chyba to, co zwykle. - Westchnął. - W Mukalli jest ojciec O'Brien. Pasuje ci to?

- Wspaniale! Bardzo lubię ojca O'Briena. A co potem?

Kane wzruszył ramionami.

- Wszystko jakoś się ułoży.

Wydawało się, że Marie ma zamiar coś powiedzieć, lecz ostatecznie się nie odezwała, jakby na razie jego słowa ją usatysfakcjonowały.

- Zobaczymy.

Po chwili zapadła w sen, a Kane objął ją ramieniem, patrząc przed siebie

przez szybę. Powtarzał sobie z ironią, że znów zaczyna się bawić w amory, ale co najdziwniejsze, nie miał nic przeciwko temu.

Równina się skończyła. Kane puścił Marie, zmienił bieg i jął się wspinać po stromym zboczu wydmy.

Księżyc przybladł, a na wschodzie pojawiła się delikatna różowopomarańczowa luna pierwszego brzasku. Kane'a piekły z niewyspania oczy i miał zdrętwiałe ramiona od wielogodzinnego ściskania kierownicy.

Zatrzymał się na chwilę na szczycie wielkiej wydmy i rozejrzał się po pustyni przez lornetkę. Kiedy nad widnokregiem weszło słońce i zrobiło się jasno, w dali ukazał się ciemny punkcik. Wyregulował ostrość lornetki. W

**odległości ośmiu, dziesięciu kilometrów
sterczała wielka czerwonawa skała.**

**Zmienił bieg i zjechał ze stromeego
zbocza wydmy. Znalazłszy się u jej
podnóża okrążył ją, aż dotarł do
kolejnej równiny pokrytej piaskiem i
kamieniem. Przyśpieszył i ruszył szybko
ku samotnej skale widocznej na
widnokręgu.**

**Kiedy ciężarówka nabrała prędkości,
pozostali pasażerowie obudzili się.**

**- Co się dzieje? - spytała z niepokojem
Marie.**

**- Jesteśmy prawie na miejscu - odparł
Kane, kiwając głową w stronę
odległej skały.**

**Ruth pochyliła się do przodu, ściskając
mocno skraj fotela, aż widać było**

zbielałe knykcie.

Skala przybliżała się stopniowo, aż wreszcie znaleźli się u jej podnóża i wjechali do głębokiego krętego wąwozu. Kane zatrzymał ciężarówkę i wyłączył silnik. Zapadła kompletna cisza. Po chwili zdjął jeden z karabinów i zeskokczył na ziemię.

- Chyba dobrze byłoby zostawić wóz w tym miejscu. Nie mamy pojęcia, co możemy znaleźć w głębi.

Dzamał wziął drugi karabin i ruszyli razem po kamiennym dnie wąwozu. Po przejściu kilku kroków Ruth Cunningham wydała okrzyk zdziwienia i wskazała ręką w górę.

- Tam, na skale! Czy to nie jakiś napis?!

**W ukośnych promieniach słońca
wpadających do wąwozu inskrypcje
naskalne
rysowały się z niezwykłą wyrazistością.
Kane podszedł bliżej i spojrział w
górze.**

**- To rzeczywiście napisy sabejskie - rzekł
po chwili, kiwając głową. -
Jesteśmy we właściwym miejscu.**

**Ruszyli naprzód, minęli kilka inskrypcji,
po czym obeszli zakręt wąwozu i
stanęli jak wryci.**

**Ujrzeni przed sobą szeroki szpaler
kolumn; niektóre leżały przewrócone,
inne zaś wciąż stały prosto. Na końcu
kolumnady widać było zrujnowaną
fasadę potężnej świątyni przylegającej
do ściany wąwozu.**

Kane'owi zaschło w ustach. Jeszcze nigdy nie przeżywał czegoś takiego. Ruszył szybko naprzód, a jego towarzysze podążyli za nim.

Na krańcu kolumnady, bezpośrednio przed świątynią, znajdował się głęboki zbiornik krystalicznie czystej wody, zasilany z jakiegoś niewidzialnego źródła. Kane przyklęknął obok basenu, zaczerpnął dłońmi trochę wody i wypił ją łapczywie.

Słyszał zbliżających się towarzyszy i podniecone głosy dwóch kobiet.

- Ta woda jest zimna jak lód! - zawołał.

Głosy umilkły nagle, a gdy Kane jął się unosić, ujrzał obok siebie czyjeś odbicie i usiłował sięgnąć po karabin.

W kamień na brzegu zbiornika trafiła kula, Kane zaś uniósł ręce nad głowę i wstał powoli. Po drugiej stronie jeziora widać było kilkunastu półnagich

Beduinów uzbrojonych w najnowsze brytyjskie karabiny "Lee Enfield". Stał przed nimi Selim z sardonicznym uśmiechem na twarzy.

- Proszę, nie rób żadnych głupstw - odezwał się po angielsku z wyraźnym arabskim akcentem.

Beduini obeszli szybko jezioro: podzielili się na dwie grupy i otoczyli Kane'a i jego towarzyszy. Po chwili zbliżył się wolnym krokiem Selim, trzymając jedną ręką rękojeść dzambii; drugą zaś gładząc się po brodzie.

- Świat jest mały - rzekł Kane, gdy Arab się przed nim zatrzymał.

- Niełatwo cię zabić - odparł Selim, kiwając głową. Westchnął głęboko, po czym z całej siły kopnął Kane'a w brzuch.

Amerikanin leżał przez chwilę na ziemi, potrząsając głową, świadomy wycelowanych w siebie karabinów. Wreszcie jęknął i wstał powoli.

Selim uśmiechnął się.

- To dopiero zaliczka na poczet starego długu. Resztę wypłacę ci później. Zawsze reguluję swoje rachunki.

Wydał krótki rozkaz, a Beduini otoczyli jeńców i popędzili ich naprzód, wydając przenikliwe okrzyki.

Podążając w stronę gigantycznych schodów wiodących do świątyni, Kane

zastanawiał się nad niespodziewanym rozwojem wydarzeń. Od początku powinien być brać pod uwagę możliwość, że John Cunningham przeżył wędrówkę przez pustynię i że coś uniemożliwiło mu powrót. Ale dlaczego Selim? Nie miało to żadnego sensu.

Stanąwszy na szczycie monumentalnych schodów, przestał na razie o tym myśleć, bo pochłonął go widok świątyni. Przylegała do ściany skalnej, a ogromne kolumny wspierające portyk nad wejściem miały przynajmniej dwadzieścia metrów wysokości.

Do Kane'a podeszła Marie i rzekła z podziwem:

- Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałam. W całej Arabii nie ma

drugiej takiej budowli.

Kane skinął głową.

- Silne wpływy egipskie. Prawie identyczny portyk znajduje się w Karnaku.

We wnętrzu świątyni panował chłód i cisza, a oczy Kane'a wnet przywykły do półmroku. Podłogę pokrywał różowy marmur i wszędzie wznosiły się kolumny z ogromnych kamiennych bloków. Po przeciwległej stronie monumentalnej nawy w ciemności majaczył ogromny posąg.

Selim nakazał Beduinom opuścić świątynię; pozostało tylko trzech, mających najwyraźniej pełnić rolę strażników. Zwrócił się w stronę Kane'a.

- Macie tu zostać. Jeśli będziecie próbować ucieczki albo wykonacie jakikolwiek podejrzany ruch, strażnicy natychmiast was zastrzelą.

- W porządku, ty jesteś szefem - odparł Kane. - Ale przed odejściem powiedz nam przynajmniej, co się stało z mężem pani Cunningham. W końcu właśnie dlatego tu przyjechaliśmy.

Selim wzruszył ramionami.

- Żyje i dobrze się miewa. Na razie.

Ruth Cunningham zrobiła kilka kroków do przodu.

- Kiedy będę się mogła z nim zobaczyć? Proszę, puśćcie mnie do niego!

Miała zarumienione policzki i błyszczały jej oczy. Selim spojrział na nią,

jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu, po czym pokręcił powoli głową.

- To w tej chwili niemożliwe. Jeśli będziesz się dobrze zachowywać, zobaczysz się z nim później. Na razie musisz czekać tutaj.

- Na co? - spytał ostro Kane. - Na pluton egzekucyjny czy na poderżnięcie gardła?

Selim uśmiechnął się blado.

- Nie jestem tu po to, by odpowiadać na pytania.

Odwrócił się i wyszedł szybko ze świątyni, a Kane wyjął z kieszeni pogniecioną paczkę papierosów. Pozostał tylko jeden; zaciągnął się głęboko dymem i popatrzył na posąg.

Wyrzeźbiono go z litego granitu i Kane jeszcze nigdy czegoś takiego nie widział. Zwracały uwagę wydatne zmysłowe wargi, sterczące kości policzkowe i skośne oczy, przymknięte jak we śnie. Rzeźba wykazywała duże podobieństwo do posągów hinduskiej bogini Kali, które Kane widział wielokrotnie w Indiach.

Zmarszczył lekko brwi, zastanawiając się nad akademicką stroną problemu i rozglądając się po ołtarzu. Zauważył wyrzeźbioną w kamieniu niszę na święty ogień i przypomniał sobie rzymskich kawalerzystów, którzy torturowali kapłankę strzegącą świętego ognia. Czas zdawał się nie mieć żadnego znaczenia: kojarzył się z kołem obracającym się wiecznie w miejscu.

- Mam dziwne wrażenie, że Aleksjasz musiał kiedyś tu być - odezwała się cicho Marie.

Kane kiwnął w milczeniu głową. Stali przez chwilę obok siebie, myśląc o tym samym, gdy wtem przy wejściu do świątyni rozległy się czyjeś kroki.

Odwróciwszy się Kane ujrzał zbliżającego się mężczyznę w zakurzonem stroju koloru khaki. Nosił arabski zawój i okulary chroniące przed piaskiem. Podszedł bliżej, zatrzymał się i spoglądał na nich przez chwilę w milczeniu. Wreszcie zdjął okulary i ukazało się oblicze profesora Mullera.

Skinął sztywno głową.

- Mam nadzieję, że obie panie nie doznały szwanku?

Kane zrobił szybko krok do przodu, ale nim zdążył się odezwać, rozległ się znajomy głos:

- Ach, toż to mój stary przyjaciel, kapitan Kane! Więc mimo wszystko zdołałeś się tu dostać?

W mroku ukazała się sylwetka Skirosa.

11

Tuż przed południem dwóch strażników zabrało Kane'a ze świątyni. Rankiem wyprowadzono stamtąd także Marie i Ruth Cunningham, a nieco później Dżamala.

Pozostawszy w świątyni wyłącznie w towarzystwie strażników, Kane jął

analizować ostatnie wydarzenia, lecz wciąż nic z tego wszystkiego nie rozumiał. Nic nie układało się w logiczną całość. Jeśli Muller natrafił na świątynię przypadkowo, dlaczego nie ogłosił swojego odkrycia? Zyskałby wówczas światową sławę. A Skiros i Selim? Na czym polegała ich rola? Kane nie potrafił tego rozgryźć i czekał z narastającą niecierpliwością na dalszy rozwój wypadków, aż wreszcie przyszło po niego dwóch Beduinów.

Wyszedł z chłodnego półmroku panującego w świątyni i zatrzymał się na szczycie schodów, oślepiiony jaskrawym słońcem. Jeden ze strażników pchnął go w plecy, tak że Kane musiał zbiec po stopniach, prawie tracąc równowagę.

Dwaj Arabowie uznali to za świętny kawał, a Kane nadludzkim wysiłkiem

woli powstrzymał gniew i ruszył potulnie pomiędzy nimi, rozglądając się z uwagą po dolinie.

Ściany skalne były pokryte inskrypcjami i w kilku miejscach ziały czarne dziury, niewątpliwie wejścia do jaskiń. Nagle dno wąwozu zaczęło opadać lekko w dół i ukazała się niewielka kotlina, rodzaj oazy porośniętej palmami, w której rozbito kilkanaście namiotów.

Schodząc w stronę obozowiska, Kane zdumiał się na widok wielkiej liczby zgromadzonych tam ludzi i wielbłądów. Wszędzie widać było spoconych Arabów, którzy ładowali na grzbiety zwierząt ciężkie skrzynki, jakby szykowali się do odjazdu.

Wokół roilo się od przedstawicieli najróżniejszych plemion. Byli tam wszyscy: półnaczy Jemeńczycy w barwnych turbanach, z ciałami pokrytymi tatuażami i wysmarowanymi barwnikiem indygo, Beduini z plemion Raszid, Musabajn i Haris. Kiedy strażnicy prowadzili Kane'a przez tłum, śledziły ich zaciekawione spojrzenia.

Zatrzymali się przed największym namiotem i rozkazali mu wejść do środka.

Uchylił płachtę zasłaniającą wejście i spełnił polecenie. Przy niewielkim składanym stoliku siedział Muller, pijąc kawę i oglądając przez szkło powiększające glinianą skorupę. Niemiec uniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Ach, toż to kapitan Kane! Proszę wejść!

Kane usiadł naprzeciwko niego na składanym stołeczku, a Muller uniósł imbryk i znów się uśmiechnął.

- Kawy? - spytał.

Kane skinął głową, a Niemiec nappełnił filiżankę i podał ją Amerykaninowi, który pochylił się do przodu i oparł ramiona na stoliku.

- Co zrobiliście z kobietami?

Na twarzy Mullera pojawił się zboląły grymas.

- Nie jesteśmy barbarzyńcami. Przebywają pod strażą w sąsiednim namiocie,

gdzie jest im znacznie wygodniej niż w świątyni.

**- To miło z waszej strony - odparł Kane.
- A co z Cunninghamem?**

**- Niedługo się pan z nim spotka -
stwierdził spokojnie Muller. - Najpierw
jednak chciałby pomówić z panem
Skiros.**

**- O co w tym wszystkim, do cholery,
chodzi?! - spytał ostro Kane.**

Niemiec wstał i sięgnął po kapelusz.

**- Właśnie po to po pana posłałem,
przyjacielu. Wkrótce się pan dowie.**

**Wyszedł z namiotu, a Kane podążył za
nim. Ruszyli przez oazę i wspięli
się wraz z dwoma Beduinami ku ścianie
wąwozu. Przez cały czas mijali ich**

Beduini zdążający w dół, ku oazie, z ciężkimi skrzynkami na plecach.

Wdrapali się na wąską rampę wykutą w litej skale. Na jej szczycie znajdowało się wejście do jaskini; stał koło niego strażnik, a kilkunastu mężczyzn rozebranych do pasa wyciągało ze środka skrzynki, które znoszono później na dół. Muller przeszedł koło strażnika i Kane podążył za nim.

Jaskinia nie była zbyt wielka, lecz wszędzie piętrzyły się stosy najróżniejszych urządzeń technicznych. Skiros siedział przed skomplikowaną radiostacją krótkofalową. Kiedy weszli, zdjął słuchawki i przekręcił się na stolku.

- Ach, Kane! Więc w końcu się pojawiłeś! - Uśmiechnął się uprzejmie,

**jakby Amerykanin był długo
oczekiwanym gościem, który przybył
wreszcie na
przyjęcie.**

**- Nieźle się tu urządziliście - stwierdził
Kane.**

Skiros skinął głową.

**- Jesteśmy z tego bardzo dumni. - Wyjął
paczkę papierosów z kieszonki na
piersi i wyciągnął ją w stronę
Amerykanina. - Zapalisz?**

**Kane poczęstował się papierosem i
spytał:**

**- Nie sądzisz, że pora już, by ktoś mi
wreszcie coś wytłumaczył?**

**- Ależ oczywiście. - Skiros wskazał stosy
skrzynek. - Obejrzyj to sobie.**

Kane wyciągnął jedną z szarych metalowych skrzynek i uniósł wieko. W środku znajdowały się karabiny, jeszcze lśniące od smaru, którym zakonserwowano je w fabryce. Następna skrzynka zawierała pistolety maszynowe. Wyjął jeden z nich i przyjrzał mu się uważnie. Wyprodukowano go w Niemczech. Odwrócił się i spojrzał twardym wzrokiem na Greka.

- Nie doceniałem cię. Sądziłem, że wywozisz nielegalnie z kraju zabytki archeologiczne, ale to...

Skiros uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Niezłe, prawda? Mieliśmy dużo szczęścia, że znaleźliśmy takie znakomite miejsce. A wszystko dzięki Mullerowi.

**- Aż do przybycia Cunninghama.
Musiało wam to kompletnie
pokrzyżować
szyki.**

Skiros wzruszył ramionami.

- Drobne utrudnienie, nic więcej.

**Kane znów spojrzął na skrzynki z
bronią i trącił butem jedną z nich.**

**- Domyślam się, że to właśnie dlatego
Brytyjczycy mają tyle kłopotów z
plemionami na granicy z Omanem?**

**- Staramy się, jak możemy - uśmiechnął
się Skiros - ale ta broń to po
prostu zapłata dla Arabów za pomoc.
Nie interesuje nas, co z nią zrobią.**

**Kane ponownie obrzucił wzrokiem stos
skrzynek.**

- To niemieckie pistolety maszynowe.**
- MP-40, ostatni krzyk techniki.**
- Czy ty w ogóle jesteś Grekiem?**
- Moja matka była Greczynką i nazywała się Skiros, ale ojciec pochodził z Niemiec i jestem z tego dumny. Jego nazwisko nie ma żadnego znaczenia.**

Amerikanin odwrócił się i spojrzał na Mullera, stojącego w milczeniu u jego boku.

- A co ma z tym wszystkim wspólnego Muller?

- Odkrył te ruiny - wyjaśnił Skiros. - Dowiedział się o nich od

umierającego z pragnienia starego Beduina, który przywłókł się pewnego wieczoru do jego obozu koło Szabui.

- Na litość boską, Muller, po co się pan zadaje z tym sępem?! - zawołał Kane. - Dziesiątki fundacji naukowych w Europie i Ameryce chętnie zgodziłyby się finansować pańskie badania.

Muller wyglądał na zmieszanego.

- Mam swoje powody - burknął.

- I to bardzo poważne! - roześmiał się Skiros. - I tak się stąd nie Wydostaniesz, Kane, więc mogę ci zdradzić prawdę, przyjacielu. Podobnie jak ja, profesor jest Niemcem i patriotą. Służymy Trzeciej Rzeszy i naszemu Fuhrerowi, Adolfowi Hitlerowi.

- Wielki Boże! - jęknął Kane.**
- Pracuję dla Abwehry. Wiesz, co to takiego?**
- Niemiecki wywiad wojskowy.**
- Zgadza się. Zamierzamy wygrać nadchodzącą wojnę, przyjacielu. Pojutrze, pierwszego września, zaatakujemy Polskę.**
- To szaleństwo! - zawołał Amerykanin. - Zmierzacie wszyscy prosto do piekła!**
- Nie sądzę. Mamy wspaniałe dywizje pancerne, a także kapitana Carlosa Romera i jego przyjaciół, Hiszpanów służących ochotniczo w SS. Jutro**

przylecą tu swoją cataliną. Pojutrze wylądują na Kanale Sueskim, zaminują go i wysadzą w powietrze. To powinno dać naszym angielskim przyjaciółom trochę do myślenia.

- Nie wierzę w to! - Kane nie mógł się pogodzić z rewelacjami Skirosa.

- Mało mnie to obchodzi.

Kane zaczerpnął głęboko tchu.

- Co się teraz stanie?

- Z tobą? - Skiros wzruszył ramionami. - Przydasz się Mullerowi przez parę dni, ale potem... - Urwał i westchnął z udawanym smutkiem.

- Nie byłoby to zbyt mądre.

- A czemuż to? - Skiros uniósł lekko brwi. - Masz jakieś powody, by tak twierdzić?

Kane usiłował nadać swojemu głosowi pewne brzmienie.

- Wysłałem list do konsula amerykańskiego w Adenie i poinformowałem go, dokąd się udajemy. - Wzruszył ramionami. - Zwyczajny środek ostrożności.

Podróże przez pustynię bywają niebezpieczne, jak sam się orientujesz.

- Oczywiście kłamiesz.

- Wręczyłem ci list, żebyś go nadał, nie pamiętasz?

- Bardzo sprytne, drogi przyjacielu - rzekł cicho Skiros.

Na twarzy Mullera pojawił się wyraz kompletnej paniki; usiadł na skrzynce z amunicją i otarł chustką pot z twarzy i karku.

- Musimy uciekać - oznajmił drżącym głosem.

- Weź się w garść, profesorku! - Skiros wyjął papierosa i kilkakrotnie stuknął nim w zamyśleniu w pudełko.

**- Jeśli nie wrócimy w rozsądnym terminie, amerykański konsul w Adenie zawiadomi o tym miejscowe władze, które rozpoczną poszukiwania na pustyni -
stwierdził z przekonaniem Kane.**

Skiros uśmiechnął się krzywo.

- Całkiem słusznie, ale jak sam stwierdziłeś, konsul podejmie stosowne działania dopiero po upływie rozsądnego terminu. Dziękuję, że zwróciłeś mi na to uwagę.

Kane zaklął w duchu, bo Skiros miał rację i obaj o tym wiedzieli. Twarz Mullera rozpogodziła się; westchnął z ulgą.

- Wielkie nieba, ma pan rację!

Skiros pokiwał głową z zadowoloną miną.

- Zawsze mam rację, powinien pan już o tym wiedzieć. Konsul amerykański zajmie się tym najwcześniej za miesiąc, a my znikniemy stąd za dwa dni.

- Za dwa dni?! - zawołał z niepokojem Muller. - Nie zostawia mi to wiele

czasu. Nie wiem, czy zdążę się przekopać.

- Szczerze mówiąc, drogi profesorze, to, czy zdoła się pan przebić do swojego cholernego grobowca, w ogóle mnie nie interesuje.

- Pozwoli mi pan wykorzystać Kane'a? - spytał Muller. - Mógłby pracować z pozostałymi dwoma.

Skiros spojrział na Amerykanina.

- Na pewno nie będziesz miał nic przeciwko temu. W końcu tego rodzaju praca świetnie do ciebie pasuje.

Kane usiłował wymyślić jakąś ripostę, lecz nic nie przyszło mu do głowy.

- Cóż, poddaję się. Przegrałem tę rundę.

Skiros uśmiechnął się dobrodusznie.

- Otóż to! Przyjmij ten fakt z filozoficznym spokojem. - Nagle jego zachowanie zupełnie się zmieniło; stał się rzeczowy i oficjalny. - A teraz muszą mi panowie wybaczyć. Mam wiele pilnych zajęć.

Obrócił się na taborecie i wziął do ręki słuchawki, a Muller dotknął ramienia Kane'a i wyprowadził go z jaskini. Skręcił w prawo i ruszył szeroką półką skalną w stronę dwóch uzbrojonych mężczyzn przykucniętych przed wejściem do innej jaskini. Otwór w skale miał niewiele więcej niż metr wysokości i Kane musiał się pochylić, by zajrzeć do środka.

Muller otarł chusteczką pot z czoła.

**- Przykro mi, Kane - rzekł
zażenowanym tonem.**

**- Nie jestem dziś w nastroju do
wysłuchiwania zwierzeń - odparł Kane. -
Na czym ma polegać moja praca?**

**Tuż przy wejściu leżała latarka; Niemiec
zapalił ją i ruszył naprzód.**

**Jaskinia ciągnęła się w głąb zaledwie na
dziesięć metrów, a strop znajdował
się pół metra nad głową Kane'a. Potężny
snop światła latarki sunął powoli
po ścianie, aż wreszcie niespodziewanie
wydobył z mroku postacie łuczników.**

**Amerikanin z ciekawością obejrzał
starożytne wizerunki.**

**- Polichromia ścienna - skonstatował,
delikatnie muskając palcami skałę.
- Wyjątkowo dobrze zachowana.**

- Jak by ją pan datował? - spytał Muller.

**Kane wzruszył ramionami,
zapomniawszy chwilowo o niechęci do
Niemca.**

**- Trudno powiedzieć. Widziałem coś
podobnego w górach Hoggar na
Saharze,
ale porównania mogą się okazać
zwodnicze. Przypuszczam, że te
wizerunki
mają przynajmniej osiem tysięcy lat. Są
jeszcze inne?**

**Muller obrócił latarkę i oświetlił kilka
figur geometrycznych wykutych w
skale, po czym zatrzymał snop światła
na stosie gruzu koło wąskiego otworu
w głębi jaskini.**

**- Myślę, że to wyda się panu znacznie
bardziej interesujące.**

Otwór stanowił niewątpliwie dzieło ludzkich rąk; wyglądał na początek korytarza wykutego w skale.

- Sądzi pan, że to wejście do grobowca? - spytał Kane.

- A cóż innego? Świątynia pochodzi z epoki królowej Saby, a może być jeszcze starsza. Skoro ta dolina stanowiła ośrodek kultowy, z pewnością grzebano tu również zmarłych.

Odkąd Kane wszedł do jaskini, do jego uszu dochodziły odległe dźwięki, aż wreszcie w ciemnym korytarzu pojawiło się światło. Po chwili w otworze ukazał się Dżamal z latarką w ręku, ciągnąc duży kosz wypełniony gruzem. Potężne ciało Murzyna było pokryte kurzem i potem; przystanął na moment i

popatrzył na nich spokojnie, po czym opróżnił kosz i zniknął z powrotem w mroku.

- Zapewne jest tam również Cunningham? - spytał Kane.

Muller skinął głową.

- Chociaż pracuje wbrew własnej woli, w ciągu ostatnich kilku tygodni bardzo nam pomógł.

- Nie rozumiem tylko jednego - odezwał się Kane. - Ma pan w obozie mnóstwo Beduinów: dlaczego nie wykorzysta pan kilku z nich jako robotników?

Muller westchnął.

- Przede wszystkim Skiros nie jest szczególnym entuzjastą mojej pracy i

nie chce wyrazić na to zgody. Poza tym Arabowie są beznadziejnie zabobonni. Uważają, że te jaskinie są nawiedzane przez złe duchy.

Zanim Kane zdążył odpowiedzieć, za jego plecami rozległ się męski głos:

- Jeśli obejrzy pan strop, odkryje pan znacznie racjonalniejszą przyczynę ich niechęci do pracy. Wszystko może się lada chwila zawalić.

Z tunelu wyłonił się żyłasty mężczyzna średniego wzrostu. Był ubrany tylko w spodnie i podobnie jak Dżamal pokryty od stóp do głów pyłem.

Muller zignorował jego uwagę.

- Jak wam dziś idzie, Cunningham?

- Nie lepiej niż wczoraj albo przedwczoraj - odparł Cunningham. - Zresztą nie sądzę, byśmy zdołali gdzieś dotrzeć w szybkim tempie. Potrzeba do tego brygady robotników z młotami pneumatycznymi.

- Zgadza się, przyjacielu, ale cóż innego mogę zrobić? - odpowiedział Muller. - Na razie przyprowadziłem wam pomocnika. Kane jest doświadczonym archeologiem i z pewnością okaże się bardzo użyteczny.

- Chciałbym zauważyć, że od dłuższego czasu nie miałem nic w ustach - wtrącił Kane.

- Przyślę wam jedzenie późnym popołudniem - stwierdził Muller. -

Naturalnie spodziewam się w zamian znaczącego postępu robót. - Wyszedł z jaskini i dwaj mężczyźni zostali sami.

Cunningham oparł się o ścianę i ze znużeniem przesunął dłonią po twarzy.

- Kim pan, u licha, jest? Ma pan coś wspólnego z tym olbrzymem, którego wtrącili tu dziś rano? Nie udało mi się wydobyć z niego ani słowa.

- Nic dziwnego - odparł Kane. - Jest niemową, ale znakomicie rozumie arabski i somalijski.

Cunningham roześmiał się.

- Cóż, mówię znośnie po arabsku, ale nie mam pojęcia o somalijskim.

Amerykanin wyciągnął rękę.

- Nazywam się Kane. Pańska żona zleciła mi odszukanie pana, gdy otrzymała list zdeponowany u konsula brytyjskiego w Adenie.

- Przysłała pana Ruth? - spytał podnieconym głosem Cunningham, prostując plecy. - Widział ją pan ostatnio?

- Zaledwie dwie godziny temu. Jest na górze z moją przyjaciółką, niejaką Marie Perret. Muller i Skiros wzięli nas wszystkich do niewoli.

- Co z nią? - dopytywał się z niepokojem Cunningham. - Nic jej się nie stało?

- Kiedy nas rozdzielono, była w dobrym nastroju, ale bardzo się o pana martwiła.

Cunningham usiadł na stosie gruzu.

- Niech pan mi lepiej wszystko opowie.

Kane zrelacjonował mu pokrótce wydarzenia ostatnich dni, poczynając od pierwszego spotkania z Ruth Cunningham na falochronie w Dahrajnie. Nie pominął również ostatnich rewelacji Skirosa.

- Niezwykła historia - rzekł Cunningham, gdy Kane skończył.

Amerykanin skinął głową.

- Chyba tak. A jak to było z panem?

Cunningham zaśmiał się gorzko.

- Byłem głupcem, teraz to rozumiem. Z różnych powodów chciałem odkryć tę świątynię bez niczyjej pomocy. Po przybyciu do Bir al-Madani zorientowałem się, że nie mogę wyruszyć na pustynię samotnie. Udało mi się znaleźć Beduina z plemienia Raszid, który okazał się dostatecznie dzielny lub głupi, by mi towarzyszyć.

- Prawdopodobnie postanowił pan przejechać przez Pustynię Śmierci z Szabui do Marib, licząc na łut szczęścia?

Cunningham skinął głową.

- Okazało się to zadziwiająco łatwe. Mieliśmy zapasowego wielbłąda i mnóstwo wody. Drugiego dnia natknęliśmy się na pierwszą kolumnę.

**- Tę, koło której odnaleźliśmy
aluminiową manierkę?**

**- Tak. Rozbiliśmy tam obóz na noc.
Manierka była pusta, więc ją
wyrzuciłem, by ulżyć wielbłądom.
Szczерze mówiąc, nie spodziewałem się,
że
któraś z tych kolumn jeszcze stoi.**

**- Widzieliśmy tylko tę jedną - powiedział
Kane.**

**- Znalazłem również drugą,
przewróconą i do połowy zagrzebaną w
piasku -
stwierdził Cunningham.**

- Co się stało, gdy tu dotarliście?

**- Kiepska sprawa. Kiedy zapuściliśmy
się w głąb wąwozu, rzucili się na**

nas całą chmarą. Mój Raszid okazał się dzielnym człowiekiem i usiłował stawiać opór, ale go zastrzelili.

Uwięziono mnie na dnie wyschniętej studni, a następnego dnia przybył Skiros. Odkąd tu jestem, catalina, o której pan wspomniał, dwukrotnie lądowała na równinie koło wąwozu.

Domyślam

się, że Skiros chciał mnie zabić, ale później pojawił się Muller i postanowił mnie wykorzystać w roli kopacza, a Skiros niechętnie się na to zgodził.

- Obawiam się, że to tylko krótka zwłoka przed wykonaniem egzekucji - oświadczył Kane.

Cunningham wzruszył ze znużeniem ramionami.

- Nie obchodzi mnie mój los. Martwię się o Ruth.

- Wiem, co pan czuje, ale jeszcze nie wszystko stracone. Spróbujemy coś wymyślić. Gdzie umieszczają pana na noc?

Cunningham zaśmiał się krótko.

- Przedtem spałem w jednym z namiotów, pilnowany przez strażnika. Przed tygodniem próbowałem uciec, ale nie dotarłem zbyt daleko. Od tego czasu śpię z powrotem w studni, tak jak na początku.

- Brzmi to dość koszmarne - stwierdził Kane.

- Dobrze, że przynajmniej jest w niej sucho. Ostatni raz wybierano z niej

wodę przed tysiącem lat. - Cunningham wstał i przeciągnął się. - Zabierajmy się lepiej do pracy. Muller potrafi być zadziwiająco złośliwy, gdy dojdzie do wniosku, że za mało zrobiliśmy.

Podniósł latarkę i ruszył w głąb korytarza. Miał on około dwudziestu metrów długości i opadał łagodnie w dół. Na końcu stał Dżamal i napelniał kosz gruzem; jego łopata błyskała w świetle latarki. Tunel był tak ciasny, że dwaj mężczyźni ledwo mogli się zmieścić obok siebie. Dżamal odwrócił się, słysząc kroki Kane'a i Cunninghama; Amerykanin poklepał go po plecach i Somalijczyk zabrał się z powrotem do kopania.

- Jak pan widzi, warunki nie są zbyt dobre - odezwał się Cunningham.

Kane przyjrzał się uważnie ścianom w świetle jednej z latarek i zmarszczył brwi.

- Badałem grobowce wykute w skale w górach wokół Szabui, ale nie spotkałem się jeszcze z wejściem tego rodzaju.

Cunningham skinął głową.

- Mam wrażenie, że Muller nie ma o niczym zielonego pojęcia. Nawet nie słyszał o Aleksjaszu.

- To najprzyjemniejsza rzecz, jaką dzisiaj usłyszałem - odparł Kane. - Ale przyznam, że sam chciałbym wiedzieć, dokąd prowadzi ten przeklęty korytarz.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć - oznajmił

Cunningham, wręczając mu łopatę.

Kane zdjął koszulę, po czym stanął koło Somalijczyka i zaczął kopać.

Canaris siedział przy swoim biurku w sztabie Abwehry przy Tirpitz Ufer, gdy do gabinetu wszedł Ritter.

- Przed chwilą rozmawiałem ze Skirosem - rzekł oficer Luftwaffe.

Admirał wyprostował się w fotelu.

- Wszystko zgodnie z planem?

- Co do minuty.

- Co się stanie z Romerem i jego przyjaciółmi po opuszczeniu cataliny?

- Wyłowi ich jeden z pracowników naszej egipskiej ekspozytury. Zostaną natychmiast przewiezieni do Włoch.**
- Doskonale - uśmiechnął się Canaris. - Już niedługo, Hans.**
- Tak jest, panie admirale.**
- Proszę kontynuować operację - stwierdził Canaris, a Ritter trzasnął obcasami i wyszedł.**

12

Nad wąwozem wstał księżyc i oświetlił widmowo urwiska skalne, a Muller zaprowadził Kane'a, Cunninghama i Dżamala do obozu. Wyszędłszy z jaskini, Kane przeciągnął się, by rozluźnić obolałe mięśnie, i popatrzył na

świątynię skąpaną w blasku księżyca. Niewiarygodnie piękna monumentalna budowla robiła ogromne wrażenie, lecz strażnicy najwyraźniej w ogóle tego nie zauważali. Jeden z nich boleśnie szturchnął Kane'a w plecy lufą karabinu, popędzając go w dół stoku.

W wąwozie panowała cisza, a głębokie cienie rzucane przez skały pogłębiały wrażenie samotności. Jeńcy przeszli między namiotami i dotarli do gaju palmowego. Gdzieś w mroku kaszlnął wielbłąd, a Arab stojący po kolana w wodzie przerwał mycie i spojrzał zaciekawionym wzrokiem na przechodzących.

Znalazłszy się po drugiej stronie gaju palmowego, jeńcy zatrzymali się przed niewielką kamienną podkową otaczającą ziejącą studnię o średnicy

przeszło metra. Do pnia pobliskiej palmy przywiązano grubą linę; jeden ze strażników ujął jej wolny koniec i cisnął go w ciemność.

Cunningham zjechał na dół jako pierwszy, chwyciwszy linę rękoma i ustawivszy się tyłem do otworu. Podążył za nim Somalijszyk, a Muller zwrócił się do Kane'a i w charakterystyczny dla siebie sposób rozłożył ręce.

- Przykro mi, przyjacielu, ale Skiros nalega, bym tam pana umieścił. Uważa pana za niezwykle przedsiębiorczego i niebezpiecznego człowieka.

- Proszę sobie oszczędzić tych usprawiedliwień - odparł zimno Kane. Ujął

bez słowa linę i zaczął schodzić w dół.

Studnię wykuto w litej skale i bez trudu znajdował oparcie dla stóp. W pewnej chwili zatrzymał się i popatrzył na gwiazdy lśniące w górze; wydały mu się nieskończenie odległe. Nagle w dole coś się poruszyło.

Czyjeś dłonie dotknęły stóp Kane'a i pomogły mu zejść, aż wreszcie wylądował na miękkim piasku. Kiedy wstawał, lina zniknęła w mroku nad jego głową, ocierając mu się o twarz. Było to tak nieprzyjemne, że odskoczył i wpadł na kogoś.

- Nie przejmuj się - rozległ się głos Cunninghama. - Zaraz spuszcza na dół kosz z jedzeniem. - Po chwili chrząknął z satysfakcją. - O, mam go! - Ujął Kane'a za łokieć. - Ściana jest o sześć kroków w tamtą stronę.

Kane ruszył w mroku z wyciągniętymi przed siebie rękoma, aż musnął palcami kamień. Usiadł oparty plecami o ścianę, czując obok siebie Dżamala, a Cunningham rozdzielił jedzenie. Kiedy skończyli posiłek, zaczęli rozmawiać o sytuacji.

- Próbowalesz się stąd wydostać? - spytał Kane.

- Szkoda, że nie ma światła - odparł Cunningham. - Półtora metra nad naszymi głowami studnia się rozszerza. Gdyby nie to szerokie miejsce, można by wyjść, zapierając się nogami o ściany. Szyb jest dostatecznie wąski, a ściany nierówne i pełne szczelin.

Kane sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął pudełko zapalek. Zapalił jedną z

**nich i uniósł wysoko nad głową.
Cunningham miał rację. Górna część
szybu
wydawała się znacznie węższa. Zapalka
oparzyła go w palce i cisnął ją na
ziemię z przytłumionym przekleństwem.**

**- Chyba zdajesz sobie sprawę, że zostało
nam bardzo niewiele czasu? -
zwrócił się do Cunninghama. - Został
nam co najwyżej jeden dzień. Szczerze
mówiąc, nie mamy wyboru. Albo
wydostaniemy się z tej dziury, albo
zginjemy.**

**- Zgadza się z tobą - odparł
Cunningham. - Ale jak, do licha, mamy
się
stąd wydostać?**

**Kane podszedł do Dżamala, przykucnął
przed nim i zaczął mu coś tłumaczyć**

po arabsku. Kiedy skończył, wielki Somalijszyk trącił go w ramię na znak, że zrozumiał, po czym wstał.

Kane spojrział na Cunninghama.

- Dżamal jest tak niewiarygodnie silny, że może mnie podsadzić na tyle wysoko, bym uchwycił się czegoś w wąskiej części studni. Stanę mu na ramionach, a później on uniesie mnie jeszcze wyżej. Chcę, żebyś nas asekurował.

- Warto spróbować - stwierdził Cunningham.

Dżamal ustawił się na środku studni, a Kane wdrapał mu się na barki. Wyprostował się ostrożnie i wyciągnął ręce nad głową. Ledwo sięgał pierwszych kamieni.

- Teraz! - szepnął po arabsku, a Dżamal wsunął olbrzymie dłonie pod jego stopy i uniósł go w powietrze.

Kane macał wokół rękoma, usiłując czegoś się chwycić. Poczul, że ramiona Murzyna zaczynają lekko drżeć, i ogarnęła go na moment panika, aż wreszcie wczepił się palcami w jakąś szczelinę i podciągnął rozpaczliwie do góry. Po chwili tkwił bezpiecznie w studni, zaparłszy się stopami o jedną ścianę, a plecami o drugą.

Posuwał się powoli ku górze, zatrzymując się od czasu do czasu dla odpoczynku. Szorstkie kamienie wpijały mu się boleśnie w plecy, lecz piał się z determinacją coraz wyżej, aż wreszcie znalazł się zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od krawędzi studni.

Przeszedł szybko przez kamienną obudowę i poczołgał się w stronę liny. W tej samej chwili spomiędzy palm wyszło dwóch Beduinów. Przystanęli w świetle księżyca kilka kroków od studni, gawędząc leniwie.

Kane rozpląszczył się na piasku, a po chwili podążył ostrożnie w stronę palm, aż zniknął w bezpiecznym cieniu. Na razie nie mógł nic zrobić dla Cunninghama i Dżamala. Jeden z Beduinów był uzbrojony; trzymał karabin w zagięciu ramienia. Kane nie poradziłby sobie z obydwoma naraz.

Wstał i ruszył cicho między palmami w stronę obozu. Zbliżywszy się do niego, usłyszał chóralny śpiew. Beduini przykucnęli wokół wielkiego

ogniska, z którego tryskały snopy iskier. Kilku z nich tańczyło skomplikowany taniec, to ukazując się w świetle, to niknąc w mroku. Jeden grał na fujarce pasterskiej, drugi zaś wybijał jednostajnie rytm na niewielkim bębenu. Reszta siedziała po turecku wokół ognia, klaszcząc w dłonie i kołysząc się rytmicznie.

Kane ominął krąg jasności, trzymając się w cieniu, i wczuł się między namioty. Pierwsze dwa, do których zajrzał, okazały się puste; nawet nie próbował się zbliżyć do największego.

Przed jednym z namiotów na skraju obozowiska stało dwóch strażników. Okrążył go powoli i zbliżył się doń od tyłu. Leżał w mroku, słuchając szmerów dochodzących z wnętrza, gdy wtem rozległ się niewyraźny głos Ruth Cunningham i odpowiedź Marie.

Kane rozluźnił delikatnie linkę i uniósł nieco płachtę. Położył się płasko na brzuchu i zajrzał do środka.

Marie, odwrócona doń tyłem, siedziała na śpiworze w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów od jego nosa, a Ruth Cunningham znajdowała się koło wejścia.

**- Nie odwracaj się, Marie - szepnął. -
Każ Ruth mówić dalej.**

Plecy Marie zeszywniały pod cienkim materiałem koszuli; po chwili pochyliła się i odezwała cicho do drugiej dziewczyny. Ruth wciągnęła ze świstem oddech, lecz natychmiast zapanowała nad sobą. Zaczęła znowu mówić

do Marie, zastanawiając się nad ostatnimi wydarzeniami i wyrażając niepokój o przyszłość.

Marie wyciągnęła się na śpiworze i obróciła głowę, patrząc prosto na Kane'a. Ich wargi znajdowały się zaledwie dziesięć centymetrów od siebie.

- W tej chwili nic nie mogę zrobić, bo nie mam broni - szepnął Amerykanin. - Jak was traktują?

- Jak na razie bez zarzutu, ale nie podoba mi się sposób, w jaki Selim patrzy na Ruth. Wygląda, jakby miał najgorsze zamiary.

Kane usiłował mówić uspokajającym tonem.

- Poradzimy sobie z tym. Teraz muszę wrócić do Cunninghama i Dżamala. Cokolwiek się stanie, nie martw się. Przyjdziemy tu za jakąś godzinę i uwolnimy was. - Zaczął się oddalać, lecz zatrzymał się nagle. - Powiedz Ruth, że jej mąż jest cały i zdrowy.

Marie wysunęła dłoń spod płachty i pogładziła go łagodnie po twarzy. Jej oczy przywodziły na myśl mroczne jeziora pełne zdradliwych wirów, które zdawały się wciągać Kane'a w głęboką toń. Uniósł nieco wyżej płachtę namiotu, a Marie przysunęła twarz, aż ich wargi się spotkały. Nie był to namiętny pocałunek: wyrażała się w nim głęboka, tkliwa miłość kobiety, która kocha całym swoim jestestwem. Kane uścisnął jej na moment rękę, po czym odczołgał się szybko w mrok.

Kiedy posuwał się ostrożnie między drzewami w stronę studni, usłyszał nagle czyjeś kroki. Natychmiast położył się płasko na brzuchu za pniem palmy i czekał. Po chwili przeszedł koło niego jeden z arabskich strażników, i to tak blisko, że Kane mógłby wyciągnąć rękę i dotknąć jego galabii.

Dotarwszy do skraju gaju palmowego, zobaczył drugiego Beduina stojącego koło studni. Mężczyzna nie był uzbrojony w karabin; Kane odczekał, aż Arab odwróci się tyłem, po czym jął się czołgać bezgłośnie po piasku.

Beduin nie miał żadnych szans. Kane otoczył mu ramieniem szyję i zaczął go bezlitośnie dusić. Mężczyzna szarpał się przez chwilę i usiłował

krzyczeć, lecz wreszcie jego ciało zwiotczało, a Amerykanin wciągnął go między palmy i położył w cieniu.

Koło pnia jednego z drzew wciąż leżała zwinięta lina. Wrzucił ją do studni i zawołał cicho:

- Wychodźcie! Szybko!

Czekał, spoglądając z niepokojem w stronę gaju palmowego dzielącego studnię od obozowiska. Po chwili stanęli obok niego Cunningham i Dżamal.

Weszli między palmy, a Kane szybko wyjaśnił towarzyszom sytuację.

- Obie kobiety są pod strażą w jednym z namiotów. Uważam, że nie ma sensu podejmować próby opanowania obozu bez broni. Powinniśmy chyba zaatakować

jaskinię, gdzie Skiros ma swoją zbrojownię. Jest tam także nadajnik radiowy. Jeśli nie zdołamy wywołać Mukalli ani Adenu, będziemy mogli się porozumieć z Jordanem.

- Brzmi to bardzo rozsądnie - skwitował Cunningham.

Kane wytłumaczył szybko swój plan Dżamalowi, po czym wszyscy trzej ruszyli w stronę obozu. Obeszli ognisko, wokół którego siedziała ciągle większość Beduinów, i zaczęli się czołgać między namiotami.

Kiedy znaleźli się na tyłach największego namiotu, Kane zatrzymał się, poznawszy głos Mullera, dobrze słyszalny w nocnej ciszy. Dotknął lekko ramienia Cunninghama i zbliżył się do brezentowej płachty.

W tej chwili mówił Skiros, wyraźnie z siebie zadowolony.

- Cieszę się, że porozumiałem się przez radio z centralą - rzekł. -

Mieliśmy także szczęście, że zdołałem się skontaktować z Romerem. Przylecą dziś w nocy.

- Nie rozumiem, po co to wszystko - odparł Muller.

- Jest pan doprawdy niewiarygodnym głupcem, Muller - westchnął Skiros. - Wykonaliśmy już swoje zadanie. Jak mówiłem wcześniej Kane'owi, zapewne moglibyśmy tu spędzić bezpiecznie przynajmniej miesiąc, ale życie potrafi płać ludziom nieprzyjemne figle. Właśnie dlatego skorzystamy z okazji i

odlecimy stąd wszyscy cataliną do Egiptu. Niech się pan nie martwi, Muller.

Przejdzie pan do historii.

- A więźniowie? - wtrącił Selim.

Kane ujrzał w wyobraźni cyniczny uśmiech na twarzy grubasa.

- Ty zajmiesz się mężczyznami, a kobiety polecą z nami samolotem.

- Obiecałeś mi żonę tego Cunninghama - rzekł gniewnie Selim.

- Obiecałem, ale zmieniłem zdanie - odparł chłodno Skiros. - Nie zapominajmy, kto tu właściwie rządzi. Możesz sobie znaleźć inną kobietę.

- Co się z nimi stanie? - spytał Muller.

- Doprawdy, trudno mi powiedzieć - odparł Skiros. - Ta Perret wydaje mi się swego rodzaju wyzwaniem. Z przyjemnością nauczę ją rozsądku.

Gdzieś w dali rozległ się cichy warkot i Skiros oznajmił:

- Oto samolot, panowie. Punktualnie co do minuty. Zaprowadź kobiety do ciężarówki, Selim. Ja i Muller za chwilę tam przyjdziemy.

Cunningham poruszył się nagle, ale Kane chwycił go za rękę i przycisnął do ziemi.

- Nie bądź głupcem! - szepnął mu do ucha.

Przeczołgali się przez obóz, aż wreszcie zniknęli w mroku panującym przy

ścianie wąwozu. Kiedy Kane wspinał się na strome zbocze wiodące do podstawy urwiska, Cunningham spytał:

- Co teraz zrobimy, u licha?

- Nie mamy wyboru: musimy zatrzymać samolot - odparł Kane. - Ale powinniśmy się pośpieszyć.

Ruszyli cicho po kamiennej rampie i zbliżyli się ostrożnie do wejścia do jaskini, gdzie składowano broń. O skałę opierał się samotny Arab z karabinem na plecach. Nucił melancholijną, jednostajną pieśń pasterską, spoglądając w gwiazdy.

Kane dotknął barku Dzamala, a ogromny Somalijszyk ruszył bezszelestnie do

przodu. Pieśń urwała się nagle. Rozległ się przytłumiony trzask, jakby złamano suchą gałąź, i Dżamal położył martwego Araba na ziemi.

W jaskini panowała ciemność i przestąpiwszy próg Kane zapalił zapalniczkę. Na nadajniku radiowym stała latarka; zapalił ją szybko i oświetlił skrzynki z bronią.

Zostało ich zaledwie kilka. Pierwsze dwie, do których zajrzał, zawierały karabiny, lecz w trzeciej znajdowały się pistolety maszynowe. Po krótkich poszukiwaniach odnalazł także pudło pełne okrągłych magazynków zawierających po sto pocisków. Wręczył Cunninghamowi i Somalijskiemu po dwa takie magazynki.

- A co z radiem? - spytał Anglik.

Kane pokręcił głową, przypinając magazynek do swojego pistoletu.

- Nie ma na to czasu.

Kiedy wyszli na zewnątrz, usłyszeli warkot motoru i zobaczyli ciężarówkę odjeżdżającą w stronę pustyni. Kane zaklął i jął zbiegać pędem ze zbocza.

Większość Beduinów siedziała ciągle wokół ogniska, a Kane, Cunningham i Dżamal przeszli szybko w mroku na drugą stronę obozu.

Ciężarówka, którą przyjechali rankiem, stała na skraju obozowiska, wyraźnie widoczna w jasnym świetle księżyca.

- Ukradniemy ją - rzekł cicho Kane do Cunninghama. - Będziesz prowadził.

Jedź jak jeszcze nigdy w życiu!

Wyszli z cienia i wgramolili się do szoferki. Kiedy Cunningham przekręcił kluczyk w stacyjce, z tyłu rozległ się nagle przeszywający okrzyk. Kane odwrócił się i zobaczył kilkunastu biegnących Beduinów. Uniósł pistolet maszynowy i puścił w ich stronę krótką serię; natychmiast rozproszyli się w ciemności. W tej samej chwili Cunningham uruchomił wreszcie ciężarówkę i ruszył gwałtownie naprzód.

Kiedy wjechali na niewielkie wzniesienie przed świątynią i popędzili w stronę gardzieli wąwozu, w górze rozległ się warkot motorów cataliny, która leciała z opuszczonymi kołami, szykując się do lądowania na równinie.

- Jedź jak najszybciej! Wyciągnij z silnika wszystko, co się da! - zawołał Kane. Cunningham przycisnął gaz do dechy. Ciężarówka podskakiwała na kamieniach pokrywających dno wąwozu, a po chwili znalazła się na równinie i ruszyła w pościg za samolotem.

Po prawej stronie jechała druga ciężarówka, wyraźnie widoczna w świetle księżyca. Kiedy się do niej zbliżyli, Kane dostrzegł Selima siedzącego z tyłu, a Skirosa i Mullera z przodu.

Skiros miał twarz wykrzywioną gniewem i krzyknął coś przez ramię do Araba. Obie ciężarówki zrównały się; Selim uniósł karabin i strzelił. Skiros skreślił w ich stronę, a Selim wypalił znowu. Kane schylił odruchowo

głowę, gdy kula zdruzgotała przednią szybę, Cunningham zaś przekręcił rozpaczliwie kierownicę; ciężarówka wpadła w poślizg i zatoczyła koło.

Byli przez chwilę bezpieczni i mogli się skupić na samolocie, który akurat lądował, dotykając już kołami ziemi. Kiedy Romero zaciągał hamulce, w górę wzbiła się ogromna chmura pyłu i kurzu.

Noval, siedzący w fotelu drugiego pilota, odwrócił się i chwycił Romera za ramię.

- Na dole trwa strzelanina! Wynośmy się stąd!

- Startuję! - zawołał Romero, zwiększając obroty silników.

Kane zobaczył szybko zbliżającą się ciężarówkę Skirosa, a Cunningham przekręcił kierownicę i wjechał w sam środek chmury pyłu unoszącej się za samolotem.

Przez chwilę jechali na oślep, krztusząc się i kaszląc, osłaniając twarze przed bolesnymi drobinkami piasku, po czym Anglik znów przekręcił kierownicę i znaleźli się w świetle księżyca.

Catalina jechała w tej chwili z prędkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę w stronę wejścia do wąwozu. Cunningham skręcił i ciężarówka ruszyła równoległe do samolotu.

Cunningham zbliżył się do maszyny, a Kane i Dżamal wstali i zaczęli

strzelać z bliskiej odległości. Kane widział Romera wysoko na dziobie samolotu; przyćmione światło tablicy przyrządów podświetlało twarz Hiszpana. Uniósł pistolet maszynowy i puścił serię w stronę kabiny pilota. Romero zniknął, a ogon samolotu zatoczył szeroki łuk, wyrzucając w górę fontannę piasku.

Cunningham przekręcił instynktownie kierownicę, unikając zderzenia z samolotem, a catalina, zwrócona w tym momencie dziobem ku pustyni, zaczęła przyśpieszać, szykując się do ponownego startu.

Nagle samolot zadygotał gwałtownie i zboczył w lewo. Po chwili zarył dziobem w piasku i przejechał na brzuchu około stu metrów, aż wreszcie zatrzymał się, zmieniony w kupę poskręcane go żelastwa, wśród której

zaczynały już błyskać pomarańczowe języki ognia.

Nastąpiło kilka ogłuszających eksplozji: wybuchły zbiorniki paliwa.

Cunningham zawrócił szybko, oddalając się od buchających płomieni, a w powietrzu zaświszczały metalowe odłamki.

Druga ciężarówka pędziła w stronę wąwozu, ruszyli więc za nią w pościg, podskakując szaleńczo na wybojach. Kane stanął na stopniu szoferki; nie spuszczał oczu z tylnych świateł drugiego pojazdu, trzymając w pogotowiu pistolet maszynowy.

Kiedy wjechali do wąwozu, samochód wyskoczył wysoko w powietrze na nierówności gruntu, a Kane, ciśnięty gwałtownie w bok, puścił pistolet

maszynowy i potoczył się po miękkim piasku.

Ciężarówka zatrzymała się w odległości trzydziestu kilku metrów i natychmiast znalazła się pod ciężkim, skoncentrowanym ogniem wielu karabinów, a Kane zobaczył kilkunastu Beduinów ukrytych za wielkimi, nierównymi głazami spoczywającymi w tym miejscu u stóp urwiska.

Słyszał pociski uderzające w karoserię; podźwignął się z wysiłkiem i zawołał:

- Wynoś się stąd, Cunningham! Jedź po kobiety!

Ciężarówka natychmiast odjechała, a Kane skulił się, szukając rozpaczliwie pistoletu maszynowego. Dostrzegł go kilkanaście metrów dalej w

świetle księżycyca i popędził naprzód, by go odzyskać. Przez chwilę panowała zupełna cisza, po czym rozległ się grzechot kamieni. Kane wystrzelił w mrok

i schował się za wielkim głazem, gdy wtem zaświszczały mu nad głową kule, które odbijały się rykoszetem od urwiska. Kiedy Arabowie przestali strzelać, uniósł się ostrożnie i pobiegł w głąb doliny, trzymając się w cieniu.

Beduini wciąż strzelali na oślep za jego plecami, lecz na razie nic mu nie groziło. Przebiegł wzdłuż szerokiej alei wiodącej do świątyni, minął jej front i podążył w stronę oazy.

Dotarłszy do krawędzi kotliny, przystanął i spojrzął na obozowisko leżące

w dole. Cunningham zatrzymał ciężarówkę około trzydziestu metrów od namiotów i skrył się za nią razem z Dżamalem.

Na zboczu po ich prawej stronie wspinało się kilku Beduinów szukających dobrego stanowiska strzeleckiego. Kane już miał krzyknąć ostrzegawczo, gdy Cunningham uniósł wzrok i spostrzegł niebezpieczeństwo. Klepnął Dżamala w plecy, po czym odwrócili się i zaczęli wspinać po zboczu w stronę jaskini, gdzie składowano broń.

Znajdowali się w cieniu i przez chwilę nikt nie zauważył, że odeszli od ciężarówki. Nastąpiła krótka chwila ciszy, a Kane jął gramolić się ukośnie po stoku.

Zatrzymał się za dużym głazem i spojrzał do góry. Kiedy Cunningham i Somalijczyk dotarli do półki skalnej, na zbocze wspięło się kilku Jemeńczyków i odcięło im drogę.

Cunningham puścił w ich stronę długą serię z pistoletu maszynowego, po czym odwrócił się i pobiegł wraz z Dżamalem do drugiej jaskini. Kane wyślizgnął się zza głazu i podążył ku swoim towarzyszom, modląc się w duchu, by nikt go nie dostrzegł.

Z dna wąwozu dobiegł wściekły okrzyk Selima i natychmiast zaczęła się ostra kanonada. Kane dyszał ciężko, przyciskając jedną ręką do piersi pistolet maszynowy, drugą zaś opierając się o ziemię. Słyszał za sobą okrzyki Arabów, którzy zaczęli go gonić, i nad jego głową rozległa się

ogłuszająca seria wystrzałów. Spojrzał w górę i zobaczył Cunninghama przykucniętego na półce skalnej z pistoletem maszynowym przyłożonym do ramienia.

Kane padł płasko na ziemię, a silna dłoń Dżamala uniosła go i pociągnęła w stronę jaskini. Ukryli się w środku, a Cunningham przykucnął przy wejściu z twarzą osrebrzoną blaskiem księżyca, którego światło rozjaśniło skalną komorę i sięgało aż w głąb korytarza.

- Mało brakowało, by nas załatwili - rzekł po chwili Kane.

Cunningham skinął głową.

- Nie moglibyśmy strzelać zza ciężarówki. Bałem się, że trafimy kobiety.

- Tak, Skiros doskonale wie, że to jego główny atut - potwierdził Kane.

Nad głowami zagwizdały im kule, które wpadały przez wejście do jaskini i trafiały z hukiem w ścianę. Kane wyjrzał ostrożnie na zewnątrz. Na dnie wąwozu, zalanym światłem księżyca, widać było wyraźnie Arabów skradających się między ogromnymi głazami.

- Zaczekaj, aż znajdą się w połowie stoku, a potem zacznij strzelać na mój znak - rzekł Kane.

Czekali w milczeniu. Skiros szedł na czele swoich ludzi, a w pewnej chwili spojrział w górę i w świetle księżyca ukazała się wyraźnie jego twarz.

- Trzeba przyznać temu skurwysynowi, że nie brak mu jaj! - prychnął Kane.

Wreszcie Skiros dotarł do dużego kamienia, który Kane wybrał wcześniej w myślach jako punkt wyznaczający połowę stoku.

- Teraz! - zawołał i nacisnął cyngiel.

Trzy pistolety maszynowe zagrzechotały jednocześnie, a w dole rozległy się przeraźliwe okrzyki i kilku Arabów stoczyło się ze zbocza na dno wąwozu.

Reszta atakujących szybko się wycofała. Na końcu podążał Skiros, przeklinając na całe gardło po niemiecku.

Zapadła cisza, a Cunningham westchnął głęboko.

- Cóż, wygląda na to, że będziemy mieć trochę spokoju.

Kane pokręcił głową.

- Skiros tak łatwo nie zrezygnuje. Mam przeczucie, że za chwilę wymyśli coś wyjątkowo paskudnego.

W tej samej chwili Skiros zrobił kilka kroków do przodu.

- Nie zamierzam zdzierać sobie gardła, Kane! Daję wam kwadrans na zejście na dół z rękami nad głową! Jeśli tego nie zrobicie, wasze kobiety spotka coś bardzo nieprzyjemnego. Na pewno ty i Cunningham wolelibyście tego uniknąć!

Kane dotknął ramienia Dżamala, po czym trzej mężczyźni wstali i odsunęli się od wejścia.

- Ma nas w garści - stwierdził Cunningham. - Nie możemy pozwolić, żeby skrzywdził kobiety.

Kane pokręcił głową, patrząc ponuro na Anglika.

- Jeśli zechce je skrzywdzić, zrobi to i nie będziemy mu mogli przeszkodzić. - Znów pokręcił głową. - Myślę, że usiłuje zyskać na czasie. Prawdopodobnie szykuje jakiś perfidny podstęp.

W tej samej chwili na urwisku nad jaskinią coś się poruszyło i na skalną półkę spadła z grzechotem lawina drobnych kamyków.

- Mówiłem ci, że ten skurwysyn szykuje jakieś świństwo - odezwał się Kane, a do jaskini wpadł granat, wyraźnie widoczny w świetle księżyca.

Kane odwrócił się gwałtownie, wepchnął Cunninghama i Somalijczyka do wąskiego tunelu, sam podążył za nimi i rzucił się płasko na ziemię.

Granat wybuchł z ogłuszającym hukiem w ciasnej przestrzeni. Zagrzechotały spadające kamienie, po czym całe urwisko zadygotało i strop jaskini się zawalił.

Muller spojrział na chmurę pyłu unoszącą się nad wąwozem.

- Ach, mój Boże! Co teraz będzie?!

- Trzeba się stąd wynosić - odpowiedział Skiros. - Wrócimy do Dahrajnu i odpłyniemy łodzią Selima. Mamy przynajmniej jedną satysfakcję: ten bydlak

Kane i jego kumple są załatwieni. Mam nadzieję, że trochę się pomęczą, nim zdechną.

- Ale co z Berlinem, z Fuhrerem? Co się z nami stanie?

- Nic, głupcze! Połączę się z nimi przez radio i powiem Ritterowi, że catalina uległa wypadkowi. To nie nasza wina, a Berlin nie musi wiedzieć nic więcej.

- A co z kobietami?

- Na razie pojedą z nami. Teraz niech się pan weźmie w garść. Niedługo ruszamy.

Skiros odwrócił się i ruszył w stronę obozowiska, skinąwszy na Selima i pozostałych Beduinów, by za nim podążyli.

W Berlinie Canaris stał koło okna w swoim gabinecie i popijał koniak, gdy wtem rozległo się pukanie do drzwi i na progu ukazał się Ritter. Młody major był blady i najwyraźniej wytrącony z równowagi.

- Złe nowiny, Hans?

- Operacja "Saba", panie admirale. Przed chwilą otrzymałem dość zniekształcony meldunek od Skirosa. Likwiduje bazę. Doszło do jakichś kłopotów. Catalina zniszczona, a Romero i jego ludzie nie żyją.

**- Wybitnie niefortunne zakończenie -
stwierdził Canaris.**

- Ale co na to Fuhrer, panie admirale?

**- Fuhrer ma pewną szczególną cechę,
Hans: w poniedziałek jest czymś
bardzo podniecony, a w piątek
całkowicie o tym zapomina. - Canaris
uśmiechnął się. - Poza tym ma ciągle
Polskę.**

**- Czy pan admirał jest pewien, że Fuhrer
właśnie tak zareaguje? - spytał
Ritter.**

**- Naturalnie. Mam ogromne
doświadczenie, jeśli idzie o procesy
myślowe
Fuhrera.**

Canaris podszedł do biurka i przyniósł drugi kieliszek.

- Niech pan się lepiej napije koniaku, Hans. Kiedy będzie pan uczestniczył w tej grze tak długo jak ja, nauczy się pan nie przejmować drobnymi niepowodzeniami.

- Skoro pan tak uważa, panie admirale.

- Ależ uważam, uważam! - Canaris uniósł kieliszek. - Wypijmy za Trzecią Rzeszę, Hans. Niechaj przetrwa tysiąc lat. - Roześmiał się. - Ktoś, kto potrafi w to uwierzyć, jest doprawdy bardzo łatwowierny.

Jaskinia pogrążyła się w egipskich ciemnościach, a Kane wyjął niewielkie pudełko zapalek, którym posługiwał się ostatnio w szybie. Zostały tylko trzy i zapalił jedną trzęsącymi się lekko palcami.

Nikły, chwiejny płomyk oświetlił spoconą twarz Cunninghama. Anglik roześmiał się niepewnie.

- I co teraz? - spytał.

- Zastanówmy się nad sytuacją - odparł Kane. - Czy po zakończeniu pracy nie zostawiłeś narzędzi i latarki po tej stronie korytarza?

Zapałka sparzyła go w palec; cisnął ją na ziemię i zapalił następną. Przykucnął, trzymając ją w wyciągniętej ręce, a Cunningham powiedział:

- Mam!

Po chwili w jaskini rozbłysnął potężny snop światła latarki, przecinając ciemność. Jaskinia znacznie się zmniejszyła, a w miejscu, gdzie znajdowało się przedtem wejście, wznosił się ogromny stos gruzu i kamieni.

W nieprzyjemnie ciepłym powietrzu wciąż kłębiły się tumany pyłu i czuć było kwaśny odór materiałów wybuchowych.

- Więc co teraz zrobimy? - spytał Cunningham.

Kane zaczął zdejmować koszulę.

- To chyba dość oczywiste. Musimy kopać. Mamy przynajmniej narzędzia, a to już coś.

- A nasi przyjaciele na zewnątrz?

**- Dla nich jesteśmy martwi -
odpowiedział Kane. - Prawdopodobnie
myślą,
że przywały nas tysiące ton skał.**

**- To wcale nie takie dalekie od prawdy -
stwierdził Cunningham, omiatając
latarką ściany i sufit. - Ta przekłeta
jaskinia ciągle nie wygląda zbyt
solidnie.**

**Kane odebrał mu latarkę i położył ją na
ziemi, kierując snop światła na
zasypane wejście.**

**- Naszym głównym zmartwieniem są w
tej chwili baterie. Módlmy się lepiej,
żeby za szybko się nie wyczerpały.**

Jednakże mieli także inne, znacznie poważniejsze zmartwienia.

Pracowali gorączkowo w przyćmionym, pełnym pyłu świetle, obnażeni do pasa i ociekający potem. Dżamal, obdarzony imponującą siłą fizyczną, w pojedynkę dźwigał i odrzucał głazy, których Kane i Cunningham nie ruszyliby z miejsca nawet we dwóch. Czas utracił jakiegokolwiek znaczenie, a oni wciąż kopali, odwalając kamienie poobcieranymi do krwi palcami. Wreszcie Dżamal, pracujący tuż przed Kane'em, wydał z siebie dziwny, zwierzęcy jęk i odwrócił się.

- Co się stało? - spytał po arabsku Kane.

W świetle latarki lśniły białka oczu Somalijczyka. Wyciągnął rękę, a

Amerykanin wczółgał się do ciasnego tunelu wygrzebanego w zwalisku.

Zobaczył w snopie światła gigantyczny, prostopadłościenny głaz ważący przynajmniej trzy lub cztery tony; blokował on drogę, zaklinowany mniejszymi kamieniami różnych rozmiarów.

Cunningham, pełznący tuż za Kane'em, gwizdnął cicho.

- Na Boga! Nigdy nie ruszymy tej bryły z miejsca!

Wypowiedział na głos oczywistą prawdę i nikt nie skomentował jego słów. Trzej mężczyźni wyczółgali się powoli z tunelu i usiedli pod ścianą koło wejścia.

Kane spoglądał przez chwilę na snop światła latarki, po czym pochylił się i wyłączył ją.

- Nie ma sensu marnować baterii.

Cunningham zaśmiał się cicho; Kane wiedział, że Anglik jest bliski załamania nerwowego.

- Cholernie tu gorąco. Szkoda, że nie mam papierosów.

Żaden z nich nie wypowiedział na głos swoich myśli, ale obaj zdawali sobie sprawę ze straszliwej prawdy. Czekala ich nieunikniona śmierć. Nie pozostał nawet cień nadziei na ocalenie.

Wokół panował gęsty, wręcz namacalny mrok. Wydawało się, że coś bezszelestnie się w nim porusza; w jaskini rozległy się ciche, studzienne

odgłosy przywodzące na myśl czyjeś odległe westchnienia, a głuche dźwięki rozchodziły się niczym kręgi na wodzie.

Kane zadygotał i odepchnął od siebie posępne myśli. Nie powinien poddawać się tak szybko rozpacz. Należało zająć czymś umysł, skupić się na czymś innym niż wszechobecna ciemność.

Zaczął wspominać przeszłość, sięgając pamięcią wstecz, analizując poszczególne punkty zwrotne swojego życia.

Jak dotąd tylko raz znalazł się w równie beznadziejnym położeniu. Służył wówczas w lotnictwie wojskowym i był drugim pilotem samolotu DC3 lecącego na wyspę Guam na Pacyfiku. Musieli wodować na oceanie i mieli tylko jedną tratwę ratunkową na dziesięciu ludzi, w tym pasażerów. Zaledwie po godzinie

wokół zaczęły krążyć rekiny. Po trzech dniach zostało ich czterech, po siedmiu - dwu; Kane myślał już, że wkrótce umrze, gdy wtem na niebie rozległo się głuchoe buczenie. Spojrzał w górę i zobaczył catalinę podchodzącą do lądowania. Jak dotychczas miał dwukrotnie do czynienia z catalinami. Jedna uratowała mu życie; drugą zniszczył.

Później wrócił do kraju. Przypomnił sobie pierwszy dzień, gdy przyleciał na lotnisko La Guardia i zobaczył znowu Nowy Jork. Ale czy była to jego ojczyzna? Czy było nią mieszkanie z widokiem na Central Park albo farma ojca w stanie Connecticut? Nie, żadne z tych miejsc. Ojczyzna Kane'a nie istniała w świecie rzeczywistym, lecz w głębi jego serca: poszukiwał jej bez powodzenia od wielu lat.

Miał wrażenie, że widzi przed sobą w mroku twarz Marie, i roześmiał się cicho. Ona jedna okazała się czymś autentycznym, naprawdę dobrym.

Wiedział, że jest dla niego ważna - ważniejsza od wszystkich innych kobiet w jego życiu. Myśli o niej działały kojąco, podobnie jak jej pocałunek, i żałował, że nigdy jej o tym nie powie.

Wstał, by rozprostować zdrętwiałe ręce i nogi, i zadygotał, muśnięty prądem chłodnego powietrza.

Dopiero po chwili zdał sobie w pełni sprawę z ważności swojego spostrzeżenia; uklęknął i zaczął szukać w ciemności latarki.

- Co się stało? - spytał Cunningham, mrużąc oczy w jaskrawym świetle.

- Z tunelu wieje chłodne powietrze.

Cunningham zmarszczył brwi.

- Przecież to niemożliwe. Skąd mogłoby wiać?

- Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć - odrzekł Kane.

Po arabsku wyjaśnił Dżamalowi sytuację, po czym podążył z Cunninghamem do miejsca, gdzie uprzednio przerwali pracę.

Anglik przyklęknął przed ogromnym głazem, który zablokował przejście i wykrzyknął:

- Masz rację, Kane! Ciągnie stąd zimne powietrze!

Kane wcisnął się obok i natychmiast poczuł na nagiej piersi chłodny powiew.

- Tylko jedno jest pewne: Muller się mylił - stwierdził. - Ten tunel nie może prowadzić do grobowca wykutego w skale.

- Wobec tego dokąd prowadzi? - spytał ostro Cunningham.

Kane uśmiechnął się, błyskając zębami.

- Do miejsca, które na pewno nie jest gorsze od tej jaskini.

Dżamal przyniósł narzędzia, a Kane i Cunningham zaczęli kopać. W tunelu było bardzo ciasno; po chwili Somalijczyk zajął ich miejsce, by wyciągnąć

gołymi rękami duży głaz. W ścianie pojawił się otwór, przez który dmuchało zimne powietrze. Dżamał ostrożnie usunął z drogi kilka mniejszych kamieni, po czym poczołgał się na brzuchu w głąb otworu. Kane oświetlał mu drogę latarką, ale po chwili Murzyn zniknął.

Niebawem w otworze pojawiła się jego głowa; uśmiechał się szeroko, błyskając białymi zębami. Skinął na nich, a Cunningham i Kane wczołgali się w ciemność.

Po drugiej stronie kamiennej zapory natrafili na normalny korytarz, jednakże sufit znajdował się znacznie niżej i musieli iść z pochylonymi głowami. Kane kroczył tuż za Anglikiem, trzymając latarkę w wyciągniętej ręce.

Dotarli do końca tunelu i wczolęali się na nierówną płytę skalną. Opadała ona stromo w dół na przestrzeni kilkunastu metrów, a u jej podnóża kipiał ciemny nurt podziemnej rzeki, wypływającej gdzieś z głębi jaskini i znikającej z szumem w wąskim otworze między kamieniami.

Kane skierował latarkę w górę. Snop światła nie dotarł do sklepienia, a zatem musiało się ono znajdować bardzo wysoko; ponure czarne ściany pokrywała wilgoć.

Cunningham przykucnął na kamiennej płycie.

- Nie mamy wielkiego wyboru, prawda?

**- Chyba można to w ten sposób podsumować - stwierdził Kane. -
Zaczekajcie
tu na mnie. Przyniosę pistolety
maszynowe.**

**Kiedy wrócił, Dżamal i Anglik
znajdowali się nad brzegiem wody. Kane
zsunął się ostrożnie po stromym zboczu,
a Somalijczyk wszedł powoli do
rzeki, trzymany za obie ręce. przez
Cunninghama.**

**Okazało się, że woda sięga Murzynowi
zaledwie do pasa. Ruszył ostrożnie
naprzód z wyciągniętymi przed siebie
ramionami, dotknął czubkami palców
przeciwległej ściany, po czym wrócił na
brzeg, szczerząc radośnie zęby.**

**Cunningham roześmiał się z
podnieceniem.**

- Wygląda na to, że pech zaczął nas wreszcie opuszczać.

- Miejmy nadzieję - odparł Kane.

Wręczył towarzyszom pistolety maszynowe i dał Dżamalowi latarkę. Somalijczyk ruszył przodem, a Kane i Cunningham zsunęli się za nim do rzeki.

Woda była lodowato zimna i już po chwili sięgnęła Kane'owi pod pachy. Z początku trzymał broń wysoko nad głową, lecz wnet zmęczyły mu się ręce, zawiesił więc pistolet maszynowy na plecach, tak że nurzał się on w wodzie.

Koryto stopniowo się zwężało i prąd przybierał na sile. Kane kroczył tuż za Cunninghamem, z przodu widział Dżamala, trzymającego latarkę wysoko ponad powierzchnią wody.

Sklepienie coraz bardziej się obniżało i Kane spostrzegł, że znajduje się ono zaledwie kilkadziesiąt centymetrów nad jego głową. Nagle prąd go uniósł i choć Amerykanin wściekle się opierał, ześlizgnął się w dół, a woda zakryła mu głowę.

Dotknął stopami dna, odbił się od niego, po czym wynurzył się, oślepiiony światłem latarki, i uderzył kolanami o ławicę małych kamyków.

Kłęczął na niej przez chwilę, dysząc ciężko, po czym zorientował się, że obok leży Cunningham. Kiedy przyszli nieco do siebie, stanęli po kolana w wodzie, trzęsąc się z zimna.

Rzeka wpadała do dużego okrągłego jeziora, a jedyne widoczne ujście,

wąski otwór w skale, było zasłonięte tamą z obrobionych kamieni; wystawała ona metr ponad powierzchnię wody.

- Wygląda na to, że stoi tu już cholernie długo - odezwał się Cunningham.

Kane skinął głową.

- Ale po co ją zbudowano, oto jest pytanie.

Odebrał Dżamalowi latarkę i wygramolił się na szczyt tamy. Miała ona około trzech metrów wysokości, a woda sącząca się przez niezliczone szczeliny spływała po stromej pochyłości, ginąc z szumem w mroku.

- Zapewne kiedyś biegło tędy pierwotne łóżysko rzeki - stwierdził Kane. -

Tamę wzniesiono, by zmienić jej kierunek. - Oświetlił latarką ciemne wody podziemnego jeziora. - Oznacza to, że wcześniej zbudowano także sztuczne ujście tego zbiornika.

- Ale po co? - spytał Cunningham.

- Bóg jeden wie. W tej chwili najważniejsze jest znalezienie jakiejś drogi wyjścia. - Kane położył pistolet maszynowy na kamieniach i podał Cunninghamowi latarkę. - Poświeć mi. Zejdę na dół i rozejrzę się.

Zsunął się do wody, zaczerpnął głęboko tchu i zanurkował. Jezioro miało około trzech metrów głębokości i światło latarki sączące się z góry prawie natychmiast pozwoliło odnaleźć Kane'owi to, czego szukał. Było to niskie,

łukowate wejście do chodnika nie mającego więcej niż sto dwadzieścia centymetrów wysokości.

Wszedł do środka i ruszył naprzód, muskając palcami gładkie, śliskie ściany tunelu. Panował w nim kompletny mrok, a Kane odwrócił się w popłochu, popłynął z powrotem ku przyćmionemu światłu latarki i wynurzył się, chwytając ustami powietrze.

- No i jak? - spytał Cunningham.

Amerykanin wyszedł z jeziora i stanął po kolana w wodzie na ławicy kamieni przy tamie.

- Cholernie kiepsko. Jest tam tunel w skale, ale tak wąski, że ledwo można się przez niego przecisnąć. Przepląnąłem nim kilka metrów, ale

musiałem zawrócić.

Wygramolił się z powrotem na tamę, a Cunningham skierował latarkę na ciemny otwór leżący po drugiej stronie.

- Zdaje się, że znowu nie mamy wyboru, prawda?

Zejście nie przedstawiało żadnego problemu. Zaprawa spajająca kamienne bloki wykruszyła się w wielu miejscach, aż powstały szczeliny, przez które sączyła się woda; szczeliny te stanowiły znakomite oparcie dla stóp.

Stromo nachylona podłoga korytarza była śliska i zdradliwa. Kane przeszedł ostrożnie około pięćdziesięciu kroków, aż wreszcie sufit się obniżył i ukazał się czarny otwór.

Weszli do środka i stanęli po kostki w wodzie, a Kane oświetlił tunel latarką. W świetle tańczącym na gładkich ścianach widać było tysiące śladów pozostawionych przez dłuta.

- Pierwotnie ten tunel został na pewno wyłobiony przez wodę, ale później ktoś włożył w niego mnóstwo pracy - zauważył Cunningham.

Kane ruszył powoli naprzód, ogarnięty dziwnym podnieceniem. Za ich plecami ucichł szum płynącej rzeki i znaleźli się sami w mrocznym, tajemniczym świecie.

Kręty chodnik opadał lekko w dół, a woda stopniowo się pogłębiała. Nagle, wyszedłszy zza zakrętu, ujrzeli w ścianie tunelu ciemny otwór.

Cunningham zerknął pytająco na Kane'a, który wzruszył ramionami.

- Cóż, możemy tam zajrzeć.

Weszli do środka i znaleźli się w niewielkim pomieszczeniu o powierzchni kilku metrów kwadratowych. Pod ścianami z obrobionych kamieni stały po obu stronach wielkie gliniane dzbany wysokości człowieka, przywodzące na myśl niemych strażników.

- Dzbany na zboże - odezwał się Kane.

Kiedy się odwrócił, światło latarki padło na przeciwległą ścianę, która rozbłysła jaskrawymi kolorami.

Malowidło przedstawiało jakiś starożytny triumf. Widać było kolumnę

zgarbionych jeńców, z których większość miała krótkie kręcone brody; szli oni w kajdanach, poganiani biczami przez żołnierzy w hełmach i napierśnikach w kształcie rybich ogonów.

- Mój Boże! - westchnął Cunningham. - Widziałeś już coś podobnego?!

- Tylko w dolinie Nilu - odparł Kane. - Na pewno nie w Arabii.

Ruszyli korytarzem i minęli kilka innych magazynów, aż wreszcie dotarli do dużej sali, której sklepienie wspierało się na kolumnach, a ściany były pokryte malowidłami.

W pewnej chwili Kane zatrzymał się koło niszy, w której stało kilka

ozdobnych glinianych naczyń. Uniósł jedno z nich, by mu się przyjrzeć, a Cunningham spytał z podnieceniem:

- Amfory, prawda?

Kane skinął głową.

- Wszystko zaczyna się wyjaśniać. Najpierw dzbany ze zbożem, a teraz amfory. To na pewno ofiary złożone bogom na intencję bezpiecznej podróży na tamten świat. Zbliżamy się do grobowca.

Zdjął okrągłą pokrywę jednej z amfor i zajrzał do środka. Naczynie było puste.

- Pewnie oliwa, korzenie albo coś w tym rodzaju. Ulotniło się przez wieki.

Cunningham uniósł inną amfore, która również okazała się pusta. Kane już miał odejść, gdy spostrzegł mniejsze naczynie stojące na półce w tylnej części niszy, z pokrywką opatrzoną glinianymi pieczęciami.

Jedną ręką opuścił latarkę, drugą zaś chwycił naczynie. Kiedy się cofał, wyślizgnęło mu się ono z palców i roztrzaskało na kamieniach.

Uniósł latarkę i gdy skierował snop światła w dół, wśród glinianych skorup rozbłysło złoto i zielone kamienie.

Przyklęknął i ostrożnie uniósł klejnot. Był to przepiękny złoty pectorał na łańcuszku. W ażurowej złotej siateczce obsadzono trzy wspaniałe szmaragdy, które iskrzyły się w świetle latarki.

Cunningham gwizdnął cicho.

- Dyrektor Muzeum Brytyjskiego dałby sobie rękę uciąć, żeby to mieć w swoich zbiorach!

Kane wyjął chusteczkę, zawinał w nią ostrożnie klejnot, po czym schował go do kieszeni i podniósł latarkę.

- Podejrzewam, że jest tu znacznie więcej skarbów.

Ruszyli szybko naprzód, zeszli po niewielkich schodkach i dotarli do dwuskrzydłowych drzwi z brązu. Woda sięgała im teraz do ud. Cunningham uniósł antabę i wspólnie z Dżamalem powoli otworzył ciężkie wierzeje.

Brązowe zawiasy umocowano w otworach wyborowanych w litej skale i drzwi otworzyły się gładko, wydając lekki, niesamowity trzask.

Kane'owi zrobiło się nagle szaro przed oczami, jakby instynktownie przeczuwał, że za chwilę ujrzą coś niezwykłego, po czym Cunningham popchnął go niecierpliwie do przodu.

Weszli do obszernej sali wypełnionej wodą do wysokości około dziewięćdziesięciu centymetrów. Była zupełnie pusta, na ścianach znajdowały się malowidła. Kane przyglądał się im uważnie, oświetlając je latarką, aż

wreszcie ujrzał coś, co spowodowało, że wstrzymał dech w piersiach.

Była to scena przedstawiająca króla stojącego przed tronem na szczycie schodów. Nosił on naszyjnik z gwiazdą Dawida i wyciągał ręce do idącej ku niemu kobiety w sukni z długim trenem podtrzymywanym przez dwanaścioro dziewcząt.

Kane'owi wydawało się przez chwilę, że kobieta schodzi z malowidła, ale było to tylko złudzenie. Spoglądała nań, odległa i wyniosła, a on wpatrywał się w jej piękną twarz. Nad malowidłem znajdowała się inskrypcja w języku sabejskim. Odcyfrował ją powoli, a kiedy skończył, miał wrażenie, że ściany zaczynają się kołysać, a w sali rozlega się cichy szept, jakby kobieta wołała doń poprzez otchłań czasu.

Wyciągnął rękę i oparł głowę o chłodne kamienie.

- Co mówi ten napis? - spytał za jego plecami Cunningham.

Kane wziął się w garść.

- "Wielki król Salomon wita Balkis".

Cunningham zachwiał się i o mało nie upadł, lecz na szczęście zdążył go wesprzeć Dżamal. Anglik pobladł, a jego oczy lśniły gorączkowo w świetle latarki.

- Balkis! - szepnął. - Królowa Saba!

Odsunął się od Dżamala i bardzo delikatnie dotknął namalowanej postaci koniuszkami palców.

- Legenda biblijna, która nabiera dzięki nam życia! - odezwał się z podziwem w głosie.

Kane odwrócił się i poszedł przez wodę do przeciwległego końca sali, gdzie w snopie światła ukazało się drugie wejście z rzeźbionymi kolumnami po bokach. Zamiast drzwi widać było ścianę ze starannie obrobionych kamieni.

Koło Kane'a stanął Cunningham.

- Co o tym sądzisz? - spytał napiętym, nienaturalnym głosem.

- Widzę w tym wszystkim silne wpływy egipskie - odparł Kane. - Po drugiej stronie musi się znajdować kamienna komora grobowa.

Cunningham miał wyraźne trudności z mówieniem.

- Myślisz, że ją tam pochowano? - spytał, przetykając ślinę.

- W tym fachu wszystko jest możliwe - odparł Kane. - Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Cunningham skinął kilkakrotnie głową, odwrócił się i spojrział z powrotem na malowidło. Fale wywołane ich poruszeniami rozbijały się z pluskiem o ścianę, a Anglik syknął głośno, zaciskając zęby.

Wyrwał Kane'owi latarkę, ruszył naprzód i padł na kolana przed malowidłem przedstawiającym Salomona i Balkis.

**- Woda, Kane! - zawołał z rozpaczą. -
Woda rozpuszcza farby! Część
malowidła jest już zniszczona!**

**Kane odebrał Anglikowi latarkę i
milcząc pomógł mu wstać.**

**- Bogu dzięki! Odkryliśmy to malowidło
w samą porę - odezwał się
Cunningham. - Jeszcze kilka lat, a tama
runie i tę komorę zaleje woda.
Wszystko uległoby wówczas zniszczeniu.**

- Tak - powiedział spokojnie Kane.

Cunningham roześmiał się dziko.

**- Na litość boską, człowieku, nie zdajesz
sobie sprawy z wagi tego, cośmy
tu znaleźli?! To największe odkrycie w
dziejach archeologii! Będziemy
sławni na cały świat!**

- To mało prawdopodobne - rzekł Kane.**
- Jak na razie nie wygląda na to, żebyśmy mieli szansę o tym komukolwiek opowiedzieć.**

Odwrócił się, zobaczył wstrząśniętą twarz Anglika, oddał latarkę Dżamalowi i poszli we dwóch ku drzwiom z brązu. Cunningham pozostał w środku komory i ruszył za nimi dopiero, gdy znaleźli się w tunelu.

Kiedy zaczęli się wspinać wąskim stromym chodnikiem wiodącym w stronę tamy, Cunningham dogonił Kane'a i chwycił go za ramię.

Miał bladą, napiętą twarz.

- Musimy się stąd wydostać, Kane! Musimy odnaleźć drogę wyjścia!**

- Odnalezienie drogi wyjścia jest dość proste - stwierdził Kane. - Teraz to rozumiem. Problem polega na tym, czy będziesz chciał z niej skorzystać.

Dżamal wdrapał się prędko na tamę, po czym pomógł na nią wejść Kane'owi i Cunninghamowi. Kane wziął latarkę i oświetlił jezioro, a Anglik spytał:

- Masz na myśli podwodny tunel? Przecież sam twierdziłeś, że to niemożliwe.

- Byłoby możliwe, gdyby nie było w nim wody - odparł Kane.

Cunningham zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem.

- To bardzo proste. Wrócimy do jaskini po narzędzia, któreśmy tam zostawili. Tama jest i tak dość wąta. Możemy dość szybko ją przerwać, a wówczas poziom wody obniży się i rzeka popłynie z powrotem starym korytem.

Na twarzy Cunninghama odmalowało się przerażenie.

- Chyba żartujesz! Woda zaleje tunel i komorę grobową! Może przesączyć się nawet do wnętrza sarkofagu! Te malowidła ściennie nie przetrwają pod wodą nawet jednego dnia! Zniszczymy je na zawsze!

- Wiem - odparł cierpliwie Kane. - Z drugiej strony nie widzę żadnej innej możliwości. Naturalnie przyjmuję, że wciąż zależy ci na życiu twojej żony.

Cunningham skrzywił się, jakby uderzono go w twarz. Odwrócił się, a Kane ciągnął:

- Nie musisz iść po narzędzia. Przyniosę je z Dżamalem, ale musimy niestety wziąć latarkę. Postaramy się jak najszybciej wrócić.

- Nie martwcie się o mnie - rzekł nie odwracając się Cunningham. - Nic mi nie będzie.

Kane zawahał się na chwilę, zastanawiając się, czy Anglik nie zamierza zrobić jakiegoś głupstwa, po czym wzruszył ramionami, odwrócił się i szybko wyjaśnił swój plan Dżamalowi.

Somalijczyk wziął latarkę i ruszyli razem przez ciemny tunel, którym rzeka wpadała do jeziora. Nie okazało się to tak trudne, jak Kane się spodziewał, choć w kilku głębokich miejscach przesmyk zwał się i porywisty prąd nieubłaganie spychał Amerykanina do tyłu.

Kiedy dotarli do pochyłej płyty skalnej i wgramolili się do tunelu, którym udało im się wydostać z jaskini, Kane miał wrażenie, że znalazł się w dziwnie obcym miejscu, odwiedzionym przelotnie przed wielu laty.

Amerykanin wziął trzy kilofy, Dżamal zaś młoty i łomy, po czym zeszli nad rzekę i znów zanurzyli się w wodzie.

Droga powrotna zajęła im zaledwie kilka minut. Murzyn ostrożnie wdrapał

**się na brzeg jeziora i oświetlił tamę
latarką. Anglik zniknął.**

**Położyli szybko narzędzia na ziemi, a
Kane wziął latarkę i zawołał:**

- Cunningham!

**Jego okrzyk odbił się echem od ścian
jaskini, lecz nikt nie odpowiedział.
Zamierzał już ponowić wołanie, gdy w
mroku rozległ się grzechot potrąconego
kamienia. Zaświecił latarką w dół i
ujrzał Cunninghama, wspinającego się
po
stromym zboczu.**

**Anglik popatrzył nań spokojnie,
osłaniając oczy przed światłem.**

**- Wróciliście szybciej, niż się
spodziewałem.**

- Gdzie, u licha, byłeś?! - spytał ostro Kane.

Cunningham odwrócił się i spojrzał w dół na wejście do tunelu.

- Poszedłem jeszcze raz się rozejrzeć.

- Bez światła? - spytał z niedowierzaniem Amerykanin.

Cunningham uśmiechnął się i nagle z jego twarzy zupełnie zniknęło napięcie.

- Nie widziałem jej, ale czułem, że tam jest. - Westchnął głęboko. - Myślę, że powinniśmy zacząć u podstawy tamy. Niektóre kamienie prawie się rozsypują.

Kane nie wiedział, co odpowiedzieć. Skinął głową do Dżamala i przeszedł przez tamę, Somalijszyk podał im z góry narzędzia, po czym zabrali się do pracy.

Wyjęcie pierwszego kamienia zajęło im pół godziny, a ogromna siła Dżamala okazała się przy tym bezcenna. Na koniec ciśnienie wody wypchnęło kamień z

muru niczym korek z butelki i przez powstały w ten sposób otwór trysnął spieniony strumień wody, która popłynęła w ciemność.

Po usunięciu pierwszego kamienia reszta okazała się dziecinnie prosta.

Dżamal stanął w rozkroku, pochylił się, zanurzył rękę w wodzie i jednym ruchem wyszarpnął następny.

Po chwili woda sięgnęła im do kolan i Kane zwrócił się szybko w stronę Cunninghama.

- Teraz, gdy zrobiliśmy otwór, cała ta cholerna tama może lada chwila runąć. Lepiej przejdźmy na drugą stronę, żeby nas nie przywaliała.

Wdrapali się na górę i stanęli na ławicy drobnych kamyków, która powstała w ciągu stuleci w rogu pomiędzy tamą a ścianą jaskini. Poziom jeziora zaczął stopniowo opadać.

Rzeka wypływająca z podziemnego tunelu znalazła sobie nowe ujście, a tama zaczęła się trząść i wibrować. Po półgodzinie wybrzuszyła się w środku, aż wreszcie runęła z hukiem pod naporem wody.

Widać już było sklepienie podziemnego korytarza, a po kolejnych dziesięciu minutach woda wypełniała go zaledwie do wysokości pół metra.

Somalijczyk wziął latarkę i wszedł do tunelu, Kane zaś zarzucił na plecy pistolet maszynowy i podążył za nim.

Kiedy zapuszczał się coraz głębiej w mrok, a woda wirowała mu wokół kolan, pomyślał o robotnikach, którzy przed wiekami pracowali tutaj w trzewiach ziemi. Pracowali cierpliwie w ciemności, może przez całe lata, aby ich królowa miała po śmierci bezpieczny, godny siebie grobowiec.

Rzeka wpadła nagle do kolejnego podziemnego jeziora i Kane znów zaczął płynąć. Dżamal uniósł latarkę wysoko nad głowę i w jej świetle ukazał się

rząd rzeźbionych kolumn na czymś w rodzaju podestu.

Somalijczyk dotarł do niego pierwszy i wdrapał się bez trudu na kamienną półkę, choć poziom jeziora najwyraźniej znacznie się obniżył. Później ukląkł i wciągnął na podest Kane'a i Cunninghama.

Kane wziął latarkę, przeszedł pomiędzy kolumnami i dotarł do szerokiego korytarza biegnącego łagodnie pod górę. Po chwili światło latarki padło na ślepa ścianę.

Kane przyklęknął i przyjrzał jej się uważnie.

- Wygląda na to, że środkowy kamień się obraca - rzekł do Cunninghama.

Wyjaśnił sytuację Dżamalowi po arabsku, a Somalińczyk przyklęknął na jedno kolano i pchnął z całej siły kamienną ścianę. Ani drgnęła. Murzyn stęknął, a jego plecy wygięły się w łuk, z mięśniami napiętymi niczym postronki. Mimo to kamień wciąż pozostawał nieruchomy.

Kane uklęknął i pchnął ścianę barkiem, a Cunningham zrobił to samo z drugiej strony Dżamala. Mieli przez moment wrażenie, że stawia im opór jakaś nadludzka, nadprzyrodzona potęga, która postanowiła za wszelką cenę nie dopuścić, by wyszli z jaskini, aż wreszcie kamień obrócił się z głośnym zgrzytem.

Kane wstał i rozejrzał się. Znajdowali się w świątyni, a ruchomy głaz tkwił w podstawie głównego ołtarza.

Umieścili go w poprzedniej pozycji, wyszli na zewnątrz i stanęli na szczycie schodów, oślepieni jaskrawym porannym słońcem. W wąwozie panował absolutny spokój.

- Jakoś cholernie tu cicho - zauważył Cunningham marszcząc brwi.

- Większość Beduinów odjechała wczoraj wieczorem razem z karawaną - przypomniał mu Kane. - Reszta zapewne wyruszyła dziś wczesnym rankiem.

Poszedł ostrożnie w stronę obozowiska, starając się unikać otwartej przestrzeni. Zbliżywszy się do kotliny, położył się na brzuchu i podczołgał do jej skraju.

Obozowisko przestało istnieć. Namioty, ciężarówki - wszystko zniknęło.

Leżał przez chwilę ze zmarszczonym czołem, gdy wtem Dżamal klepnął go w plecy i wyciągnął rękę w stronę gaju palmowego, za którym unosiła się wąska smużka dymu.

Kane ruszył w dół stoku, zdejmując z ramienia pistolet maszynowy. Zbliżywszy się do drzew, usłyszeli pokasływanie wielbłąda i czyjeś śmiechy.

Po drugiej stronie kępy palm wciąż stały dwa beduińskie namioty, wokół których uwiązano kilkanaście wielbłądów. Jeden z Arabów gotował coś na niewielkim ognisku, a trzej stali po kolana w wodzie i myli się.

Kane zwrócił się w stronę Cunninghama i rzekł cicho:

- Zайдź ich od tyłu. Dżamał przeczołga się na drugą stronę jeziora, a ja zostanę tutaj.

Odczekał, aż tamci zajmą wyznaczone miejsca, po czym wyszedł zza drzewa, ruszył powoli naprzód i zatrzymał się kilka kroków przed ogniskiem. Beduin mieszający strawę w garnku roześmiał się, uniósł głowę, by zawołać myjących się towarzyszy i wtedy zauważył Kane'a; śmiech zamarł mu na ustach.

**- Róbcie, co powiem, a nic wam nie grozi
- odezwał się po arabsku
Amerykanin.**

Beduin wstał powoli i wzruszył ramionami.

- Nie jestem głupcem.

Okazał się starszy, niż Kane sądził na początku, i miał inteligentną pomarszczoną twarz i szpakowatą brodę. Jego trzech towarzysze wyszli z jeziora, a Dżamal i Cunningham stanęli za ich plecami.

- Gdzie są pozostali? - spytał ostro Kane.

- Myśleliśmy, że zginęliście - odpowiedział starszy mężczyzna. - Dwaj Europejczycy i ich ludzie odjechali ciężarówkami przed świtem.

- Dlaczego zostaliście?

- Jesteśmy z plemienia Raszid - odparł z prostotą starzec. - Nie zostawiamy swoich bliskich na pastwę losu. W namiocie leży mój kuzyn. Zeszłej nocy wpakowałeś mu kulę w bark. Jeden z Europejczyków usunął ją przed odjazdem.

- A kobiety?

Starszy mężczyzna wzruszył ramionami.

- Odjechały na ciężarówkach.

Kane zwrócił się do Cunninghama.

- Zrozumiałeś, co powiedział?

Anglik skinął głową.

- Co teraz zrobimy?

- Jedyne, co możemy zrobić: ruszymy za nimi w pogoń - odparł Kane i spojrzał na starego Raszida. - Musicie nam pomóc.

Trzej Beduini zaczęli mrużyć z niezadowoleniem, ale starzec uciszył ich skinieniem ręki.

**- Czemu mielibyśmy wam pomagać?
Jesteście naszymi wrogami.**

**- Bo nie macie wyboru - oznajmił Kane,
unosząc pistolet maszynowy. -
Najpierw coś zjemy, a później
wybierzemy wasze trzy najlepsze
wielbłądy.**

**Nawiasem mówiąc, nasz Somalijczyk
świetnie się zna na zwierzętach.**

**- Inszallah! - rzekł stary Raszid,
wzruszając ramionami. Jego trzech
towarzysze usiedli po turecku w
ponurym milczeniu, a on sam napelnił
kawą
dwa poobijane blaszane kubki i wręczył
je uprzejmie Kane'owi i
Cunninghamowi.**

**Kane wypił ze smakiem trochę
aromatycznego płynu.**

- Przecież nie mamy żadnych szans, by ich dognać - odezwał się Cunningham.

Amerikanin skinął głową.

- Wiem, ale jeśli dotrzemy w miarę szybko do Bir al-Madani i pożyczymy od Jordana ciężarówkę, powinniśmy dojechać do Dahrajnu, nim go opuszczą.

- Na Boga, obyś miał rację! - zawołał gorączkowo Cunningham. - Kiedy myślę o Ruth... - Urwał i wypił szybko trochę kawy.

- Nie powinienes się martwić - rzekł Kane, usiłując mówić pewnym tonem. - Skiros nie będzie się wcale śpieszył z opuszczeniem Dahrajnu, bo po naszej rzekomej śmierci nie ma do tego żadnych powodów.

Jednakże w głębi serca Kane nie był bynajmniej o tym przekonany. Skiros z pewnością musiał się czymś niepokoić, bo cóż innego tłumaczyło jego nagły odjazd. Może zdał sobie sprawę, że zaczyna mieć pecha, i jak zręczny hazardzista postanowił wycofać się z gry, dopóki jeszcze był wygrany?

Amerikanin spoglądał zmrużonymi oczyma na błękitną kopułę nieba, gdzie zataczał wielkie koła jastrzęb, stopniowo zniżając lot. W życiu nigdy nie można być niczego pewnym. Jeśli nauczył się czegoś w Arabii, to właśnie tego.

Wyruszyli w godzinę później na trzech wielbłędach uznanych przez Dżamala za będące w najlepszej formie. Kane i Cunningham nosili arabskie zawoje i luźne galabije dostarczone niechętnie przez starego Raszida i jego trzech towarzyszy, a Dżamal wiózł na łąku swojego siodła dwa bukłaki wody.

Kane dosiadał potężnego czarnego wielbłąda, kłusującego w niewiarygodnym tempie po równinie rozciągającej się wokół wąwozu.

Poskręcane szczątki cataliny leżały porozrzucone na dużej przestrzeni, a gdy wielbłądy mijały poczerniały wrak kadłuba, Kane spojrział na niego ze zdumieniem. Samolot spłonął, ulegając całkowitemu zniszczeniu, jednakże wspomnienie katastrofy utraciło już swoją ostrość, jakby nic szczególnego

się nie wydarzyło.

Kiedy dotarli do krańca równiny i wjechali między wydmy, Kane zakrył sobie twarz zawojem, by choć trochę osłonić ją przed straszliwym upałem.

Wszędzie wokół rozciągało się niezmierzone morze piasku; Kane usiadł wygodniej w drewnianym siodle i popędził wielbłąda. W tej chwili najważniejsza była szybkość oraz to, że Skiros nie spodziewa się pościgu.

Obejrzał się przez ramię i zobaczył tuż za sobą Dżamala i Cunninghama z twarzą osłoniętą połą galabii. Anglik pozdrowił go uniesieniem ręki, a Kane odwrócił się i skupił uwagę na szlaku.

Długonogi wielbłąd podążał bez znużenia naprzód, kołysząc się w równym

rytmie, a Kane przymknął powieki i pogrążył się w sobie.

Zastanawiał się, co zrobi teraz Skiros. Prawdopodobnie skieruje się prosto do Dahrajnu, bo będzie myślał, że jest bezpieczny i że nikt go nie ściga. Może tam spędzić kilka dni, porządkując swoje sprawy, po czym wyjedzie, zanim konsul amerykański rozpocznie poszukiwania zaginionych.

Trudno było przewidzieć, co zrobi z kobietami. Kane przypomniał sobie rozmowę podsłuchaną zeszłej nocy koło namiotu. Co powiedział Skiros? Że Marie Perret jest dlań wyzwaniem.

Zadygotał i odepchnął od siebie tę myśl. Na razie nie powinien się tym zadrećzać. W tej chwili należało się skoncentrować na dotarciu do Bir

al-Madani. Usiadł jeszcze wygodniej w siodle i znów popędził wielbłąda.

Ranek minął jak sen, a później wjechali w popołudnie niczym wielkie okręty sunące po piasku. Kilkakrotnie musieli schodzić na ziemię i wspinać się wraz z wielbłądami na strome zbocza wydm; raz zatrzymali się, by napić się wody i zjeść parę suszonych daktyli.

Cunningham wyglądał na zmęczonego: miał zaczerwienione, podkrążone oczy, a jego szczupłą, wrażliwą twarz pokrywał piasek. Kane przełknął swoją porcję wody, krzywiąc się nieco z powodu jej metalicznego, nieprzyjemnego smaku, i spojrział nań z niepokojem.

- Wszystko w porządku?

Anglik zdobył się na blady uśmiech.

- Jestem trochę zmęczony, ale to nic. Nie zapominaj, że przyjechałem tu na wielbłądzie.

Wsiedli na zwierzęta i ruszyli w dalszą drogę. Słońce stało wysoko na niebie, chłoszcząc ich wściekle po plecach ognistym batem, a Kane opuścił głowę na piersi i przestał kierować wielbłądem. Był zmęczony - straszliwie zmęczony. W ciągu ostatnich kilku dni przeżył zbyt wiele przygód. Zbyt wiele jak na jednego człowieka.

Musiał być nieprzytomny przez resztę popołudnia, bo nagle spostrzegł, że słońce wisi nisko nad horyzontem, i poczuł na twarzy lekkie podmuchy wiatru. Dżamał jechał koło niego i ściągał wodze jego wielbłąda.

**Kane ześlizgnął się na piasek i
potrząsnął głową, jakby chciał się
ocknąć
ze snu. Usta miał suche jak pieprz i
pełne piasku; Cunningham usiadł ze
znużeniem obok niego, a Dżamał wyjął
jeden z bukłaków z wodą.**

**Na każdego z mężczyzn przypadają po
dwa spore łyki. Somalijczyk odrzucił
pusty, bezużyteczny bukłak, podszedł z
powrotem do swojego wielbłąda i
stanął koło niego, trzymając zwierzę za
wodze i spoglądając obojętnym
wzrokiem w dal.**

**Cunningham miał zapadniętą,
pobrużdżoną twarz i ostro zarysowane
kości
policzkowe. Kiedy się odezwał, mówił
martwym, ochryplym głosem starca:**

- Co zrobimy? Będziemy jechać w nocy?

Kane skinął głową.

- Wielbłądy są w dobrej formie. Prędzej my odczujemy brak wody, a poza tym nocą, gdy jest zimno, mamy znacznie większe szanse.

- A Skiros?

Kane wzruszył ramionami.

- To zupełnie inna sprawa. Zapewne niedługo rozbije obóz.

Wstał ze znużeniem, a podmuch wiatru zasypał mu twarz piaskiem, gdy wtem obok pojawił się wyraźnie podniecony Dżamal.

Somalijczyk przystawił dłoń do ucha, czyniąc powszechnie zrozumiały gest,

i Kane zaczął nasłuchiwać. Podmuchy wiatru przynosiły z dali ledwo słyszalne dźwięki ludzkich głosów.

Kane poczuł przyływ energii i natychmiast zapomniał o zmęczeniu.

- Słyszysz? - zwrócił się do Cunninghama.

- Owszem - przytaknął Anglik. - Może mieli jakieś kłopoty i rozbili obóz wcześniej, niż zamierzali.

- Cokolwiek nimi kierowało, czeka ich piekielnie nieprzyjemna niespodzianka - stwierdził Kane.

Uwiązali wielbłądy i ostrożnie ruszyli pieszo naprzód. Ślady kół okręzały podstawę wysokiej wydmy; Kane zawahał się na moment, po czym jął się

wspinać po stromym zboczu, tonąc po kolana w miękkim piasku.

Ostatnie parę metrów dzielących go od szczytu pokonał czołgając się na brzuchu, po czym uniósł ostrożnie głowę. W dole, w kotlinie, rozbito namiot; obok niego stała zaparkowana ciężarówka. Maska była uniesiona i przy silniku majstrował jakiś Arab.

Cunningham wspiął się na szczyt wydmy, a tymczasem z namiotu wyszła Ruth, wypchnięta przez Selima. Wydawało się, że straciła wszelką nadzieję; podeszła powłócząc nogami do maszynki spirytusowej i postawiła na niej patelnię. Selim stał nad nią i śmiał się.

Cunningham próbował wstać, lecz Kane przycisnął go do ziemi.

- Nie bądź głupcem, do cholery! Z tej odległości możesz równie dobrze trafić jego, jak i ją. A jeśli spróbujesz zejść na dół, weźmie ją na muszkę, nim znajdziesz się w połowie stoku!

- Ale przecież musimy coś zrobić! - rzekł z rozpaczą Cunningham. - Nie możemy czekać do zmroku!

Kane zmrużył oczy, usiłując znaleźć jakieś rozwiązanie, aż wreszcie rozbłysły mu oczy.

- Chyba mam pomysł! - powiedział i wytłumaczył Anglikowi swój plan.

Kiedy skończył, Cunningham usiadł i skinął powoli głową.

- To dobry plan. Przynajmniej jest spora szansa, że się uda.

Zaczął wstawać, a Kane chwycił go za rękaw.

- Ja się tym zajmę. Nie wyglądasz za dobrze.

Anglik pokręcił głową, zacisnąwszy z determinacją usta.

- To moja żona, więc ja ponoszę za nią odpowiedzialność - odrzekł z prostotą.

Kane nie próbował się z nim sprzeczać. Cunningham zarepetował pistolet maszynowy, po czym schował go w fałdach szaty, przytrzymując broń jedną ręką. Uśmiechnął się, zdjął z głowy zawój, a potem stanął na szczycie wydmy.

**Z początku Arabowie go nie zauważyli,
lecz otworzył usta i zawołał
ochryple:**

- Wody! Wody, na miłość boską!...

**Zrobił niepewny krok do przodu, upadł
na piasek i stoczył się na dno
kotliny.**

**Usłyszawszy pierwszy okrzyk
Cunninghama, Selim i jego towarzysz
obrócili
z niepokojem głowy, sięgając
instynktownie po karabiny. Kane
podczołgał się
ostrożnie naprzód, by spojrzeć ze
szczytu wydmy na Anglika, który
wreszcie
przestał się turlać i znieruchomiał. Leżał
przez chwilę na piasku, po czym
wstał z wysiłkiem i rzucił się do przodu.**

- Wody! - jęknął, padając na twarz przed Arabami.

Ruth Cunningham zerwała się na nogi. Stała przez moment z wyrazem niedowierzania na twarzy, wreszcie ruszyła w stronę męża. Selim chwycił ją za ramię, pchnął ku namiotowi, zamknął w środku i odwrócił się.

Cunningham uklęknął i wyciągnął błagalnie rękę. Selim wybuchnął śmiechem, zawołał coś do swojego towarzysza, odłożył karabin i ruszył naprzód.

Cunningham wstał i wyjął z fałd szaty pistolet maszynowy. Selim rzucił się natychmiast do ucieczki, lecz Anglik trafił go długą serią prosto w plecy.

Drugi Arab ciągle stał koło ciężarówki z opuszczonym karabinem w ręku.

Uniósł go i strzelił na oślep z biodra.

Cunningham obrócił ku niemu lufę swojej broni. Pociski smagnęły piasek, wyrzucając w górę obłoczki kurzu, aż wreszcie dosięgły Araba i cisnęły go na maskę ciężarówki.

Anglik przerwał ogień, ruszył do przodu i stanął koło Selima, gdy wtem z namiotu wybiegła Ruth i rzuciła się mężowi na szyję.

Kane stanął na szczycie wydmy; patrzył na nich z góry, czując na twarzy uderzenia drobinek piasku niesionych przez wiatr. Wreszcie zaczął schodzić na dół razem z Dżamalem.

Ruth dygotała na całym ciele wskutek szoku, a Cunningham przytulił ją mocno ramieniem.

- Już wszystko w porządku - odezwał się.
- Nie zrobią ci krzywdy.

Kane spojrział bez współczucia na martwego Selima, który leżał na brzuchu z zagiętymi palcami wbitymi w piasek. Drugi Arab jęczał straszliwie, a Dżamal uklęknął obok niego i uniósł mu głowę. Kane ruszył w jego stronę, gdy wtem mężczyzna jął się krztusić i z jego ust buchnęła krew. Głowa opadła mu do tyłu i Dżamal położył go na piasku.

- Nie żyje? - spytał Amerykanin.

Somalijczyk skinął głową i wskazał w milczeniu ciężarówkę. W karoserii widać było równy rząd dziur po pociskach, które przebiły również kanister z

**wodą przymocowany koło szoferki.
Kiedy Kane obejrzał silnik, okazał się on
całkowicie zniszczony.**

**- Twoja ostatnia seria trafiła także w
ciężarówkę - rzekł, wróciwszy do
Cunninghama i jego żony. - Niestety
będziemy musieli jechać dalej na
wielbłądach. Jak się czujesz?**

**Anglik był blady, ale zdobył się na
uśmiech.**

**- Znacznie lepiej. Wiem, że Ruth jest
bezpieczna, i spadł mi kamień z
serca.**

**Wiatr przybierał na sile, niosąc tumany
piasku i świszcząc wokół
ciężarówki. Kane zarzucił na plecy
pistolet maszynowy i rzekł prędko:**

- Wygląda na to, że zbliża się burza piaskowa. Wejdźcie do namiotu, a ja z Dżamalem przyprowadzimy wielbłądy.

Odezwał się do Somalijszyka po arabsku, po czym wspięli się śpiesznie na wydmę. Kiedy stanęli na szczycie, wiatr przybrał nagle na sile i zmienił się w wichurę, a tumany piasku zasłoniły niebo.

Kane naciągnął na twarz połę zawoju i zszedł z wydmy po przeciwnej stronie. Ich ślady już zniknęły, a po chwili zostali zupełnie sami wśród wirującego piasku.

Zapanował półmrok, a widoczność spadła niemal do zera. Kane zatrzymał się, na próżno usiłując przebić wzrokiem kurzawę, po czym odwrócił się i wpadł na Dżamala. Wzięli się za ręce i wdrapali z powrotem na wydmę. Na

**szczyt nie można już było ustać;
zjechali ze stoku po drugiej stronie i
ruszyli na oślep ku obozowisku.**

**Wokół namiotu zebrał się wysoki wał
piasku, a gdy Kane wszedł z pochyloną
głową do środka, Ruth Cunningham
spojrzała nań z lękiem w oczach.**

- Jak długo to może potrwać? - spytała.

**Zdjął z głowy zawój i usiłował mówić
beztroskim tonem.**

**- Godzinę, dwie, może trochę dłużej.
Burze piaskowe nie trwają zbyt
długo. Nie ma się czym przejmować.**

**Dżamal starannie zasznurował wejście
do namiotu i usiadł koło niego ze
skrzyżowanymi ramionami.
Cunningham objął żonę i przytulił ją do
siebie.**

- Jak się czujesz? - spytał ją Kane.

Kiedy się odezwała, mówiła nienaturalnym, napiętym głosem.

- Nie spodziewałam się, że was jeszcze zobaczę. Zeszłej nocy, po walce, Skiros powiedział mi, że zasypały was skały.

- Lepiej opowiedz nam wszystko - poprosił Kane. - Co się wydarzyło dzisiaj i dlaczego się rozdzielili?

Ruth odrzuciła z czoła niesforny kosmyk włosów:

- To był koszmar. Dziś rano wyjechaliśmy dwoma ciężarówkami z wąwozu.

Skiros, Muller i Marie w pierwszej, a Selim, jego człowiek i ja w drugiej.

- Dlaczego jechałaś z Selimem? - spytał jej mąż.

Zaczerwieniła się.

- Skiros zawarł z Selimem jakąś ugodę. Potrzebował jego pomocy po przybyciu do Dahrajnu. Nie wiem, o co chodziło, ale Selim zażądał mnie jako zapłaty.

Zapadło krótkie milczenie. Cunningham przytulił żonę, a Kane spytał:

- Dlaczego się rozdzielili?

Ruth wzruszyła ramionami.

- Selim miał jakieś kłopoty z silnikiem. Musiał zatrzymać ciężarówkę, żeby go naprawić, a Skiros i Muller pojechali dalej z Marie. Powiedzieli,

że zaczekają na Selima w miejscu o nazwie Hazar koło Bir al-Madani.

- Będą musieli bardzo długo czekać - stwierdził Cunningham.

Ruth spoglądała na swoje ręce, poruszając nimi nerwowo na kolanach.

- Selim ciągle mi mówił, co ze mną zrobi, gdy rozbijemy obóz na noc. Był odrażający.

Cunningham otoczył ją mocniej ramieniem, a ona oparła mu głowę na piersi i rozszochała się gwałtownie, wstrząsana łkaniem.

Na zewnątrz wyła wichura, szarpiąc wątły namiot z nieubłaganą, przerażającą zajadłością. Kane pochylił głowę, oparł ją sobie na kolanach i

odprężył się. Oddychał głęboko przez rozchylone usta i pozwalał odpoczywać zmęczonym mięśniom.

Stopniowo zapadała zupełna ciemność, a wichura nabrała takiej siły, że Kane i Dżamał musieli przytrzymywać paliki po obu stronach namiotu, by nie poleciał w mrok.

Po czterech godzinach burza nagle ucichła, a Kane rozsznurował płachtę wejściową i wyczołgał się spod brezentu. Na czystym nocnym niebie płonęły miliony gwiazd, przywodząc na myśl płomyki świec. Była pełnia i kotlinę zalewało srebrzyste światło księżyca.

Boki namiotu uginały się pod ciężarem piasku nawianego przez wiatr; burza częściowo zasypała również ciężarówkę. Ze środka wygramolił się Cunningham i dołączył do Kane'a.

- Co teraz zrobimy?

- Zobaczymy, czy uda nam się odnaleźć wielbłądy - odparł Kane. - Wezmę ze sobą Dżamala.

- Nie wygląda na to, że masz jakąś nadzieję na ich odzyskanie - stwierdził Anglik.

- To była okropna burza.

Przywiązaliśmy je do palików, ale przerażone

wielbłądy są zdumiewająco silne. Kiedy wpadną w panikę, potrafią zerwać wszystkie więzy.

Kane zawołał Dżamala i wdrapał się wraz z nim na stromą wydnię w pewnej odległości od obozu. Ze szczytu rozciągał się wspaniały widok. We

wszystkich kierunkach widać było wydmy sięgające aż po horyzont i oddzielone od siebie ciemnymi, odstręczającymi dolinami, gdzie nie docierało srebrzyste światło księżyca.

Zeszli z wydmy po przeciwnej stronie i ruszyli w kierunku miejsca, gdzie uwiązali wielbłądy. Wszystkie ślady zasypał piasek i Kane'a ogarnęła rozpacz. Kilkakrotnie zatrzymywał się i gwizdał na palcach, ale piskliwy dźwięk rozpływał się w chłodnym nocnym powietrzu, nie wywołując żadnego odzewu.

Rozdzielili się: Kane ruszył w jedną stronę, a Dżamał w drugą, lecz nic to nie dało. Po godzinie wrócili do obozu bez wielbłądów.

Cunningham siedział na piasku, otulony w beduińską szatę. Na widok Kane'a i Dżamala wstał z miejsca, a po chwili z namiotu wyszła jego żona.

- Mamy pecha - odezwał się Kane. - Pewnie są w tej chwili wiele kilometrów stąd. Obawiam się, że razem z nimi zniknął nasz ostatni bukłak wody.

Cunningham objął ramieniem kibić żony.

- Co teraz zrobimy?

Kane wzruszył ramionami.

- Nie mamy wyboru. Pójdziemy na piechotę.

- Ale najbliższa woda jest w Szabui, a to przynajmniej sześćdziesiąt

**kilometrów stąd - rzekł Cunningham. -
Ruth nigdy tam nie dojdzie.**

**Kane podszedł do ciężarówki, pochylił
się nad deską rozdzielczą i
odkręcił kompas. Wreszcie odwrócił się
z zaciętą twarzą.**

**- Powtarzam: nie mamy wyboru.
Musimy natychmiast ruszać. Przy
odrobinie
szczęścia przejdziemy w ciągu nocy ze
trzydzieści pięć, czterdzieści
kilometrów. Jeśli tego nie zrobimy,
zginjemy.**

**Cunningham zgarbił się i popatrzył na
żonę.**

**- To ja cię w to wplątałem - powiedział. -
Chcę cię za to przeprosić.**

Pogładziła go łagodnie po twarzy i uśmiechnęła się.

- Dobrze, że jesteśmy razem.

Spoglądali sobie w oczy, jakby byli sami, a Kane odwrócił się szybko i poszedł porozmawiać z Murzynem.

16

Przeszukawszy dokładnie obóz, znaleźli mnóstwo jedzenia, lecz tylko jedną aluminiową manierkę wody. Kiedy o północy wyruszyli w drogę, Kane niósł ją przewieszoną przez ramię.

Zawartość manierki, podzielona na cztery części, nie mogła w znaczący

sposób. zmienić sytuacji, lecz nie mieli wyboru i Kane postanowił nie naruszać jej aż do ostatniej chwili.

Amerykanin prowadził, podążając szybkim krokiem naprzód i regularnie zerkając na kompas. Było przenikliwie zimno i czuł się wypoczęty, pełen wigoru. Miał ironiczną świadomość, że za sześć godzin znów będą maszerować w niemiłosiernym upale. Nie sposób było przewidzieć, na jak długo starczy im sił.

Największym problemem mogła się okazać Ruth Cunningham. Kane zatrzymał się, by znów zerknąć na kompas, i obejrzał się za siebie. Tuż za nim podążał Dżamal, a Cunningham i jego żona szli trzydzieści kroków z tyłu. Kane ruszył naprzód, usiłując iść jak najprostszą drogą między wydmami.

Niekiedy okazywało się to niemożliwe i musieli się mozolnie wspinać na szczyty ogromnych piaskowych gór.

Po dwóch godzinach wyszli spomiędzy wydm i ruszyli w stronę niezmierniej równiny pokrytej piaskiem i drobnymi kamykami, która sięgała aż po horyzont. Kane przystanął, by ustalić kierunek marszu, a Dżamal zrównał się z nim i klepnął go w ramię. Kiedy Kane się odwrócił, Somalijczyk wyciągnął rękę do tyłu.

Cunningham i jego żona znajdowali się w odległości co najmniej dwustu metrów. Kane usiadł na piasku i czekał. Kiedy się zbliżyli, wstał i ruszył w ich stronę, gdy wtem Ruth usiadła z westchnieniem na ziemi.

- Czuję się, jakbym przeszła ze trzydzieści kilometrów.

- Obawiam się, że pokonaliśmy co najwyżej piętnaście - odparł Kane. - Musimy przebyć przynajmniej czterdzieści, nim osłabniemy od upału. Inaczej nie mamy żadnych szans.

- Ruth nie wytrzyma tego tempa - wtrącił Cunningham. - Idziesz za szybko.

- Gavin mówi po prostu prawdę, John - odezwała się uspokajająco Ruth, kładąc mężowi rękę na ramieniu. - Nie martw się o mnie. Nic mi nie będzie.

- Wiem, że to trudne, ale musimy dać z siebie wszystko - stwierdził Kane.

Cunningham wstał.

- Cóż, wobec tego na co czekamy?

Przejście przez równinę zajęło im prawie trzy godziny. Maszerowali szybko po twardej, spalonej przez słońce ziemi, a Ruth Cunningham radziła sobie na płaskim terenie znacznie lepiej, toteż gdy zapuścili się znowu między wydmy, szli tuż obok siebie.

Kane nie odczuwał żadnego zmęczenia i kroczył bez wysiłku naprzód na swoich długich, muskularnych nogach. Nie myślał o terażniejszości, tylko o tym, co przyniesie poranek. Wreszcie postanowił przestać się dręczyć i skupić umysł na czymś innym.

W pewnej chwili przypomniał sobie, że tą samą drogą kroczył niegdyś

Aleksjasz, bez mapy i kompasu. Zaczął rekonstruować w pamięci relację przeczytaną przed tygodniem, próbując odtworzyć sylwetkę greckiego awanturnika, jaka wyłaniała się z kart niezwykłego rękopisu.

Aleksjasz był z pewnością nieustraszonym mężczyzną o silnej woli; wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę i w to, że potrafi pokonać każdą przeciwność losu. Ale czy to wszystko? Musiało w nim być coś jeszcze. Coś, co spowodowało, że przeszedł pieszo przez pustynię, choć wedle logiki powinien był zginąć z pragnienia. Może w kraju czekała na niego jakaś kobieta?

Pytanie to musiało pozostać bez odpowiedzi i Kane zatrzymał się, by znów

spojrzeć na kompas. Tuż przed piątą rano usiadł na piasku i czekał na pozostałych.

W bladym świetle księżyca Ruth Cunningham wyglądała bardzo mizernie, a na twarzy jej męża malował się niepokój. Anglik pomógł żonie usiąść obok Kane'a, a Dżamal otworzył torbę i wyjął daktylę i gotowany ryż.

Ruth machnęła ręką, dając znak, że nie jest głodna, ale Kane odebrał jedzenie Somalijszykowi i sam je jej podał.

- Musisz jeść, żeby mieć siły.

Uśmiechnęła się blado i zjadła trochę gotowanego ryżu.

- Ile przeszliśmy, jak sądzisz? - spytał Cunningham.

Kane wzruszył ramionami.

- Trzydzieści pięć, może czterdzieści kilometrów. Nadrobiliśmy na równinie sporo czasu.

Cunningham spojrział w niebo.

- Chyba się rozwidnia.

- Słońce wzejdzie za godzinę - odparł Kane. - Później będziemy mieć jeszcze jedną godzinę, nim naprawdę zacznie doskwierać.

- I co wtedy?

- Będziemy się martwić później.

Wstał i ruszył naprzód, a gdy obejrzał się za siebie ze szczytu następnej wydmy, Ruth i jej mąż szli tuż za nim, utrzymując dobre tempo.

Pokonali kolejne dziesięć kilometrów, a tymczasem nad horyzontem ukazało się krwistoczerwone słońce, rozgrzewając ich przyjemnie po lodowato zimnej nocy.

Kane przyśpieszył kroku, spoglądając z rozpaczą w sercu na ognistą kulę wznoszącą się coraz wyżej. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że trudzą się na próżno, że usiłują dokonać czegoś niemożliwego. Gdyby w południe zdołali jeszcze utrzymać się na nogach, graniczyłoby to z cudem.

**Słońce stało się pomarańczową
pochodnią, której ciepło przenikało
czaszkę**

**Kane'a. Zasłonił sobie twarz zawojem,
zostawiając tylko szparę na oczy, bo
lekki wiatr unosił z ziemi tumany pyłu.**

**Nie wypełniał płuc powietrzem, tylko
ognistym oddechem słońca, które
paliło mu ciało, wysuszając boleśnie
wargi, i gardło.**

**Zaczął myśleć obsesyjnie o manierce z
wodą i sięgnął ku niej ręką. Wlokąc
się z trudem naprzód, spoglądał na
metalowe naczynie i wyobrażał sobie
wodę**

**bulgocącą w środku, jej orzeźwiający
smak, gdy spływałaby mu po
podniebieniu i rozchodziła się po ciele.
Przesunął manierkę na krzyż, gdzie
nie mógł jej widzieć, i zaczął powoli
wspinać się na stok wysokiej wydmy.**

Znalazłszy się na szczycie, po raz pierwszy poczuł śmiertelne znużenie i zatrzymał się, dygocąc z wysiłku; strumyczki potu ściekały mu po całym ciele, a wraz z nimi tracił płyny ustrojowe niezbędne do życia.

Oślonił oczy, spojrzął przed siebie i nagle zauważył w dali czerwony punkcik. Był to rozbity rapide, którym przed czterema dniami przyleciał na pustynię razem z Ruth.

Poczuł nagle przyływ dzikiej nadziei. W samolocie znajdował się kanister z wodą. Mimo skwaru i upływu czasu mogło jej jeszcze sporo pozostać.

Przyszło mu raptem do głowy, że już od dawna nie oglądał się na swoich

**towarzyszy. Obejrzał się i zobaczył
Dzamala u podnóża wydmy, niosącego
na
rękach Ruth Cunningham. Jej mąż
wspinał się mozolnie po spadzistym
stoku, z
oczami płonącymi gorączkowo w
opuchniętej twarzy.**

**Cunningham upadł na kolana kilka
kroków od Kane'a i przesunął powoli
dłonią po czole. W końcu wstał z
wysiłkiem, a gdy się odezwał, jego głos
zdawał się dobiegać z wielkiej odległości.**

- Musimy odpocząć.

Kane usiłował zwilżyć popękane wargi.

- Musimy iść dalej.

Cunningham pokręcił z uporem głową.

- Musimy odpocząć.

Zrobił niepewnie krok do przodu, po czym zachwiał się i zaczął osuwać na ziemię. Kane usiłował go powstrzymać, lecz poślizgnął się na miękkim piasku; spadli obaj z krawędzi i stoczyli się w tumanie pyłu do podnóża wydmy.

Anglik leżał z rozrzuconymi rękami, a Kane uklęknął obok niego i wlał mu do ust trochę wody. Na szczycie ukazał się Dżamal i zszedł na dół. Położył Ruth Cunningham koło męża i spojrzał pytająco na Kane'a.

Kane opowiedział mu o samolocie, a oczy Somalijczyka rozbłysły na moment. W tej samej chwili Cunningham jęknął i usiadł.

- Gdzie jestem? Co się stało?

Jego głos brzmiał słabo i niewyraźnie, jakby należał do kogoś obcego.

Kane postawił go na nogi i otoczył mu ramieniem szyję.

- Nie martw się - rzekł uspokajająco. - Został już tylko niewielki kawałek. Naprawdę niewielki.

Odwrócił się i skinął głową w stronę Dżamala, który wziął Ruth z powrotem na rękę. Ruszyli.

Dotarcie do samolotu zajęło im przeszło godzinę; pod koniec Kane włożył Cunninghama za sobą. Położył Anglika na ziemi, wciągnął pod skrzydło i oparł go plecami o kadłub maszyny. Pozostawił Dżamala, by zajął się kobietą, a sam wgramolił się do kabiny.

Bez trudu odnalazł kanister z wodą i wyniósł go na zewnątrz. W środku coś bulgotało; szybko odkręcił metalowy korek i drżącymi rękami uniósł pojemnik do ust. Woda, ciepła i pełna glonów, miała okropny metaliczny smak, ale było jej przynajmniej dwa i pół litra.

Wszedł pod skrzydło i spryskał twarz Ruth Cunningham. Jęknęła i otworzyła powoli oczy. Miała zapadnięte blade policzki i popękane wargi. Kane uniósł delikatnie jej głowę i wlał do ust trochę wody.

Rozkaszlała się, a część płynu ściekła jej po podbródku, lecz po chwili ocknęła się, chwyciła kanister, przyłożyła go do ust i wypila długi łyk.

Położyła się z powrotem na piasku, wydając ciche westchnienie, a Kane

zbliżył się do Cunninghama. Anglik był już w lepszej formie i zdobył się nawet na blady uśmiech.

- Przepraszam, że sprawiłem tyle kłopotu. Co teraz?

Kane wskazał kanister.

- Jest tam ze dwa i pół litra wody - odezwał się. - Powinno wam wystarczyć na cały dzień.

Cunningham zmarszczył lekko brwi.

- A ty i Dżamal?

- Pójdziemy dalej - odparł Kane. - Nie mamy wyboru. Twoja żona nie przejdzie już ani jednego kilometra. Jeśli tu z wami zostaniemy, umrzemy wszyscy. Gdyby Dżamalowi albo mnie udało się dotrzeć do ludzi, natychmiast

wyślemy wam pomoc.

Przez chwilę panowało milczenie, a potem Anglik uśmiechnął się blado.

- Rzeczywiście, nie mamy żadnego wyboru. - Wyciągnął rękę. - Mogę wam tylko życzyć powodzenia. Idźcie, na co jeszcze czekacie?

Uścisnęli sobie dłonie, po czym Kane podszedł do Dżamala. Odkorkował manierkę, wypił połowę jej zawartości, wręczył naczynie Somalijszykowi, a ten opróżnił je do końca i cisnął na ziemię. Przez chwilę spoglądali sobie w oczy, a następnie zaczęli się oddalać od samolotu. Kiedy weszli na niewielkie wzniesienie, Kane obejrzał się przelotnie za siebie, zaczerpnął głęboko tchu i zaczął schodzić w dół.

Słońce było żywą istotą, która wniknęła w głąb ciała Kane'a, tak że stali się jednością i maszerowali zjednoczeni. Nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło, odkąd odeszli od samolotu, bo czas przestał istnieć i utracił jakiegokolwiek znaczenie.

Nikt nie potrafi maszerować w napierśniku i nagolennicach. Jest to niemożliwe. Żołnierze zdejmowali je i wyrzucali. Aleksjasz już dawno pozbył się hełmu i w tej chwili dźwigał tylko swój krótki rzymski miecz; zachował także płaszcz kawaleryjski, którym osłaniał głowę przed palącymi promieniami słońca. Nie mógł się poddać, musiał dotrzeć do generała i złożyć mu meldunek. Kierowało nim poczucie obowiązku, ale był również inny

**powód. Dziewczyna, dziewczyna o
ciemnych włosach, mlecznobiałej skórze
i
wilgotnych, chłodnych wargach. Prawie
tak chłodnych jak morze w Pireusie w
Atenach, gdzie pływał jako chłopiec,
nurkując w zielonej toni, rozpraszając
wielkie ławice lśniących ryb i
wynurzając się powoli na powierzchnię
wśród
srebrzystych bąbelków.**

**Upadł na twarz. Przez chwilę stał na
czworakach na piasku, po czym ktoś
postawił go brutalnie na nogi i
wymierzył mu policzek. Dżamał trzymał
go za
ramiona, patrząc mu z niepokojem w
oczy. Kane usiłował coś powiedzieć, lecz
nie zdołał wydobyć z siebie głosu.
Kiwnął kilkakrotnie głową i ruszył
znowu
naprzód.**

Każdy kolejny krok stał się straszliwą torturą, bólem ogarniającym całe ciało, lecz po pewnym czasie ból zniknął i Kane zapadł w odrętwienie.

Chętnie położyłby się na piasku i umarł, ale powstrzymywała go od tego jakaś cząstka jego umysłu, w której wciąż płonęła żelazna determinacja.

Podmuch wiatru wydał poły zawoju odsłaniając twarz Kane'a, którą zaatakowały mordercze promienie słońca. Upadł na piasek, a Dżamal znów pomógł mu wstać. Później leżał na szerokich barkach Somalijczyka; marszczył czoło i potrząsał głową, bez powodzenia usiłując wykrzesać z siebie jakąś logiczną myśl. Nie udało mu się i runął w czarną otchłań gorąca.

W zębach zgrzytały mu ziarnka piasku i szarpał palcami ziemię, lecz tym razem nie postawiła go na nogi niczyja mocna ręka. Tym razem był sam, zupełnie sam: Dżamał odszedł.

Kane już nigdy nie wróci do dziewczyny o białych ramionach i chłodnych wargach, dziewczyny, o której marzył przez tyle lat, z którą chciał się zjednoczyć i dzielić życie, rozkoszując się nim w jedyny możliwy sposób - razem.

Czy był Gavinem Kane'em, czy greckim awanturnikiem Aleksjaszem, centurionem Legionu Dziesiątego? Kim była dziewczyna o białych ramionach i chłodnych wargach? Żadnej odpowiedzi. Absolutnie żadnej odpowiedzi.

Nagle poczuł na twarzy krople wody, których dotknięcie przywodziło na myśl rozgrzane drobinki stopionego metalu. Strumyczek płynu ściekł mu do ust; Kane przełknął go i rozkaszał się gwałtownie. Uniosła go czyjaś mocna ręka i jego zęby zagrzechotały o szyjkę manierki. Przełknął łapczywie kilka łyków wody i zgiął się wpół, czując skurcze żołądka.

Otworzył zapuchnięte, zaczerwienione oczy i zobaczył nad sobą Jordana. W pewnej odległości stała zaparkowana ciężarówka.

Rozchylił usta i zdołał wyszeptać kilka zdań:

- Na pustyni... Na pustyni zostali Cunninghamowie... Jedź po nich... prędko...

**- O nic się nie martw - odpowiedział
uspokajająco geolog. - Wszystko
załatwione. Pojechało po nich dwóch
moich ludzi razem z tym twoim wielkim
Somalijczykiem. - Uśmiechnął się
szeroko. - Dżamal to niesamowity gość.**

**Jednakże Kane już go nie słuchał. Z jego
piersi wyrwało się potężne
westchnienie ulgi i ogarnęła go ciemność.**

17

**Otworzył powoli oczy i przez moment
miał zupełną pustkę w głowie. Wsparł
się na łokciu, czując przyływ paniki,
gdy wtem wszystko sobie przypomniał
i opadł z westchnieniem ulgi na posłanie.**

Leżał na łóżku polowym pod kwadratową płachtą materiału rozpiętą na czterech drewnianych słupkach. Nie opodal parkowały dwie ciężarówki, a w odległości kilkunastu metrów rozbito namiot.

Kiedy Kane się poruszył, Dżamal, przykucnięty u stóp łóżka, wstał i pochylił się nad swoim panem. Ich oczy się spotkały, a Somalijczyk uśmiechnął się szeroko; Kane w milczeniu wyciągnął dłoń.

Dżamal uścisnął ją, a z jego twarzy zniknął powoli uśmiech. Przez krótką chwilę łączyło ich zupełnie nowe, serdeczne uczucie, po czym Murzyn odwrócił się i podszedł do Jordana, pochylonego nad maszynką spirytusową na środku obozu.

Jordan zbliżył się do Kane'a z rondlem w jednej ręce i plastikowym kubkiem w drugiej.

- Kawy, jaśnie panie? - spytał, szczerząc zęby.

Kane opuścił nogi na ziemię i usiadł na skraju łóżka. Był bardzo osłabiony i czuł dziwną lekkość w głowie, a wszystko wydawało się nieco nierzeczywiste, jakby tylko mu się śniło.

Przełknął kilka łyków kawy i zadygotał, oparzywszy sobie przelyk gorącym płynem.

- Nie mogę uwierzyć, że żyję.

Jordan skinął głową.

- I masz do tego powody.

Kane wyjrzał spod płachty materiału. Obozowisko znajdowało się u podnóża gór, a w dali rozciągała się pustynia.

- Gdzie jesteśmy?

- Około dwudziestu kilometrów od Szabui - odpowiedział Jordan. - Rozbiłem tu w pośpiechu obóz, bo nie wiedziałem, w jakim stanie są Cunninghamowie.

- Jak się czują? - spytał prędko Kane.

Jordan poczęstował go papierosem.

- Są trochę odwodnieni, ale nic im nie będzie. Dałem im środek uspokajający i śpią w namiocie.

Kane zaciągnął się głęboko dymem z papierosa.

- Mieliliśmy szczęście, że spotkałeś Dżamala. Co robiłeś tak daleko na pustyni?

- Szukałem was już od trzech dni. Kiedy Marie nie wróciła pożyczoną ciężarówką, kierowca czekał na nią jeszcze do następnego ranka, a później przyjechał do mnie i wszystko mi opowiedział. Wczoraj odnalazłem samolot, ale nie natknąłem się na żadne ślady ciężarówki. Doszedłem do wniosku, że musiała się zepsuć w drodze powrotnej. Krążyliśmy po pustyni między miejscem rozbicia samolotu a górami, aż wreszcie natknęliśmy się na Somalijczyka.

Kane zerknął na Dżamala, który przykucnął koło maszynki spirytusowej i

jadł fasolę, obserwowany przez ludzi Jordana.

- Chyba zawdzięczamy mu życie.

- Tak, jemu i tylko jemu. Ale czy mógłbyś mi wreszcie opowiedzieć, co się właściwie stało? Co robiliście po katastrofie samolotu i gdzie się podziała Marie?

Kane zrelacjonował mu pokrótce wydarzenia ostatnich dni. Kiedy skończył, Jordan pokręcił głową.

- Skiros okazał się nazistą? Prawie nie mogę w to uwierzyć.

- To prawda, ale najbardziej niepokoję się w tej chwili o Marie - odparł Kane. - Ruth Cunningham twierdzi, że mają czekać w Hazar.

Jordan zmarszczył brwi.

- Przejeżdżałem tamtędy dwa tygodnie temu. Obozowali tam Beduini z plemienia Haris. Ich szejk, niejaki Mahmud, to pomarszczony starzec z siwą brodą.

Kane skinął głową.

- Znam go. Kiedyś z nim handlowałem. - Zmrużył oczy. - Nawiasem mówiąc, słyszałem, że Muller jest w bardzo dobrych stosunkach z Harisami. Mógł wiedzieć, że obozują w Hazar.

Jordan uśmiechnął się szeroko.

- Znakomicie się nadają na przyjaciół Mullera i Skirosa. Wielcy, toporni

zbóje, którzy szczerzą zęby i sięgają odruchowo do cynglów strzelb, gdy tylko przejeżdżam koło ich namiotów. Poderżnęliby człowiekowi gardło za parę skarpetek.

Kane pokręcił głową.

- Mahmud jest zupełnie inny, to Beduin starej daty. Bardzo dba o swój honor i ściśle przestrzega starożytnych obyczajów.

Wstał z łóżka i wyszedł spod plandeki. Czuł dziwną lekkość i kręciło mu się w głowie, tak że musiał rozstawić szeroko nogi, by utrzymać równowagę.

- Na pewno dobrze się czujesz? - spytał z niepokojem Jordan.

- Poczuję się naprawdę dobrze, gdy dogonię Skirosa. Mogę pożyczyć jedną z

twoich ciężarówek?

- Nie ma potrzeby. Jadę z tobą. Tak się składa, że ja także dużo myślę o Marie Perret.

- A Cunningham i jego żona?

- Obudzą się dopiero za kilka godzin. Zostawię tu swoich ludzi, którzy się nimi zaopiekują.

Kane był zbyt zmęczony, by się sprzeczać. Zawołał Dżamala, wyjaśnił mu sytuację, po czym wsiedli do ciężarówki i czekali na Jordana, który wydawał polecenia swoim ludziom.

Po kilku minutach ruszyli. Jordan siedział za kierownicą, a Kane rozparł się wygodnie na siedzeniu i przymknął oczy. Poczł nagle ogromne zmęczenie,

**wywołane wydarzeniami i
namiętnościami ostatnich dni, i nawet
nie miał siły
myśleć o tym, co mogła przynieść
przyszłość.**

**W niespełna godzinę dotarli do Hazar i
Jordan zatrzymał ciężarówkę u
wylotu szerokiej doliny, w której widać
było czarne namioty Beduinów.**

**- Cokolwiek się stanie, nie odzywaj się -
stwierdził Kane. - Wiem, jak to
rozegrać.**

**Dolinę porastała na przestrzeni
kilometra gęstwina palm, których
zielone
korony stanowiły osłonę przed
prażącymi promieniami słońca. Kiedy
jechali**

przez arabskie obozowisko, rozpraszając przed sobą wielbłądy i kozy, wszędzie rozlegały się piskliwe okrzyki dzieci, a z namiotów zaczęli wychodzić wysocy, brodaci mężczyźni w galabijach, większość z karabinami.

Gdy dotarli do środka obozu, Kane wyprostował się i poczuł na ramieniu lekkie dotknięcie Dżamala. W odległości około pięćdziesięciu metrów stały zaparkowane dwie ciężarówki.

W tej samej chwili zauważył je Jordan.

- Wygląda na to, że przybyliśmy na miejsce.

Zatrzymał samochód przed największym namiotem, z którego wyszedł godnie się prezentujący Beduin i stanął, spoglądając na przybyłych.

Mahmud był bardzo stary i miał długą brodę przetykaną siwizną; jego skóra przywodziła na myśl pergamin naciągnięty bezpośrednio na szkielet.

Nosił

olśniewająco białą szatę, a rękojeść jego dzambii wykonano z misternie kutego złota.

Beduini otoczyli w milczeniu ciężarówkę, odcinając przybyszom jakąkolwiek drogę ucieczki. Nie wyglądali przyjaźnie.

- Zauważyłeś ich karabiny? - spytał cicho Jordan. - Są nowiusieńkie. Nic dziwnego, że Skiros postanowił się tu zatrzymać.

Kane ruszył powoli naprzód i zatrzymał się kilka kroków od Mahmuda.

Spoglądali sobie przez chwilę w oczy, po czym stary Arab uśmiechnął się i wyciągnął rękę do Amerykanina:

- Ach, przecież to mój dobry druh, Kane! Polowaliśmy razem z sokołami!

Amerykanin uścisnął wyciągniętą dłoń i uśmiechnął się.

- Czas jest dla ciebie łaskawy, Mahmudzie. Z każdym rokiem młodszejsz. -

Odwrócił się i skinął głową w stronę Jordana. - Przeprowadziłem przyjaciela.

Beduiński szejik skrzywił się z niesmakiem.

- Znam tego młodzieńca. Rozkopuje ziemię i napęlnia powietrze smrodem

swoich maszyn. - Na twarzy Jordana pojawił się wyraz lekkiego zaniepokojenia, ale starzec uśmiechnął się i skinął kurtuazyjnie dłonią. - Tym razem jednak witamy go jako druha naszego przyjaciela.

Odwrócił się i wszedł przez niskie wejście do chłodnego wnętrza namiotu. Kane i Jordan podążyli za nim.

Usiedli po turecku na miękkich dywanach, a po chwili z tylnej części namiotu wyszła czarno odziana kobieta, niosąc na mosiężnej tacy imbryk kawy, trzy filizanki oraz naczynie z gotowanym ryżem.

Kane i Jordan, by nie urazić gospodarza, wypili kawę i zjedli trochę ryżu, za przykładem Mahmuda zanurzając palce prosto w misce.

Kobieta wręczyła im wilgotną ściereczkę, by otarli nią zatłuszczone palce, a Kane westchnął z ulgą i wreszcie się odprężył. Niezależnie od dalszego biegu rozmowy nic im już nie groziło. Jedli i pili z Mahmudem w obozie jego plemienia. Nie mogło ich spotkać nic złego.

Po chwili milczenia Beduin spytał uprzejmie:

- Przybywasz z daleka, przyjacielu?

Kane skinął głową.

- Tak. Szukam dwóch mężczyzn, którzy wyrządzili mi wielką krzywdę.

- Honor i życie to jedno - rzekł poważnie Mahmud. - Niechaj prowadzi cię Allah.

- Allah okazał mi wielką łaskę - odparł Kane. - Mężczyźni, których szukam, są w twoim obozie. Widziałem ich ciężarówki.

Mahmud skinął głową z nieprzeniknioną twarzą.

- W moich namiotach jest rzeczywiście dwóch Europejczyków. Mój dobry przyjaciel Muller i gruby mężczyzna z Dahrajnu. W jaki sposób uchybili twojemu honorowi?

- Uprawdzili moją kobietę - odpowiedział Kane spokojnym, pozbawionym emocji głosem.

Zapadła cisza, a stary Arab pogładził się szczupłą dłonią po brodzie.

- Istotnie, mają ze sobą kobietę - odezwał się wreszcie. - Jest półkrwi Arabką. Od ich przyjazdu nie opuściła namiotu.

- To ona - stwierdził Kane.

Mahmud wstał z gracją.

- Zaczekajcie tutaj - rzekł cicho i wyszedł.

Jordan poruszył się niespokojnie.

- O co w tym wszystkim chodzi?

- To jedyny sposób, w jaki możemy doprowadzić do bezpośredniej konfrontacji ze Skirosem - wyjaśnił prędko Kane. - Beduini traktują kobiety niczym sprzęty domowe, ale w tym miejscu podobieństwo do sprzętów się

kończy: porwanie cudzej kobiety to wśród Arabów jedno z najcięższych przestępstw.

- W porządku, rozumiem - odparł niecierpliwie Jordan - ale ciągle nie pojmuję, jak nam to może pomóc.

Zanim Kane zdążył odpowiedzieć, do namiotu wszedł Mahmud wraz z Mullerem i Skirosem.

Kane i Jordan wstali, a Amerykanin zrobił krok do przodu. Na twarzy Mullera pojawił się groteskowy wyraz przerażenia, jednakże Skiros pozostał nieprzenikniony.

- Widzieliśmy, jak wjeżdżaliście do obozu. Wygląda na to, że cuda ciągle się zdarzają. Zapewne Selim się spóźni?

**- Obawiam się, że w ogóle nie przybędzie
- odparł Kane.**

**- A zatem jesteście starymi przyjaciółmi
- wtrącił cicho Mahmud.**

**- Bynajmniej - odpowiedział Skiros. -
Ten mężczyzna wyrządził mi wielką
krzywdę. Uważam, że wyrządził on
także krzywdę tobie i twojemu
plemieniu.**

**Spowodował, iż ja i Muller będziemy
musieli opuścić kraj. Beduini z
pogranicza nie otrzymają już więcej
broni.**

**- Allah akbar! To z pewnością bardzo
nieprzyjemna nowina i moi ludzie
niezbyt się z niej ucieszą, ale Kane jest
gościem w moim namiocie i muszę
się troszczyć o jego bezpieczeństwo,
podobnie jak o twoje.**

Skiros wzruszył ramionami.

- To naturalnie twoja prywatna sprawa. Uważałem po prostu za swój obowiązek ostrzec cię, że to twój wróg.

Mahmud przeszedł kilka kroków, jakby głęboko się nad czymś zastanawiał.

- Czy kobieta przebywająca w twoim namiocie należy do ciebie? - spytał po chwili.

Skiros zeszywniał, a Muller otarł drżącą dłonią pot z czoła.

- Czemu się nią interesujesz? - odparował Niemiec.

- Kane twierdzi, że to nie twoja kobieta i że ją porwałś - oznajmił Mahmud spokojnym głosem.

Skiros wzruszył nonszalancko ramionami.

- Nie dziwię się, że tak twierdzi. Można się po nim czegoś takiego spodziewać.

- Rozumiem - rzekł z namysłem Beduin.

- A zatem przedstawicie tę sprawę inaczej. Wynika z tego, niestety, że jeden z was musi się mijać z prawdą. Istnieje oczywisty sposób, by to rozstrzygnąć.

Klasnął w dłonie i przed namiotem coś zaszeleściło. Po chwili do środka weszła Marie, mrugając oczyma nie przyzwyczajonymi do półmroku.

Wreszcie

spozstrzegła Kane'a na jej twarzy odmalowało się zdumienie i z lekkim okrzykiem rzuciła mu się w ramiona.

Przytulił ją mocno i pogłaskał po ciemnych włosach.

- Nic ci nie jest? - spytał.

- Wszystko w porządku. - Delikatnie pogładziła go po twarzy. - Nie mogę w to uwierzyć.

Mahmud położył dłoń na jej ramieniu i obrócił ją w swoją stronę.

- Jak się nazywasz, moje dziecko?

Spojrzała nań dumnie, unosząc podbródek.

- Marie Perret.

Beduin skinął powoli głową.

- Słyszałem o tobie. Twoja matka pochodziła z plemienia Raszid, prawda?

-

Odsunął się nieco, by widzieć twarze wszystkich zebranych. - Kane twierdzi, że jesteś jego kobietą i że Skiros cię uprowadził. Czy to prawda?

Marie skinęła potakująco głową.

- Czy jesteście poślubieni wedle obyczajów chrześcijan?

- Nie, nie jesteśmy poślubieni.

- Czy zaznał cię cieleśnie, moje dziecko?

- spytał łagodnie Mahmud.

Zapadło milczenie, a Kane wstrzymał oddech, modląc się w duchu, by Marie udzieliła właściwej odpowiedzi.

- Tak, dzieliłam łożę z tym mężczyzną - odrzekła powoli.

- To kłamstwo! - zawołał z gniewem Skiros. - Razem to ukartowali! Mówiłem ci już, że Kane jest moim wrogiem!

Mahmud uciszył go, unosząc dłoń.

- Czyż istnieje kobieta, która okryłaby się hańbą bez powodu? Skoro z nim spała, może należeć tylko do niego. W jej żyłach płynie krew Raszidów, a tak głosi nasze prawo.

Skiros poczerwieniał z wściekłości, lecz nadludzkim wysiłkiem woli zdołał nad sobą zapanować. Skłonił się sztywno, odsunął dłonią płachtę zasłaniającą wejście do namiotu, po czym wyszedł wraz z Mullerem.

Jordan wydał głośne westchnienie ulgi, a Kane zwrócił się w stronę Mahmuda.

- Co teraz?

Stary szejik uśmiechnął się.

- Myślę, że powinna wrócić do swojego namiotu i pozostać tam pod strażą, dopóki nasi przyjaciele nie odjadą.

- Mogę najpierw z nią porozmawiać?

Mahmud skinął głową.

- Tylko przez krótką chwilę.

Dotknął ramienia Jordana, po czym obaj wyszli z namiotu. Kane i Marie zostali sami.

Marie rzuciła mu się w ramiona, a on tulił ją mocno przez chwilę. Kiedy usiedli, Kane poczuł się nagle zmęczony, straszliwie zmęczony.

- Masz papierosy? - spytał.

Marie podała mu pogniecioną paczkę wyjętą z kieszeni koszuli. Zaciągnęli się dymem i westchnął z zadowoleniem.

- Ach, tego mi właśnie było trzeba!

Wyciągnęła rękę i przyglądała mu włosy.

- Wyglądasz, jakbyś miał za sobą ciężkie dni.

- Chyba można tak to określić.

- Opowiedz mi wszystko.

Zrelacjonował pokrótce ostatnie wydarzenia, a gdy skończył, Marie westchnęła z ulgą.

- Cieszę się, że Cunninghamom nic się nie stało. Co zamierzasz zrobić ze Skirosem i Mullerem?

- A cóż mogę zrobić? Mahmud zatrzyma nas tutaj po ich odjeździe, to pewne. Jest im to winien, skoro zaopatrywali go w broń. Nie rozumiem tylko, dlaczego Skiros opuścił świątynię w takim pośpiechu. Co się stało?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała Marie. - Po zakończeniu walki rozmawiał dłuższy czas przez radio. Wrócił wściekły do obozu i konferował długo z Selimem, a później stwierdził, że wyruszymy o świcie.

- Prawdopodobnie kontaktował się ze swoimi zwierzchnikami w Berlinie i zameldował o zniszczeniu samolotu. Musieli wpaść w panikę. W końcu gdyby go schwytano i okazało się, że jest Niemcem, wybuchłby międzynarodowy skandal. Najprawdopodobniej Berlin kazał mu jak najszybciej się stamtąd wynieść.

- Mam nadzieję, że już nigdy go nie zobaczymy.

Kane wyciągnął ręce, a Marie ujęła je mocno.

**- Jest z tego wszystkiego przynajmniej jedna korzyść - rzekł. -
Zakochałem się.**

Objęli się i wymienili krótki pocałunek, gdy wtem płachta zasłaniająca wejście do namiotu uchyliła się i ukazał się Mahmud. Odstąpił na bok, a Marie przemknęła koło niego.

Stary Beduin uśmiechnął się.

- Wyglądasz na zmęczonego. Powinieneś się dobrze wyspać. Zaprowadzę cię do twojego przyjaciela. Porozmawiamy później.

Kane wyszedł na jasno oświetloną przestrzeń, a Arab poprowadził go przez obóz. Wszyscy patrzyli na nich ciekawym wzrokiem, po chwili zaś zaczęła za nimi biec gromadka dzieciaków. Wreszcie dotarli do namiotu położonego na skraju obozu. Kiedy Kane wszedł do środka, ujrzał Jordana siedzącego po

turecku na dywaniku i jedzącego fasolę z puszki.

- Wyglądasz strasznie - rzekł wesoło geolog.

Kane uśmiechnął się ze znużeniem, po czym rzucił się na posłanie w rogu namiotu.

Jordan wciąż coś mówił, ale jego słowa przestały docierać do Kane'a. Po chwili zmieniły się w jednostajne brzęczenie i Amerykanin zapadł w sen.

Rozbudził się powoli i leżał wpatrując się w półmrok. Była noc i na słupie w środku namiotu paliła się lampka oliwna, oświetlając wnętrze przyćmionym żółtawym światłem.

Jordan siedział w pobliżu, czyszcząc rewolwer. Kiedy Kane się poruszył, geolog spojrział nań z uśmiechem.

- Jak się czujesz?

**- Jak przepuszczony przez wyżymaczkę
- odparł Kane, przyjmując z wysiłkiem pozycję siedzącą.**

Jordan podał mu miskę.

- Lepiej coś zjedz.

**Kane włożył do ust kilka kulek gotowanego ryżu i kawałków koziego mięsa,
odkrywając, że jest głodny.**

- Coś się działo?

Jordan pokręcił przecząco głową.

- Spokojnie jak w grobowcu rodzinnym. Spaleś przez osiem godzin.

- Nasi przyjaciele już odjechali?

- Stacjonowali po przeciwnej stronie obozu, w miejscu wyznaczonym przez starego Araba. Dwie godziny temu słyszałem, jak odjeżdżają. Co zrobią, jak myślisz?

Kane wzruszył ramionami.

- Pojadą prosto do Dahrajnu i spróbują uciec, zanim zawiadomimy władze.

- Chcesz ich powstrzymać?

- Chyba nie - odpowiedział Kane, kręcąc głową. - I tak są tu skończeni, więc wystarczy mi, jeśli się wyniosą. - Wstał i przeciągnął się. - Pójdę porozmawiać z Mahmudem.

Odchylił zasłonę, wyszedł w chłodny mrok i ruszył przez uśpiony obóz do namiotu Mahmuda.

Stary szejik siedział po turecku na baraniej skórze, paląc papierosa i wpatrując się w płomienie ogniska.

- Odpocząłeś już, przyjacielu? - zwrócił się z uśmiechem do Kane'a.

Amerikanin usiadł koło niego.

- Skiros i Muller odjechali, prawda?

Starzec skinął głową.

- Przyrzekłem im, że zatrzymam cię w swoim obozie przez jeden dzień.

Byłem im to winny.

- **Skiros jest Niemcem - stwierdził Kane.**
- **Czy to roztropnie zadawać się z takim człowiekiem?**

Mahmud uśmiechnął się.

- Twój przyjaciel reprezentuje amerykańską kompanię naftową. Jeśli znajdzie naftę, ile czasu upłynie, nim dotrze do nas tak zwana pomoc amerykańska?

- Czy byłoby to takie złe? - spytał Jordan.

- Plemiona z Omanu są chronione przez Brytyjczyków - odparł Mahmud, wzruszając ramionami. - My wolimy chronić się sami. Skoro Niemcy są na tyle głupi, by dawać nam za darmo broń, chętnie ją przyjmujemy.

- Większość tej broni służy plemionom pogranicznym do walki z Brytyjczykami w Omanie - rzekł Kane. - Właśnie o to chodzi Niemcom.

Stary szejik wzruszył ramionami.

- To nie moja sprawa.

Nie było sensu kontynuować dyskusji i Kane zmienił temat.

- Czy mógłbym się zobaczyć z kobietą?

- Jest ciągle w namiocie, pilnowana przez mojego człowieka - odparł Mahmud. - Sam cię do niej zaprowadzę.

- Kiedy szli przez obóz, odezwał się w pewnej chwili: - Posłuchaj rady starego człowieka i bądź ostrożny, gdy wrócisz do Dahrajnu. Skiros nie zapomni tego, co mu zrobiłeś.

Zatrzymał się przed namiotem, w którym przebywała Marie Perret. W cieniu koło wejścia siedział po turecku strażnik; miał głowę zwieszoną na piersi, a poirytowany Mahmud mruknął coś nieprzyjemnego i trącił męczyzną stopą.

Strażnik upadł na piasek, a jego głowa przekręciła się na bok. Ciągle żył, ale na karku za lewym uchem widać było krew.

W namiocie nie dawało się zauważyć żadnych śladów walki, lecz Marie zniknęła.

- Zabrali ją ze sobą - rzekł Kane, zwróciwszy się w stronę Mahmuda.

Stary szejik dotknął jego rękawa i spojrzał nań zatroskanym wzrokiem.

- Allach! Wstyd mi, że coś takiego zdarzyło się w moim obozie. Naturalnie jestem teraz zwolniony z obietnicy, że zatrzymam was tutaj przez jeden dzień.

- Nikt nie ponosi za to winy, ale musimy natychmiast ruszać - stwierdził Kane. - Gdzie jest Somalijczyk?

- Śpi z moimi ludźmi - odpowiedział szejk. - Przyślę go do ciebie.

Wrócił do swojego namiotu, a Kane poszedł po Jordana i razem pośpieszyli ku ciężarówce.

- Co z Cunninghamami? - spytał Jordan.

- Na razie będą musieli radzić sobie sami. Marie jest ważniejsza.

Wypalił papierosa, zastanawiając się nad sytuacją, gdy tymczasem Jordan sprawdził ciężarówkę pod względem technicznym. Dahrajn znajdował się w odległości dwustu kilometrów i czekała ich ciężka jazda po bezdrożach.

Skiros i Muller wyruszyli z dwugodzinnym wyprzedzeniem.

Doścignięcie ich przed Dahrajnem byłoby możliwe tylko wtedy, gdyby Niemcom przytrafiła się jakaś awaria.

Z mroku wyłonił się Dżamal, za którym podążał Mahmud wraz z kilkoma Beduinami. Somalijczyk wgramolił się do tyłu, a Jordan usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Rozległ się warkot silnika, Mahmud zaś pochylił się i uścisnął Kane'owi rękę.

**- Niechaj cię Allach prowadzi,
przyjacielu.**

**- Do następnego spotkania -
odpowiedział Kane. Jordan przerzucił
sprzęgło
i ciężarówka ruszyła naprzód w tumanie
kurzu.**

**Przez pierwszą godzinę jechali
starożytnym szlakiem karawan
wiodącym
przez góry, a Jordan wpatrywał się w
ciemność, od czasu do czasu
przekręcając gwałtownie kierownicę,
gdy w świetle reflektorów ukazały się
duże głazy lub inne przeszkody.**

**Kane usiadł wygodnie w fotelu, paląc
papierosa otrzymanego od Jordana.
Pomimo długiego snu był ciągle
zmęczony, lecz jednocześnie czuł, że
drzemia**

**w nim jeszcze ukryte pokłady energii,
tajemnicza siła witalna, która
pozwoli mu wytrwać, póki nie
doprowadzi tej sprawy do finału.**

**Pod koniec pierwszej godziny zerwał się
silny wiatr wiejący od strony
wybrzeża; rozpędził chmury i na niebie
ukazał się księżyc w pełni,
oświetlając im drogę srebrzystym
blaskiem.**

**Widoczność znacznie się polepszyła i
Jordan nacisnął pedał gazu. Podążali
teraz dnem jałowej, pustej doliny,
kluczając pomiędzy wielkimi kamieniami,
jakby uczestniczyli w jakimś wariackim
slalomie.**

**Po kolejnej godzinie wyjechali na bity
trakt biegnący wzdłuż stoku góry i
pokryty drobnym tłuczniem.**

Kiedy Jordan zmienił bieg, by znów przyśpieszyć, z tyłu rozległ się głośny wystrzał i ciężarówka gwałtownie skręciła, zbliżając się niebezpiecznie do skraju drogi.

Jordan zgasił silnik, klnąc pod nosem.

- I tak mamy szczęście, że to dopiero pierwszy raz!

Zmienili koło i po dziesięciu minutach znów ruszyli w drogę, lecz tym razem za kierownicą usiadł Kane. Nie zastanawiał się, co ich jeszcze czeka, i z ponurą determinacją skupił się wyłącznie na prowadzeniu ciężarówki. Miał kompletną pustkę w głowie; istniała dla niego tylko droga, wijąca się serpentynami po zboczu góry i opadająca stopniowo w stronę wybrzeża.

Musiał wytrzymać, musiał wytrzymać i koniec. Siedział zgarbiony, ściskając spoconymi dłońmi kierownicę, a ciężarówka pokonywała kolejne kilometry, aż wreszcie po trzech godzinach dotarli do wielkiej doliny dochodzącej do morza.

Kane od wielu godzin nie zamienił z Jordanem ani słowa, ale teraz, gdy w dali pojawiły się światła Dahrajnu, spytał:

- Która godzina?

Jordan zerknął na zegarek.

- Czwarta rano. Dobrze się czujesz?

Kane odetchnął kilka razy, by odzyskać jasność umysłu, i skinął głową.

- Doskonale.

- Co teraz zrobimy? - spytał Jordan.

Kane zmarszczył brwi.

**- Chyba nie zatrzymają się w hotelu.
Wybiorą raczej dom Mullera; leży na
uboczu.**

**W mieście panowała cisza. Kane
przejechał drogą koło lądowiska dla
samolotów i ruszył wąskimi uliczkami w
stronę portu.**

**Było ciemno i zapalił reflektory, powoli
zmierając krętymi zaułkami ku
willi archeologa.**

**Zatrzymał się na końcu jednej z uliczek i
zgasił silnik.**

- Lepiej chodźmy dalej na piechotę.

Sięgnął po pistolet maszynowy i ruszył ostrożnie naprzód. Nad furta w murze wisiała lampa, w której świetle widać było zakurzoną ciężarówkę.

Jordan musnął palcami pokrywę silnika - jeszcze ciepła.

- Dopiero co przyjechali.

Kane skinął głową.

- Wiem. Nadrobiliśmy sporo czasu.

Furta okazała się zamknięta. Zawahał się na moment, gdy wtem poczuł czyjś dotyk na ramieniu. Odwrócił się i zobaczył Dżamala; Somalijczyk oparł się o mur i rozstawił szeroko nogi. Kane zarzucił pistolet maszynowy na ramię i

wdrapał się na plecy Murzyna. Kiedy stanął mu na barkach, Somalijszczyk chwycił go ogromnymi rękoma za kostki i uniósł do góry.

Kane przeszedł przez mur i zeskoczył do ogrodu. W willi paliły się gdzieś światła. Stał w mroku, spoglądając w okna, po czym podszedł szybko do furty i otworzył ją. Po chwili Dżamal i Jordan znaleźli się u jego boku.

Zamknął furte, i ruszyli przez ciemny ogród w stronę domu.

18

W ogrodzie panowała cisza, a Kane, przykucnięty za krzakami kilka kroków

od drzwi frontowych, czuł na policzku chłodne powiewy wiatru. Po chwili wyszedł z cienia i wspiał się po schodach na taras. Podążyli za nim Jordan i Somalijczyk.

Otworzył drzwi i wszedł do środka, trzymając w pogotowiu pistolet maszynowy. W holu paliło się światło, a z góry dochodziły odgłosy kroków.

Odwrócił się, by odezwać się do Jordana, gdy wtem otworzyły się jedne z drzwi. Pojawił się w nich arabski służący w białej galabii i z walizką w ręku. Ujrzawszy intruzów, wytrzeszczył z przerażeniem oczy, ale nim zdążył krzyknąć, Dżamał zrobił krok do przodu i uderzył go pięścią w szczękę. Służący osunął się bez słowa na ziemię, wypuszczając z ręki walizkę.

Na piętrze rozległ się zniecierpliwiony okrzyk i na podeście stanął Muller.

- Pośpiesz się, na litość boską! - zawołał i w tym momencie zauważył Kane'a.

Wyszarpnął z kieszeni lugera i strzelił na oślep, a kula odbiła się rykoszetem od ściany, aż Kane, Jordan i Dżamal instynktownie się skulili. Muller odwrócił się na pięcie, wbiegł do swojego gabinetu i zatrzasnął drzwi.

Kane wszedł ostrożnie na piętro i przywarł do ściany. Wyciągnął szybko rękę w stronę klamki, ale drzwi były zamknięte. Jordan i Dżamal stanęli po drugiej stronie i zamarli w bezruchu. W gabinecie panowała kompletna cisza.

Kane skinął głową w stronę Dżamala, który stanął cicho naprzeciwko wejścia, wystrzelił w zamek długą serię z pistoletu maszynowego, aż wokół zaczęły fruwać drewniane drzazgi, po czym wywalił drzwi potężnym kopnięciem i natychmiast odskoczył w bok. Jednakże w środku panowała cisza i po chwili Kane zajrzał ostrożnie do pokoju. Okazał się on pusty, a w przeciwległej ścianie stały otworem inne drzwi.

Prowadziły do klatki schodowej na tyłach willi. Kane ruszył ostrożnie naprzód, schodząc w ciemności w dół. Drzwi na parterze były zamknięte; kiedy je otworzył, znalazł się z powrotem w ogrodzie.

- Myślisz, że ciągle tu jest? - szepnął Jordan.

Kane skinął głową.

- Musi gdzieś być. Zamknąłem bramę, a jest za niski, żeby przejść przez mur bez niczyjej pomocy.

Wśród liści zaświszczała kula i trafiła w ścianę tuż obok drzwi. Kane i Jordan skulili się, a Dżamal zajął miejsce koło nich.

- Nie bądź głupcem, Muller! - zawołał Kane. - Jest nas trzech, wszyscy dobrze uzbrojeni! Nie masz żadnych szans!

Gdzieś w krzakach zerwał się do lotu ptak, spłoszony niezwykle hałasami, a na dachu domu nerwowo zatrzepotały skrzydłami gołębie.

- Lepiej się podzielmy - rzekł cicho Kane do Jordana. - Poruszając się razem, niczego nie osiągniemy. Ale, na litość boską, nie strzelaj na oślep! Możesz trafić mnie zamiast Mullera!

- Będę uważał - odparł Jordan, szczerząc zęby.

Dżamał poszedł w prawo, a Kane zaczął się czołgać wprost przed siebie.

Ziemię pokrywała rosa; wstał i stanął w cieniu figowca, wsłuchując się w ciszę. Po chwili rozległ się kolejny strzał i Jordan zawołał:

- Ucieka do bramy! Odetnij mu drogę, Kane!

Kane ruszył szybko naprzód; gdy wyszedł na ścieżkę, dostrzegł kilkanaście kroków przed sobą Mullera. Niemiec podbiegł do bramy i na próżno usiłował

ją otworzyć, a tymczasem z krzaków wyłonił się Jordan i dołączył do Kane'a.

Niemiec odwrócił się w ich stronę z rozpaczą w oczach. Trzymał lugera w prawej ręce, opuszczonej wzdłuż ciała, a Kane uniósł pistolet maszynowy.

- Nie bądź głupcem.

Muller uniósł pistolet i dał ognia, Jordan zaś stęknął głośno i oparł się o Kane'a. Muller znów szykował się do strzału, gdy wtem z krzaków wyskoczył Dżamal i trafił Niemca serią z pistoletu maszynowego, ciskając go na bramę.

Jordan miał twarz wykrzywioną bólem, a Kane czuł na swojej dłoni krew ciekącą z jego boku. Zawołał Dżamala, który wziął geologa na ręce i zaniósł w stronę domu.

Kane już miał za nimi iść, gdy usłyszał jęk Mullera. Zawahał się, po czym podszedł do bramy i przyklęknął koło Niemca. Archeolog miał otwarte, szkliste oczy i zakrwawioną pierś.

Kane pochylił się nad nim i spytał:

- Słyszysz mnie, Muller? Gdzie są pozostali?

Ale marnował tylko czas. Niemiec postawił oczy w słup i z ust buchnęła mu fala krwi. Jego głowa opadła na bok i znieruchomiał.

Kane stał koło niego przez chwilę, zastanawiając się, co robić, po czym wciągnął zwłoki w krzaki, otworzył bramę i wrócił do domu.

Dzamal zdjął Jordanowi koszulę. Kula trafiła go poniżej lewej piersi, ale

po dokładniejszych oględzinach okazało się, że odbiła się od zebra i przeszła gładko na drugą stronę. Rana krwawiła obficie, lecz nie wydawała się groźna.

Dżamal podarł koszulę na pasy i prędko zabandażował pierś Jordana.

- Nie martwcie się o mnie - rzekł geolog, otwierając oczy. - W tej chwili ważniejszy jest Skiros.

- Najpierw zawieziemy cię do lekarza - odezwał się Kane.

Młody Amerykanin zemdłał, a Dżamal wziął go na ręce i zaniósł do ciężarówki. Somalijczyk ulokował Jordana na tylnym siedzeniu, po czym zajął miejsce koło Kane'a.

Kiedy odjeżdżali, w okolicznych domach panowała cisza, a Kane pomyślał ponuro, że w Dahrajnie nocna strzelanina nie jest na szczęście zjawiskiem na tyle niezwykłym, by wywoływać zaniepokojenie.

Zatrzymał się przed hotelem, a Dżamal poszedł za nim, niosąc na rękach Jordana. Foyer było puste, a za kontuarem drzemał hinduski recepcjonista.

Kane chwycił go za ramię i potrząsnął nim brutalnie.

- Gdzie Skiros?

- Wyjechał, sahib - odpowiedział Hindus, rozkładając ręce. - Nie ma go już od kilkunastu dni.

Recepcjonista kłamał, Kane nie miał co do tego wątpliwości, ale na razie dał spokój.

- Mieszka tu ciągle doktor Hamid?

Hindus skinął głową, a Kane ciągnął:

- Daj mi klucze do pokoju na pierwszym piętrze i obudź Hamida. Powiedz mu, że to pilne.

Urzędnik obszedł kontuar, wręczył mu klucz i ruszył schodami na górę, Kane szybko sprawdził numer przy kluczu, odnalazł pokój i otworzył drzwi.

Dżamal delikatnie ułożył Jordana na łóżku i odstąpił na bok. Twarz młodego nafcjarza pokrywały kropelki potu; Kane patrzył nań z niepokojem, gdy otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł chudy, siwiejący Arab. Miał na

sobie szlafrok i niósł czarną torbę lekarską. Skinął Kane'owi głową, odsunął go na bok i pochylił się nad Jordanem.

Po chwili wyprostował się i otworzył torbę.

- Nie jest tak źle, choć rana z pozoru wygląda groźnie - rzekł bezbłędną angielszczyzną. - Miał dużo szczęścia.

**- Na razie zostawię go z panem, doktorze
- powiedział Kane. - Wrócę później, żeby zobaczyć, jak się czuje.**

Doktor Hamid skinął niecierpliwie głową, myśląc już o czekającym go zadaniu, a Kane i Dżamal opuścili pokój.

Kiedy zeszli do holu, recepcjonista siedział z powrotem za kontuarem i

czytał gazetę. Kane zbliżył się do niego, oparł się o ladę i czekał.

Hindus spojrział nań znad gazety i uśmiechnął się niepewnie.

- Czym mogę panu służyć, sahib? - spytał.

- Powiedz mi, gdzie jest Skiros - poprosił Kane.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Jak już wspomniałem, nie widziałem pana Skirosa od kilkunastu dni.

- Jestem zazwyczaj bardzo cierpliwy, ale dziś mam wyjątkowo zły dzień - oznajmił Kane. - Albo powiesz mi natychmiast, gdzie jest Skiros, albo poproszę swojego przyjaciela, żeby ci złamał rękę.

Recepcjonista spojrział na ogromnego Murzyna i skrzywił się.

- To nie będzie konieczne, sahib.

Wszystko ma swoje granice, nawet lojalność. Pan Skiros był tu godzinę temu. Zabrał z biura wiele dokumentów i wyjął z sejfu znaczną kwotę.

Powiedział, że wyjeżdża na pewien czas, a

gdyby ktoś o niego pytał, mam twierdzić, że nic nie wiem.

- Była z nim Marie Perret?

Urzędnik pokręcił głową.

- Zatelefonował w dwa miejsca, to wszystko.

Kane zerknął z uśmiechem na centralkę telefoniczną.

- A ty, rzecz jasna, podsłuchiwałeś?

Hindus wzruszył ramionami:

- Najpierw zadzwonił do profesora Mullera i kazał mu się śpieszyć. Powiedział, że wszystko przygotowane.

- A druga rozmowa?

- Telefonował do kapitana Gonzaleza, szefa komory celnej. Pan Skiros kazał mu natychmiast przyjść i przynieść tyle pieniędzy, ile uda mu się zgromadzić.

- Przyszedł?

- Pojawił się po dwudziestu minutach. Był bardzo rozgniewany, ale pan Skiros zaczął mu grozić.

- Czym? - spytał Kane.

Recepcjonista pokręcił głową.

- Nie jestem pewien, sahib. Brzmiało to tak, jakby byli wspólnikami w interesach.

Kane stał przez moment przy kontuarze, marszcząc lekko brwi, po czym skinął głową na Dżamala, czekającego spokojnie z boku, i wyszli szybko z hotelu.

Kiedy podążali razem wzdłuż nabrzeża, zdał sobie nagle sprawę z wielu niejasności. Rozumiał, dlaczego Skiros udawał, że nic nie wie o przybyciu Cunninghama do Dahrajnu, lecz nie potrafił wyjaśnić zachowania Gonzaleza. Celnik był leniem i lekceważył swoje obowiązki, ale wszyscy zebracy w

mieście pracowali dla niego jako informatorzy i niewiele uchodziło jego uwagi.

A to, że sam Kane szmuglował rupie indyjskie dla Skirosa? Gonzalez ani razu nie przeszukał kutra, najwyraźniej uprzedzony przez grubego hotelarza, choć żaden z nich nie zdradził Kane'owi roli drugiego.

Dotarli do komory celnej. Kane szarpnął mocno sznur dzwonka i czekał. Po chwili za furtaa w murze rozległy się kroki i przez zakratowany otwór wyjrzał Gonzalez.

- Kto tam? - spytał.

- Chcę z tobą zamienić parę słów - odpowiedział Kane. - To dość pilna sprawa.

Gonzalez zamruczał coś pod nosem, założył łańcuch i uchylił lekko furkę. W tej samej chwili do akcji włączył się Dżamal, torując im drogę potężnym kopnięciem.

Kiedy Kane wszedł do ogrodu, Gonzalez leżał na ścieżce.

- Co to wszystko znaczy?! - spytał gniewnie.

Kane postawił go na nogi i przyciągnął do siebie.

- Gdzie Skiros?

W oczach Hiszpana pojawił się cień lęku, ale próbował udawać, że nie ma o niczym pojęcia.

- Skąd mam wiedzieć?!

**Kane przytrzymał go jedną ręką,
zwrócił się do Dżamala i rzekł głośno i
wyraźnie po arabsku:**

**- Ten pies wie, gdzie uwięziono Marie
Perret. Spraw, żeby zaczął mówić.**

**Somalijczyk wyciągnął swoje olbrzymie
dłonie i chwycił Hiszpana za
ramiona. Oparł mu kolano o krzyż i
wygiął go do tyłu w łuk. Gonzalez
krzyknął, a Kane zrobił krok do przodu
i skinął w stronę Dżamala.**

**Kiedy Murzyn zmniejszył nacisk,
Hiszpan wyciągnął błagalnie rękę.**

**- Każ temu czarnemu diabłowi mnie
puścić!**

**- Najpierw powiedz mi, co chcę wiedzieć
- odparł szorstko Kane.**

- Skiros i dziewczyna są na pokładzie "Farah", łodzi Selima! - jęknął Gonzalez. - Odpłyną z porannym przypiływem.

Kane skinął ręką w stronę Dżamala, a Somalijczyk puścił szefa komory celnej, który upadł na ziemię, jęcząc z bólu.

Kane pośpieszył wzdłuż nabrzeża i wszedł na falochron. Przycumowano do niego kilkanaście arabskich łodzi żaglowych, lecz nigdzie nie było widać trójmasztowej "Farah". Na chwilę ogarnął go lęk, gdy wtem Dżamal dotknął go w ramię i wyciągnął rękę.

"Farah" stała na kotwicy pośrodku basenu portowego. W jej sąsiedztwie nie

**kotwiczyła żadna inna łódź, a woda
lśniła srebrzyście w świetle księżyca.**

**Gdyby próbowali się zbliżyć do
"Farah", zostaliby z pewnością
zauważeni;**

**tymczasem skulili się i jęli pełznąć w
stronę końca falochronu. Nagle Kane
zatrzymał się, usłyszawszy cichy dźwięk.**

**Wyjrzał nad krawędzią falochronu i
zobaczył Araba siedzącego w szalupie
przycumowanej w cieniu między
dwoma łodziami żaglowymi.**

- To ty, sahib? - zawołał Cicho Arab.

**Kane zdał sobie sprawę, że pomyłono go
z Mullerem. Zaczął schodzić tyłem
po żelaznej drabince i odpowiedział
przytłumionym głosem:**

- Tak. Podaj mi rękę, żebym nie spadł.

Arab wstał z miejsca, a Kane odwrócił się i kopnął go w brzuch. Mężczyzna jęknął i upadł na dno szalupy, Amerykanin zaś zeskoczył obok niego.

Szybko zdjął koszulę, a gdy rozwiązywał sznurowadła, dołączył doń Dżamal. Somalijczyk przykucnął na dnie szalupy, a Kane wytłumaczył mu pośpiesznie swój plan. Kiedy skończył, Dżamal miał zatroskaną minę, lecz po chwili skinął z ociąganiem głową.

Kane został tylko w spodenkach khaki. Wstał, pochylił się nad arabskim wioślarzem leżącym na dnie łodzi, wyjął mu marynarski nóż i wsunął go sobie za pasek. Wreszcie opuścił się do wody i popłynął żabką w stronę "Farah".

Kiedy wypłynął z cienia rzucanego przez przycumowane łodzie i znalazł się

w srebrzystym świetle księżyca, poczuł się nagi i samotny. Na szczęście w stronę lądu wiał lekki wiatr, marszcząc powierzchnię wody, i Kane nie rzucał się tak bardzo w oczy.

Zbliżając się do "Farah", zauważył na dziobie marynarza na oku z karabinem przewieszonym przez ramię. Dopłynął cicho pod bukszpryt i odpoczął, chwyciwszy mocno dłońmi linę kotwiczną.

Po chwili zaczął się wspinać po linie. Strażnik stał po przeciwległej stronie pokładu i patrzył na falochron. Kane przeszedł przez reling i zbliżył się bezszelestnie do Araba.

Uderzył go kantem dłoni w kark, a strażnik osunął się bez jęku na pokład. Kane podniósł karabin, sprawdził, czy jest nabity, po czym zszedł po kilku

**drewnianych schodkach wiodących na
śródkręcie i przyczał się w mroku.**

**Załoga mieszkała w wydzielonej części
ładowni, a Kane zajrzał do środka
przez luk. Spod pokładu dochodziły
śmiechy i czuć było zapach jedzenia.
Odłożył karabin, przykrył luk ciężką
sztormową pokrywą i zablokował
metalowymi klinami.**

**Zaczął wstawać, sięgając ręką po
karabin, gdy wtem z tyłu coś cicho
zaskrzypiało. Ktoś przystawił mu do
głowy chłodną lufę rewolweru i rozległ
się głos Skirosa:**

**- Moje gratulacje, przyjacielu. O mało ci
się nie udało.**

Kane odwrócił się powoli.

- Więc stary Mahmud nie dotrzymał obietnicy, że was zatrzyma? - spytał z uśmiechem Niemiec.

- Poczul się z niej zwolniony, gdy spostrzegł, że porwaliście Marie - odparł Kane. - Uraziliście jego arabską dumę.

- Nic mnie to nie obchodzi. Czekam na Mullera. Zapewne już się nie pojawi?

- Niestety nie - odparł Kane.

Skiros znów się uśmiechnął.

- W pewnym sensie wyświadczyłeś mi przysługę. Mógł się okazać kłopotliwy. Cieszę się, że mnie wyręczyłeś.

- Łatwo mi w to uwierzyć - stwierdził Kane.

Skiros wskazał luk.

- Możesz go już otworzyć. Nie ma potrzeby dłużej odwlekać naszego wyjścia w morze.

Kane wyjął metalowe kliny, starając się robić to jak najwolniej. Zdjął pokrywę luku, a Skiros zawołał:

- Wszyscy na pokład!

Z ładowni wyszło po kolei kilku arabskich marynarzy; stanęli zbici w niewielką grupkę, rozmawiając z podnieceniem i patrząc nieprzyjaźnie na Kane'a. Skiros rozkazał bosmanowi postawić żagle, po czym popchnął Amerykanina w stronę rufy.

Otworzył drzwi kajuty kapitańskiej i kazał mu wejść do środka. Kane przypomniał sobie swoją pierwszą wizytę na "Farah", gdy usiłował go skrytobójczo zamordować jeden z ludzi Selima. Kajuta wyglądała tak samo. Wokół niskiego mosiężnego stolika na podłodze leżały dywany i poduszki, a pod wielkimi oknami rufowymi widać było świeżo przygotowane posłanie.

Skiros stanął po drugiej stronie stolika i westchnął.

- Gdybyśmy tylko mogli dojść do porozumienia...

- Mało prawdopodobne - odparł Kane. - Jesteś skończony. Operacja nie powiodła się, a Kanał Sueski ciągle działa. Co powie Fuhrer?

- Ma w tej chwili inne rzeczy na głowie. Nasze dywizje pancerne zaatakowały wczoraj Polskę, którą czeka największa klęska, jaką poniosło jakiekolwiek państwo w Europie od czasów pierwszej wojny światowej.

- Zdaje mi się, że wtedy przegrały Niemcy.

- Tym razem zwyciężą - odparł z grymasem Skiros.

- Wiem. Przyszłość należy do was. Co zrobiłeś z Marie?

Skiros wyjął jedno ze swoich lśniących czarnych cygar i zapalił je niezgrabnie lewą ręką. Rozkasłał się, podrażniony gryzącym dymem.

- Uważam to nawet za dość zabawne. Nigdy nie przypuszczałem, że jesteś w

głębi serca romantykiem.

Wyjął z kieszeni klucz, podszedł do niewielkich drzwi, otworzył je i odstąpił na bok. W drzwiach ukazała się Marie Perret.

Oszołomiona, stała przez chwilę na progu, po czym zauważyła Kane'a i ruszyła w jego stronę.

- Skrzywdził cię? - spytał Kane.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie, ale rozmowy z nim są wyjątkowo odrażające.

Skiros gruchnął śmiechem, aż zatrzęsły mu się fałdy tłuszczu na brzuchu.

- Kiedy twój przyjaciel pójdzie na żer dla rekinów, zaśpiewasz zupełnie

inaczej!

Odciągnął kciukiem kurek rewolweru i skierował lufę w stronę brzucha Kane'a.

Kane popatrzył obok Niemca, przez otwarte okno, skupiając wzrok na grubej linii kotwicy rufowej. Nagle na parapecie pojawiły się dwie czarne męskie dłonie. Po chwili do pokoju zajrzał ostrożnie Dżamal.

Kane gorączkowo starał się podtrzymać rozmowę ze Skirosem. Wsunął rękę do kieszeni i wyjął zawinięty w chusteczkę pektorał znaleziony w tunelu prowadzącym do grobowca Saby.

Cisnął węzełek na mosiężny stolik do kawy.

- Jeśli mnie zabijesz, popełnisz największy błąd w całym swoim życiu - rzekł spokojnie.

Niemiec roześmiał się ochryple.

- Nie próbuj ze mną tych numerów. Nie uratujesz własnej skóry.

Kane podniósł węzełek i rozwinął go.

- Sam zobacz. To tylko próbka! Skarb Saby. Znaleźliśmy go w świątyni.

Uniósł pectorał ku światłu, a szmaragdy rozbłysły zielonym ogniem.

Skirosowi opadła szczeka ze zdumienia. Wpatrywał się chciwie w drogocenne kamienie.

- Matko Boża! Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś takiego!

Wyrwał Kane'owi klejnot i przyjrzał mu się uważnie. Po chwili na jego twarzy pojawił się dobroduszny uśmiech.

- Jeśli znaleźć odpowiedniego kupca, można za to dostać fortunę. Jestem ci bardzo zobowiązany.

Były to jego ostatnie słowa. Wybuchnął śmiechem i chciał nacisnąć spust rewolweru, gdy wtem z koi skoczył nań z wyciągniętymi ramionami Dżamal.

Jedną ręką zatkał Niemcowi usta, drugą zaś wytrącił z dłoni rewolwer. Skiros zaczął się szarpać, ale Murzyn objął mu ramieniem szyję i przegiął go do tyłu na kolanie.

W oczach Niemca pojawiła się panika i jął wierzgać dziko nogami. Nagle rozległ się dźwięk przypominający trzask łamanej gałęzi i Skiros znieruchomiał.

Marie krzyknęła z trwogą, a Dżamal ułożył ciało na podłodze i spojrzał na Kane'a, który pochylił się, podniósł pectorał i schował go do kieszeni. W tejże chwili wiatr wydał wielkie łacińskie żagle i łódź ruszyła z miejsca.

Kane skinął dłonią w kierunku okien i popchnął Dżamala w ich stronę.

- Szybko! Nie ma czasu do stracenia!

Somalijczyk skoczył do morza nogami do przodu i zniknął. Łódź, płynąca w stronę wyjścia z portu, nabierała stopniowo prędkości, a Kane wypchnął Marie przez okno.

Obejrzał się na Niemca leżącego na podłodze z otwartymi oczyma i dziwacznie przekrzywioną głową, po czym zaczerpnął głęboko tchu i skoczył.

Kiedy się wynurzył, łódź już się oddaliła i Kane popłynął w stronę Marie, wyraźnie widocznej w świetle księżyca.

Czekała na niego, utrzymując się na wodzie w miejscu. Gdy do niej dotarł, ujęła go za rękę i pozostali tak przez chwilę, spoglądając sobie w oczy.

Łódź wypłynęła już na pełne morze i w mroku bieleły łacińskie żagle wydęte przez wiatr. Kane spojrzął z powrotem na Marie i z jakiegoś niewiadomego powodu oboje wybuchnęli śmiechem. Ścisnął mocno jej dłoń, po

**czym odwrócili się i popłynęli powoli ku
plaży, owiewani ciepłym nocnym
wiatrem.**